

Eric-Emmanuel Schmitt
Kiedy byłem dziełem sztuki
przekład Maria Braunstein WYDAWNICTWO ZNAK KRAKÓW 2007
Tytuł oryginału
Lorsque j'étais une xuvre d'art
© Editions Albin Michel S.A. - Paris 2002
Tous droits reserves.
Published by arrangement with Literary Agency „Agence de FEst”.
Projekt okładki Olgierd Chmielewski
Adiustacja i opieka redakcyjna Małgorzata Szczurek
Korekta
Małgorzata Biernacka
Joanna Schoen
Projekt typograficzny Irena Jagocha
Łamanie Ryszard Baster
© Copyright for the translation by Maria Braunstein ISBN 978-83-240-0775-2
Zamówienia: Dział Handlowy, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Bezpłatna infolinia: 0800-130-082
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.znak.com.pl
Tytuł oryginału
Lorsque j'étais une xuvre d'art
© Editions Albin Michel S.A. - Paris 2002
Tous droits reserves.
Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”.
Projekt okładki Olgierd Chmielewski
Adiustacja i opieka redakcyjna Małgorzata Szczurek
Korekta
Małgorzata Biernacka
Joanna Schoen
Projekt typograficzny Irena Jagocha
Łamanie Ryszard Baster
© Copyright for the translation by Maria Braunstein ISBN 978-83-240-0775-2
Zamówienia: Dział Handlowy, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Bezpłatna infolinia: 0800-130-082
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.znak.com.pl
Wszystkie moje samobójstwa były nieudane.
Właściwie wszystko było nieudane: i życie, i samobójstwa.
W moim przypadku jest to tym bardziej okrutne, że zdaję sobie z tego sprawę. Tysiącom ludzi na Ziemi brak siły, sprytu, urody czy szczęścia, mnie jednak odróżnia od nich ta nieszczęсна przypadłość, że jestem tego świadomy. Poskapiono mi wszelkich darów oprócz jasności widzenia.
Nieudane życie, trudno... ale nieudane samobójstwa! Aż mi wstyd. Nie umiem ani żyć pełnią życia, ani się z nim rozstać. Jestem dla siebie bezużyteczny, niczego sobie nie zawdzięczam. Najwyższy czas wykazać trochę woli. Życie dostałem w spadku; śmierć sam sobie zadam! Oto co myślałem owego ranka, patrząc w przepaść, która otwierała się pod moimi stopami. Jak okiem sięgnąć, nic tylko parowy, rozpadliny, ostre wierzchołki skalne, niczym sztylety wbijające się w krzewy, a niżej potężne skłębione wody, wście-
5 *

kle, chaotyczne jak wyzwanie rzucone bezruchowi. Zabijając się, mogłem zdobyć trochę szacunku dla siebie. Do tej pory nie miałem żadnego wpływu na swoją egzystencję: zostałem poczęty przez nieuwagę i lekkomyślność, urodziłem się przez wypchnięcie, dorosłem dzięki zaprogramowaniu genetycznemu, słowem, biernie siebie znosiłem. Miałem dwadzieścia lat i... te dwadzieścia lat też potulnie znosiłem. Trzy razy próbowałem przejąć nad sobą kontrolę i trzy razy zawodziły mnie przedmioty: sznur, na którym chciałem się powiesić, urwał się pod moim ciężarem, środki nasenne okazały się pigułkami placebo, a plandeka ciężarówki, która akurat przejeżdżała, zapewniła mi miękkie lądowanie, kiedy spadałem z piątego piętra. Tutaj miałem się sprawdzić, rozwinąć skrzydła; za czwartym razem się uda.

Skalisty brzeg Palomba Soi słynął z samobójstw. Spiczasty, ogromny, nadwieszony nad wściekłymi falami sięgającymi stu dziewięćdziesięciu dziewięciu metrów, oferował ciałom, które się z niego rzucały, co najmniej trzy sposoby, by stały się trupami: albo mogły nadziać się na iglice sterczących kamieni, albo roztrzaskać się na strzępy o podwodne rafy, albo utonąć bezboleśnie, ogłuszone uderzeniem o wodę. Od tysiącleci nie zdarzyło się, żeby komuś się nie udało. Szedłem więc pełen nadziei.

* 6 *

Przed skokiem nabrałem powietrza.

Z samobójstwem jest jak ze spadochroniarstwem: pierwszy skok jest najlepszy. Powtórka osłabia emocje, recydywa zniechęca. Owego ranka nawet się już nie bałem. Pogoda była doskonała. Niebo czyste, silny wiatr. Pustka otwierała się przede mną jak czyjeś ramiona. Przyczajone poniżej morze czekało na mnie, zlizując łakomie pianę.

Już miałem skoczyć.

Wyrzucałem sobie, że jestem taki spokojny. Dlaczego mam to robić w stanie zniechęcenia, skoro tym razem się uda? Więcej życia! Więcej zapału! Śmiało! Więcej siły! Niech moje ostatnie uczucie będzie naprawdę uczuciem!

Nic z tego. Pozostawałem obojętny i w dalszym ciągu wyrzucałem sobie tę obojętność. Potem wyrzucałem sobie, że ją sobie wyrzucam. Czyż nie po to właśnie chciałem umrzeć, żeby położyć kres wyrzutom? I po co w ostatniej minucie nadawać wartość temu życiu, z którym się zaraz rozstanę, ponieważ nie jest nic warte?

Już miałem skoczyć.

Wstrzymałem się jeszcze kilka sekund, aby podelektować się szczęściem płynącym z pewności: wreszcie ze sobą skończę.

Pomyślałem, że to wszystko takie łatwe, że tak wdzięczne i proste są moje ostatnie chwile.

Jak

* 7 *

taniec. Zaczynałem właśnie brać lekki rozpęd, by oderwać pięty, i...

- Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny! Wiatr przyniósł męski tubalny głos, bardzo dźwięczny. W pierwszej chwili nie uwierzyłem własnym uszom.

- Tak, niech mi pan da dwadzieścia cztery godziny. Ani jednej więcej. Sądzę, że tyle wystarczy.

Głos zmusił mnie, bym się odwrócił i sprawdził, czy dobywa się z jakiegoś ciała.

Ubrany na białą męczyzna siedział ze skrzyżowanymi nogami na golfowym stołeczku, najeżone pierścieniami dłonie oparł na gałce laski z kości słoniowej i mierzył mnie od stóp do głów, tak jak się ogląda przedmiot.

- Oczywiście, trzeba będzie pogłówkować, pobudzić wyobraźnię, ale to... no tak...

Zakończył swoją refleksję, wybuchając na krótko śmiechem, który zabrzmiał jak czkawka, jak suchy kaszel. Jego cienkie wąsy uniosły się, odsłaniając rząd zębów, wysyłających w słońcu różnokolorowe błyski.

Podszedłem.

W emalii kłów i siekaczy osadzone były szlachetne kamienie.

Kiedy zbliżyłem się do niego na odległość dwóch metrów, przestał się uśmiechać, jakby się obawiał, że mu je ukradnę.

*8 *

Stałem. Scena robiła się absurdalna. Nie wiedziałem już, dlaczego sobie przerwałem, nie uchwyciłem nawet sensu słów, przeszkodzono mi. Powiedziałem mu to brutalnie:

- Proszę mnie zostawić w spokoju, jestem zajęty. Popełniam samobójstwo.

- Tak, tak... zauważyłem... właśnie proponowałem, żeby poczekał pan dwadzieścia cztery godziny.

-Nie.

- Przecież dwadzieścia cztery godziny to nie tak dużo...

-Nie.

- Cóż znaczą dwadzieścia cztery godziny, kiedy nie udało się całe życie?

- Nie! Nie! Nie! I nie!

Zacząłem wrzeszczeć, tak mnie irytował. Zamilkł i odwrócił głowę, jakby się obraził za mój gwałtowny ton, jakbym był niesprawiedliwy. Dąsał się.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem z powrotem na brzeg skały. Nie będę marnował swojej śmierci dla jakiegoś kretyna, co sobie wprawił w zęby kamienie szlachetne!

Wziąłem głęboki wdech, żeby odzyskać spokój. W dole morze wydało mi się jakby bardziej oddalone, dzikie łomoty wody o skałę jeszcze bardziej wściekłe, rafy jeszcze bardziej spiczaste,

* 9 *

skalne ostrza liczniejsze. Wiatr stawał się skargą, która drażniła mi uszy, lamentem pokonanego.

Czy on wciąż tam jest?

Też coś! Przecież wcale mnie to nie musi obchodzić. Dokonuję najważniejszego i najgodniejszego aktu w mojej egzystencji. Nic nie powinno mnie rozpraszać.

Tak, ale czy on wciąż tam jest?

Rzut oka w tył: starał się odgrywać kogoś, kto nie chce przeszkadzać, siedzi sobie i myśli o czym innym, taki elegancki, taki spokojny, jakby słuchał popołudniowego niedzielного koncertu w altanie parku Floryda.

Postanowiłem nie zwracać na niego uwagi i znowu skupiłem się na skoku.

Czułem jednak na karku jakiś ciężar. Patrzył na mnie, tak, gdy tylko wiedział, że jest poza moim polem widzenia, wbijał we mnie spojrzenie, byłem tego pewny, dwie czarne źrenice z tyłu parzyły mnie, przytrzymywały, nie chciały mnie puścić. Nie byłem już sam, straciłem spokój.

Rozwścieczony, zrobiłem w tył zwrot.

- Ja tu nie robię widowiska, tylko popełniam samobójstwo!

- Obserwowałem ptaki.

- Nie. Jak tylko się odwracam do pana tyłem, czuję na sobie pana wzrok.

- Wydaje się panu.

* 10*

- Proszę odejść.

- Dlaczego?

- Niesamowite! Nie ma pan nic do roboty? Spojrzał z nonszalancją na zegarek.

- Nie, obiad mam dopiero za dwie godziny.

- Niech się pan stąd wynosi!

- Skała jest dla wszystkich.

- Niech pan spływa, bo rozwalę panu mordę!

- Coś się panu miesza: może jest pan mordercą, ale jest pan również ofiarą.

- Nie mogę umierać w takich warunkach! Obojętność, jaką odczuwałem kilka chwil wcześniej, była teraz bardzo daleko, uleciała w przestworza wraz z mewami i pewnie bawiło ją, że daje się bezwolnie unosić wiatrowi.

- Chcę być sam. Chcę, by ta chwila należała tylko do mnie. Chcę być spokojny. Jak pan może stać obok człowieka, który zaraz roztrzaska się na skałach?

- To pasjonujące.

I dodał bardzo spokojnie:

- Często tu przychodzę.

Żrenice zaszyły mu lekką mgiełką, w błękitcie jego tęczówki przesuwwały się wspomnienia.

- Widziałem wielu mężczyzn i wiele kobiet popełniających samobójstwo. Nigdy nie interweniowałem. Ale pan...

-Co?

*11 *

- Mam wielką ochotę pana powstrzymać. Zdaję sobie sprawę, że przeszkadzam w realizacji jakiegoś planu, że się panu naprzykrzam. Jednak, to ciekawe, ja, który w ogóle nie zwracam uwagi na bliźnich, nie chcę, żeby się pan rozstawał z życiem.

- Dlaczego?

- Bo za dobrze pana rozumiem. Gdybym był na pana miejscu, na pewno bym skoczył. Gdybym miał pański wygląd, wygląd tak... zniechęcający, skoczyłbym. Gdybym miał dwadzieścia lat, jak pan, to znaczy dwadzieścia lat, którym brak świeżości, które są już nadpsute, skoczyłbym. Co pan umie robić? Ma pan jakiś talent? Wykształcenie, fach?

-Nie.

- Ambicję? -Nie.

- To niech pan skacze.

Miałem mu odpalić, że właśnie mi w tym przeszkadza, ale poczułem, że lepiej przerwać tę rozmowę.

Ruszyłem pewnym, stanowczym krokiem w stronę przepaści i równie stanowczo zatrzymałem się na jej brzegu. Moje myśli przytrzymywały mi stopy przy ziemi. Jakim prawem ten upierścieniony człowiek mnie osądza? Jak śmie mi mówić, że nadaję się na złom? Jakim prawem rozka-

* 12 *

zuje mi, żebym skakał? Odwróciłem się i krzyknąłem w jego stronę:

- Popołniam samobójstwo nie dla pana, lecz dla siebie.

Wstał, rozprostowując długie szczupłe ciało, podszedł i stanął koło mnie.

Wiatr kołysał nim w przód i w tył.

- Doprawdy, bardzo pan zmienny. Kiedy proponuję, żeby pan nie skakał, pan chce skakać.

Kiedy proponuję, żeby pan skoczył, pan nie chce. Czy zawsze musi się pan sprzeciwiać temu, kto do pana mówi?

- To, co robię, dotyczy tylko mnie. To, czego nie chcę zrobić, to po prostu przyjąć do wiadomości, że pan tu jest. Proszę odejść.

- W każdym razie już za późno, już pan nie skoczy. Jeśli ktoś się waha dłużej niż cztery minuty, nigdy nie skoczy. To dowiedzione. A ja pana obserwuję od ośmiu minut.

Uśmiechnął się i słońce gwałtownie rozbłysło na klejnotach w jego zębach. Oślepiiony, musiałem zamrużyć powiekami.

Spojrzał na mnie z powagą.

- Proszę pana tylko o dwadzieścia cztery godziny. Niech mi je pan ofiaruje. Jeżeli nie przekonam pana do życia, jutro o tej samej porze mój szofer odwiezie pana i popełni pan to swoje samobójstwo.

13

Wykonał jakiś ruch i od razu dostrzegłem na szosie długą kremową limuzynę; wysiadł z niej wciśnięty w czarną skórę szofer, który palił papierosa, popatrując na horyzont.

- Dwadzieścia cztery godziny! Co znaczą dwadzieścia cztery godziny, jeśli zyska pan w tym czasie chęć do życia.?

Nie rozumiałem go. Ani łagodność, ani dobroć nie emanowały z tego człowieka, który przecież pragnął mnie uratować. Filantropi mają zwykle jakąś gorliwość, zapał, otwartość, naiwne i wilgotne oczy nad pocziwymi krostowatymi policzkami, pogodną pewność siebie - żadnej z tych rzeczy u niego nie znajdowałem. Przyjrzałem mu się z ukosa. Jego ciemne oczy, ukryte pod krzaczastymi przydymionymi brwiami, osadzone w głębi oczodołów, by móc śledzić z ukrycia, nad cienkim, wygiętym jak dziób nosem, zdawały się mierzyć świat z wysokości orlego gniazda. Wpatrzony intensywnie, przez dłuższą chwilę, w kormorany, jakby wybierał ofiarę, obiektywnie rzecz biorąc, był piękny, ale jego uroda nie miała w sobie nic ludzkiego. Był władczy niczym cesarz.

Czując, że jest obserwowany, odwrócił się do mnie i siłą woli z trudem się uśmiechnął. Zobaczyłem, jak jego wargi się rozchylają, ukazując rubin, szmaragd, topaz, opał, diament, których

* 14*

nazwy przepowiadałem sobie w myśli. Ale co to jest ów lazurowy błysk na lewym kle?

- Proszę mi powiedzieć, ten niebieski kamień to lapis-lazuli?

Drgnął i zamknął uśmiech. Świdrujące źrenice spojrzały na mnie z politowaniem.

- Lapis-lazuli? Głupiek! To nie lapis-lazuli, to szafir.

- Zgadza się.

- Słucham?

- Daję panu dwadzieścia cztery godziny.

W ten sposób zawarłem znajomość z człowiekiem, który zmienił moje życie i którego w swojej naiwności miałem przez kilka miesięcy nazywać moim Dobroczyńcą.

Limuzyna wiozła nas w ciszy.

Mój Dobroczyńca wyjął z kieszeni w drzwiach butelkę szampana, z drugiej kieliszki. Siedząc na skórzanych brązowych fotelach, odurzeni zapachem ambry, który unosił się w aucie, już trochę zawiani, popijaliśmy metodycznie. Oddawałem się zawzięcie tej czynności, gdyż dzięki niej mogłem uniknąć rozmowy. Poza tym byłem zachwycony, że sącę trunek, jadąc sobie wygodnie. Zresztą gdybym nie widział, jak pejzaż przesuwa się za przydymionymi szybami, przysiągłbym, że samochód w ogóle nie ruszył.

* 15 *

Zatrzymaliśmy się przed wyniosłym ogrodzeniem przybrany wiciokrzewem i tarczami herbowymi z kutego żelaza. Portier otworzył bramę. Samochód zgrabnie, bezszelestnie wjechał na teren posiadłości.

- Dojeżdżamy do Pępinusa.

- Pępinus?

- To nazwa mojego domu.

Droga wysadzana poprzycinanymi cisami wiła się wokół wzgórza. Wznosiła się nieustannie, jakby szła po spirali śruby. Ten stały skręt w lewo między takimi samymi ścianami takiej samej ciemnej zieleni liści przygważdżał mnie do drzwi. Byłem przyduszony. Stawało się to koszmarem. Serce leciało mi na prawą stronę ciała. Kurczowo trzymałem się klamki. Byłem o krok od zwymiotowania.

Mój Dobroczyńca popatrzył na mnie i zorientował się, że ze mną źle.

- Pępinus jest w środku spirali - wyjaśnił, tak jakby miało mi to przynieść ulgę.

W końcu samochód się rozprężył, odzyskał długość i stanął przed obszerną willą, której nie opiszę, ponieważ była zbyt obszerna. Powiem tylko, że w najwyższym stopniu ucieleśniała to,

co się rozumie przez luksus i ekstrawagancję. Od okrągłego westybulu z kolumnami na wszystkie strony rozchodziły się schody prowadzące do bal-

* 16 *

konów różnej szerokości i wysokości, gdzie wiły się zasłony wznoszące się lub opadające falistymi podmuchami. Podesty ozdabiały ogromne posągi pół ludzi, pół zwierząt w dziwacznych pozach. Majordomus prowadził mnie przez korytarze obwieszane powielanymi w nieskończoność fotografiami gospodarza, które różniły się jedynie nieznacznymi szczegółami. Następnie weszliśmy na węższe schody, gdzie malowane grubymi kreskami obrazy przedstawiały mojego gospodarza uprawiającego miłość ze wszystkimi zwierzętami, jakie istniały od stworzenia świata, nie wyłączając hipopotama i jednorożca. Za każdym razem przystrojony był w narząd narysowany jako wielki, gruby okrągły kij, coś jakby purpurowa pałka, przedmiot kojarzący się raczej z cierpieniem niż z przyjemnością. Majordomus przechodził niewzruszony pośród tych scen godowych, podobnie jak mijani przez nas lokaje i służące; brałem z nich przykład i zachowywałem się tak jak oni. Gdzie ja trafiłem?

Na ostatnim piętrze majordomus wprowadził mnie do niewielkiego apartamentu, którego oszklone drzwi balkonowe wychodziły na morze.

Zawieszane na listwach gwasze przedstawiały muszle i ślimaki. Niemal się zdziwiłem, ale tylko na moment. Kiedy bowiem podszedłem bliżej, spostrzegłem, że w rzeczywistości są to obra-

* 17 *

zy torturowanych kobiet. Zdecydowanie, jednej tylko rzeczy brakowało na ścianach tego domostwa: umiaru.

Majordomus wyszedł, położyłem się na łóżku i nie wiedząc dlaczego, zacząłem szlochać. Łzy napływały same, tak samo czknięcia, które podrzucały mnie gwałtownie na kocu. Musiałem spędzić w ten sposób dobrą godzinę, wstrząsany, coraz bardziej mokry i zasmakany, ogarnięty jakimś nieokreślonym smutkiem, zanim zrozumiałem, że to kontrast między wolą skończenia ze sobą a obecnością w tym okazałym domu jest dla mnie, przez swoją ogromną rozpiętość, nie do zniesienia.

- No to może by mi pan opowiedział trochę więcej o sobie.

Którędy on wszedł? I kiedy? Siedział na brzegu łóżka i pochylał się nade mną ze znudzoną miną, która zapewne miała wyrażać współczucie.

- Po co? - odparłem. - To pan ma mi dać chęć do życia.

- O to niech się pan nie martwi, wszystko w swoim czasie.

Podał mi kieliszek szampana. Skąd brał te butelki i szkło, które pojawiały się jak wyciągnięte z rękawa iluzjonisty? Spragniony, przyjąłem wino jak chrześcijanin hostię. Przynajmniej będę mniej myślał, gdy się upiję.

18

- No więc - podjął - kim pan jest?

- Zna pan braci Firelli?

- Oczywiście!

- Otóż ja jestem ich bratem.

Parsknął śmiechem. Uznawszy moją odpowiedź za bardzo zabawną, dał się ponieść wybuchom wesołości. Jego rozbawienie wydawało się tym okrutniejsze, że kiedy pękał ze śmiechu, powieki mu się zamykały, jakby nic więcej nie istniało, jakby szyderstwo unicestwiała wszystko, a zwłaszcza mnie! Byłem zmrożony.

W końcu wytarł oczy i po raz pierwszy spoglądając na mnie życzliwie, podjął:

- Dobrze, pomówmy poważnie: kim pan jest?

- Przed chwilą panu powiedziałem. Od dziesięciu lat wywołuje to taką samą reakcję. Jestem bratem braci Firelli i nikt mi nie wierzy. Mam tego dość. Dlatego właśnie chcę umrzeć.

Poruszony, wstał i patrzył na mnie badawczo.

- Nie do wiary. Macie tę samą matkę? -Tak.

-I tego samego... -Tak.

- To znaczy... A urodził się pan po, jednocześnie czy przed braćmi Firelli?

- Po. Są ode mnie starsi.

- Niesłychane!

19

W owym czasie na wyspie, na której mieszkaliśmy, nie sposób było nie wiedzieć, kim są bracia Firelli. Dzienniki, postery, plakaty, reklamy, klipy, filmy, przedsiębiorstwa handlowe kupowały za bająćskie sumy możliwość pokazania braci Firelli. I wtedy sprzedaż się podwajała, klienci walili drzwiami i oknami, inwestorzy patrzyli, jak w kasach rośnie im stos złota: bracia Firelli byli po prostu dwoma najpiękniejszymi chłopcami na świecie.

Nikomu nie życzę, by od dzieciństwa musiał współistnieć z pięknem. Z rzadka widywane piękno opromienia świat. Dostępne na co dzień rani, pali i zadaje rany, które się nigdy nie zblizniają.

Moi bracia byli piękni pięknem wyrazistym, pięknem, które nie wymaga żadnego wyjaśnienia. Blask ich skóry miał w sobie coś nierzeczywistego: zdawać by się mogło, że oni sami wytwarzają światło. Ich oczy wyglądały tak, jakby to one wynalazły barwę: były w nich wszystkie odcienie niebieskiego od lazuru po granat przez fiołkowonie-bieski, grafitowy, popielatoniebieski, kobalt, in-dygo i błękit. Ich karminowe, pięknie wykrojone mięsiste, wydętne wargi, zdawały się nieustannie gotowe do całowania. Ich nosy miały idealne proporcje, a drgające nozdrza czyniły je zmysłowymi. Wysocy, idealnie zbudowani, umięśnieni na tyle,

* 20 #

by widać było ich kształty, nie za bardzo jednak, tak by mogli zachować elegancję - gdziekolwiek się pojawili, skupiali na sobie wszystkie spojrzenia. Ich doskonałość podkreślał fakt, że było ich dwóch. Dwóch absolutnie identycznych.

Brzydzy bliźniacy wywołują śmiech. Piękni bliźniacy wprawiają nas w zachwyt. Ta bliźniaczkość nadawała coś cudownego ich wspaniałemu blaskowi.

Siła piękna polega na wmówieniu tym, którzy się z nim stykają, że oni sami stają się piękni.

Moi bracia zarabiali miliony na sprzedaży tej iluzji. Wrywano ich sobie, zapraszając na przyjęcia, inauguracje, do programów telewizyjnych, umieszczając na okładkach czasopism. Nie mogłem potępiać ludzi za to, że wpadają w pułapkę tego mirażu, sam bowiem stałem się jego pierwszą ofiarą. Jako dziecko byłem przeświadczony, że jestem równie wspaniały jak oni.

W chwili, gdy stali się sławni dzięki komercyjnemu wykorzystywaniu swojego wyglądu, ja właśnie poszedłem do gimnazjum. Kiedy pierwszy nauczyciel, sprawdzając listę, wymówił moje nazwisko, Firelli, twarze uczniów zwróciły się w stronę tego, który wykrzyknął: „Obecny!”. Na ich obliczach odmalowało się osłupienie. Sam nauczyciel miał duże wątpliwości. Zachęciłem go uśmiechem, by ujawnić prawdę.

*21

- Czy ty jesteś... jesteś... krewnym braci Firel-li? - zapytał.

- Tak, jestem ich bratem - oznajmiłem z dumą.

Niesamowity wybuch śmiechu wstrząsnął całą klasą. Nawet nauczyciel chichotał kilka sekund, zanim przypomniał sobie o dyscyplinie i nakazał ciszę.

Byłem oszołomiony. Coś się przed chwilą wydarzyło - i miało się potem wydarzać nieustannie - coś, czego nie rozumiałem. Nie pojmując nic z lekcji, słysząc tylko jakieś pomruki w obcym języku, niecierpliwie wyczekiwałem przerwy.

Rzuciłem się do ubikacji i przejrzałem badawczo w lustrze. Zobaczyłem w nim kogoś obcego. Kogoś zupełnie nieznanego. Do tej pory widziałem w nim moich braci, bo ani przez

sekundę nie wątpiłem, oglądając ich stale, i to w podwójnym wydaniu, że jestem do nich podobny. Owego dnia w starym zdezelowanym lustrze wiszącym nad zapyziałą umywalką odkrywałem banalną nijaką twarz, osadzoną na nijakim korpusie - aparycję tak mało interesującą i pozbawioną wyrazistych rysów czy charakteru, że mnie samego zaczęła natychmiast ogarniać nuda. Poczucie własnej mierności spadło na mnie niczym objawienie. Nigdy jeszcze nie doznałem takiego uczucia; odtąd już mnie nie opuściło.

*22 *

- Jest pan jednym z braci Firelli! - powtórzył mój Dobroczyńca, pocierając podbródek. - No to teraz lepiej rozumiem pana rozpacz.

Napełnił mój kieliszek szampanem i pokazał mi wszystkie swoje kamienie szlachetne.

- Pana zdrowie! Jestem zachwycony naszym spotkaniem. Spełnia ono moje oczekiwania jeszcze bardziej, niż sobie wyobrażałem. Stuknijmy się.

Pozwoliłem mu stuknąć w mój kieliszek, bo byłem już na rauszu i sam pewnie bym nie trafił.

- Odnoszę wrażenie, że mnie pan nie rozpoznał - powiedział z urażoną miną. - Mam rację?

- Dlaczego... czy... czy powinienem? Jest pan sławny?

- Jestem Zeus Peter Lama.

Odwrócił skromnie głowę, pewny, że wywarł odpowiedni efekt. Niestety! Nazwisko nic mi nie mówiło i przeczuwałem, że moja ignorancja przysporzy mi kłopotów. Pomyślałem, że trzeba szybko wykrzyknąć: „Ależ oczywiście!” albo: „Cóż za zaszczyt!”, albo: „O, Boże, gdzie ja mam głowę!”, słowem, jakąś formułkę, dzięki której nie wyszedłbym na pełnego głupka i która by nie obraziła mojego gospodarza. Ale - czy był to skutek spożycia trunku? - nie zareagowałem dość szybko i dopadła mnie jego wściekłość.

23

- Jak się pan uchował, biedaku? Nie tylko nie ma pan wyglądu, ale brak panu inteligencji!

Jego głos świszcział jak bat. Wpatrywał się we mnie surowo.

- Zna pan braci Firelli, a nie zna Zeusa Petera Lamy? Doprawdy, ma pan siano w głowie.

- Znam ich, ponieważ są moimi braćmi i dosyć się przez nich nacierpiałem. Reszta ludzi mnie nie obchodzi.

- Nie włącza pan telewizji? Nie zagląda do gazet?

- Żeby zobaczyć braci, a nie widzieć siebie? Nie, dziękuję.

Zamilkł pod wrażeniem mojej obrony. Wyczułem, że powinienem się okazać jeszcze trochę głupszy, żeby go uspokoić.

- A jak pan myśli, dlaczego chcę się zabić? Bo nic nie umiem robić, nic nie wiem. Dziewięć lat w dołku. Niczym się nie interesuję. Podobnie nikt nie interesuje się mną. Może gdybym wiedział, że pan istnieje, nie chciałbym się zabić?

Nie wyglądało na to, by bezmiar mojego pochlebstwa go poraził. Uspokoił się, złagodniał i usiadł przede mną. Błagałem:

- Proszę mi wyjaśnić, kim pan jest. I niech mi pan wybaczy moją ignorancję, powinienem teraz być pod wodą, na dnie morza, zjadany przez ryby.

* 24*

- Jak się pan uchował, biedaku? Nie tylko nie ma pan wyglądu, ale brak panu inteligencji!

Jego głos świszcział jak bat. Wpatrywał się we mnie surowo.

- Zna pan braci Firelli, a nie zna Zeusa Petera Lamy? Doprawdy, ma pan siano w głowie.

- Znam ich, ponieważ są moimi braćmi i dosyć się przez nich nacierpiałem. Reszta ludzi mnie nie obchodzi.

- Nie włącza pan telewizji? Nie zagląda do gazet?

- Żeby zobaczyć braci, a nie widzieć siebie? Nie, dziękuję.

Zamilkł pod wrażeniem mojej obrony. Wyczułem, że powinienem się okazać jeszcze trochę głupszy, żeby go uspokoić.

- A jak pan myśli, dlaczego chcę się zabić? Bo nic nie umiem robić, nic nie wiem. Dziewięć lat w dołku. Niczym się nie interesuję. Podobnie nikt nie interesuje się mną. Może gdybym wiedział, że pan istnieje, nie chciałbym się zabić?

Nie wyglądało na to, by bezmiar mojego pochlebstwa go poraził. Uspokoił się, złagodniał i usiadł przede mną. Błagałem:

- Proszę mi wyjaśnić, kim pan jest. I niech mi pan wybaczy moją ignorancję, powinienem teraz być pod wodą, na dnie morza, zjadany przez ryby.

* 24 *

Odchrząknął i założył nogę na nogę.

- To bardzo dla mnie kłopotliwe, że muszę panu wyłuszczać, kim jestem.

- Nie, proszę pana, to jest kłopotliwe dla mnie.

- To kłopotliwe dla mojej skromności. Bo jestem Zeus Peter Lama, największy malarz i największy rzeźbiarz naszych czasów.

Wstał, pociągnął łyk, wzruszył ramionami i utkwiał we mnie swoje świdrujące spojrzenie.

- Nie owijajmy w bawełnę: jestem geniuszem. Nie byłbym nim zresztą, gdybym tego nie wiedział. Dałem się poznać w wieku piętnastu lat dzięki obrazkom na szarym mydle. Mając lat dwadzieścia, rzeźbiłem w słomie. Mając dwadzieścia dwa, pokolorowałem Dunaj. Mając dwadzieścia pięć, opakowałem Statuę Wolności w lep na muchy. Mając trzydzieści, ukończyłem pierwszą serię popiersi w płynnym miodzie. Potem wszystko szło jak z płatka... Nigdy nie harowałem, młody przyjacielu, nigdy nie jadłem kluchów ani nie głodowałem.

7,asNszt miałem wszystkiego w bród, niczego mi nie brakowało, jestem znany i uznany na całym świecie przez wszystkich poza takimi przypadkami psychiatrycznymi jak pan. Każdy z moich gestów wart jest fortunę, najmniejszy gryzmoł przynosi mi dożywotni dochód profesora, jestem bogaty jak diabli, ale diabli mnie bynajmniej nie bio-

25

ra. Słowem, mam geniusz, sławę, urodę i pieniądze. Denerwujące, co?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Podeszedł do mnie i odstąpił pod wąsami swoją galerię drogich kamieni.

- Poza tym jestem nadzwyczajnym kochankiem.

Byłem przekonany i pod wrażeniem. Przedstawiał się w tak sugestywny sposób, że nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Znowu usiadł naprzeciw mnie.

- No i co pan o tym myśli, młody przyjacielu?

- Ja... ja... to dla mnie wielki zaszczyt, panie Zeusie Peterze Lama.

- Niech pan do mnie mówi po prostu Zeus.

Obiad podano na tarasie. Ze trzydzieści młodych dziewcząt, które nie wiadomo skąd się wzięły, paplało głośno przy mozaikowym stole. Głosy wznosiły się w tonacji wysokiej, cichły w niskiej, przechodziły w perlisty śmiech, wybuchały, zachodziły jedne na drugie, dziewczyny prychały, parskały nad talerzami jak łososie przeskakujące przez potok. Żadna nie słuchała swojej sąsiadki; wszystkie mówiły jednocześnie. Po chwili, kiedy już się z tym oswoiłem, zorientowałem się, że perorują tak i podnoszą głos tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę pana domu.

* 26 *

Ten królował przy stole na honorowym miejscu. Nie zwracał najmniejszej uwagi na wysiłki trzydziestu kobiet. Nie raczył nawet rzucić okiem na którąś z nich ani nastawić ucha na choćby urywek rozmowy; zajęty był grzebaniem w talerzu pełnym owoców morza.

Nigdy jeszcze nie widziałem tylu pięknych dziewcząt. Gładka skóra, świeże twarze, długie rzęsy, miękkie włosy, okrągłe, a mimo to smukłe kształty, delikatne nadgarstki i płynne, zręczne ruchy. Z uwagi na lato ubrane były w lekkie tkaniny: pożywiałem się otoczony

obfitością nagich ramion, złocistych rąk, odsłoniętych pępeków i biustów ledwo podtrzymywanych luźnymi materiałami. W przeciwieństwie do mojego Dobroczyńcy przyglądałem się im uważnie, zwracając uwagę na każdy szczegół, próbowałem ściągnąć ich ciekawość, usiłowałem włączać się do poga-duszek. Doświadczenie było okrutne. Miałem uczucie, że nagle stałem się niewidzialny i dotknięty niemotą: daremnie artykułowałem i wyrzucałem z siebie słowa, żadna ich nie słyszała; na próżno ustawiałem się na linii spojrzeń, żadna mnie nie widziała. Kiedy zasiadłem pośród nich, obawiałem się przez moment, żeby stan, w jaki mnie wprowadzało tyle kobiet godnych pożądania, nie został zauważony i nie wywołał wybuchu wesołości. Przy deserze byłem już zupełnie spokoj-

27*

ny: na niemą i przezroczystą zjawę zwrócono by większą uwagę niż na mnie. Utwierdziło mnie to w mojej decyzji: nazajutrz wrócę do Palomba Soi i rzucę się ze skały.

Podczas obiadu dostrzegłem, że wokół mnie odbywa się próba sił. Młode kobiety toczyły między sobą tajną wojnę. Spięte, mając się na baczności, zachowywały się jak rywalki. Żałosne wysiłki mające na celu zwrócenie na siebie uwagi Zeusa Petera Lamy obciążały ich wypowiedzi nedorzecznymi próżnymi przechwałkami - każda z nich wypuszczała strzały w pozostałe, kadząc sobie naiwnie, stosując żałosną autoreklame. Walka doszła do szczytu przy kawie, jakby jakiś sędzia miał zaraz ogłosić gwizdkiem koniec gry.

Odstawiając spodeczek, Zeus Peter Lama wstał i wskazał palcem jedną z dziewcząt.

- Paola, chodź, napijemy się czegoś.

Wysoka brunetka wstała, podnosząc triumfalnie podbródek. Pozostałe zwiesiły głowy z ustami wykrzywionymi ze złości.

Kiedy tych dwoje wyszło, dziewczyny nie zadały sobie nawet trudu, by udawać, że nadal rozmawiają. Przy stole zapanowała cisza, paraliżująca nasze ruchy podobnie jak upał. Jedyne dochodzące stąd i zowąd odgłosy przeżuwania odróżniały nas jeszcze od posągów.

28*

Myśląc, że nadeszła wreszcie moja godzina, pochyliłem się w stronę czarującej sąsiadki.

- A więc jest pani zaprzyjaźniona z Zeusem?

Zaskoczona, drgnęła i przez pół sekundy mierzyła mnie wzrokiem: zdawać by się mogło, że odkrywa moją obecność. Potem przeniosła uwagę na swoją pustą filiżankę i zapomniała o mnie.

Cisza zapanowała na dobre.

Rozejrzałem się wokół. Wszystko się zmieniło. Wychodząc, mój Dobroczyńca zerwał zasłone pozorów. Twarze utraciły maskę młodości i wdzięku; odsłaniały malujące się na nich napięcie: zobaczyłem w nich nienawiść, pogardę, ambicję, cynizm, skąpstwo... Ponieważ dziewczyny miały dopiero po dwadzieścia lat, przywary odbijały się na ich twarzach tylko przejściowo; za kilka lat utrwalały się jako stałe rysy podkreślone zmarszczkami; za kilka lat odmalują ostateczną prawdę na tych obliczach, które na razie chroni młodość.

Odchodząc od stołu, nie byłem już nawet pewny, czy uważam je za piękne.

Po odbyciu sjesty Zeus Peter Lama wezwał mnie do swojej pracowni.

Trzy z młodych kobiet pozowały nago na podium. Skrępowany odwróciłem głowę, czując się jak włamywacz. Ale modelki, zbyt pochło-

* 29 *

nięte tym, by wytrzymać w niewygodnych pozycjach, i skupione na wypatrywaniu pierwszych potknięć i słabości innych, nie poświęciły mi więcej uwagi niż podczas obiadu.

- Niech pan podejdzie - powiedział Zeus Pe-ter Lama, dając mi znak, żebym się zbliżył do sztalugi.

Stanąłem obok niego. Czując się uprawniony do porównywania, a więc do przyjrzenia się młodym kobietom, przenosiłem wzrok z płótna, które malował, na scenę na podium, która go inspirowała. Ta wędrówka oczu była wyczerpująca dla mojego mózgu.

- Co pan o tym myśli?
- No...
- Nie ma nic wspólnego, prawda?
- Ee... nie.

Ponieważ Zeus Peter Lama, który wyglądał na wyjątkowo zadowolonego, powiedział to pierwszy, mogłem to wyznać.

- Nie, nie ma nic wspólnego...

Na podium były trzy nagie młode kobiety, gdy tymczasem płótno przedstawiało pomidora.

- Czy naprawdę widzi pan... to? - zapytałem. -Co?

- Pomidora.

- Gdzie pan widzi pomidora?

- Na pana płótnie.

30

- To nie jest pomidor, głupku, to jest czerwień maciczna.

Zamilkłem. Nie wiedząc, co to jest czerwień maciczna, uznałem, że rozmowa toczy się w złym kierunku.

- Dlaczego podejrzewa pan, biedny durniu, że będę malował to, co mam przed sobą i co wszyscy widzą?

- No bo po co zatrudniałby pan modelki?

- Modelki, te trzy sztuki? Ciekawe, co takiego mogłyby mi pokazać!

Rozdrażniony splunął na paletę. Wzbierał w nim gniew. Żeby się pohamować, wymamrotał:

- Modelki! Zeus Peter Lama potrzebuje modelek! To jak powrót do średniowiecza! To chyba jakiś koszmarny sen...

Rzucił przybory przed siebie.

- Koniec! - wrzasnął do kobiet. - Idźcie się ubrać!

Schwyciły w pośpiechu kawałki tkaniny, okryły się i zniknęły bez słowa w obawie przed gromami Zeusa.

Zmierzył mnie od stóp do głów. W jego źrenicach zapłonęła złośliwa wesołość.

- To niebywałe, do jakiego stopnia nie przyciąga pan spojrzeń. Można powiedzieć, że nie ma pan trzeciego wymiaru. Jest pan płaski.

- Wiem.

* 31 *

- Tak jakby był pan namalowany na desce. Nie, kiedy mówię „namalowany”, to... W każdym razie nie przeze mnie. A farba już się starła...

Gdy się przekonał, że jego uwagi sprawiają mi cierpienie, wybuchnął śmiechem i odzyskał dobry humor.

- Nie marzył pan czasem, żeby być brzydki?

- Tak, często - odpowiedziałem ze łzami, które łaskotały mi powieki. - To by już było coś.

Poklepał mnie po plecach ze współczuciem.

- Oczywiście. Po urodzie trzeba wybrać brzydotę. Bez wahania. Jeśli brzydał nie przyciąga od razu, to przecież daje się zauważyć, wywołuje komentarze, ciemność ustępuje, anonimowość znika, droga się otwiera - co ja mówię, droga? - autostrada! Brzydał może tylko robić postępy. Bez przerwy będzie zadziwiał. Im mniej jest uwodzicielski, tym większym uwodzicielem się okaże. Będzie konwersował z wyszukaną galanterią tym lepiej, że kiedy milczy, przegrywa. Będzie odważniejszy, szybszy, bardziej zakochany, bardziej skory do pochlebstw, bardziej się będzie upajał, będzie bardziej hojny, słowem, bardziej skuteczny. Brzydale są wybornymi kochankami. Brzydale są zawsze zwycięzcami w miłości. Wystarczy zresztą rozejrzeć się wokół siebie, ile wspaniałych kobiet wychodzi za mąż za orangutanów. Nie mówiąc o atletach godnych greckich posągów, którzy

* 32 *

zawierają małżeństwa z obrzydliwymi larwami. I pomijam nawet stronę pieniężną. Uroda, piękno są przekleństwem, które wywołuje tylko rozleniwienie i gnuśność. Brzydota jest błogosławieństwem, dzięki któremu możesz stać się kimś wyjątkowym, może przemienić życie we wspaniałą egzystencję. Czy nie myślał pan nigdy o tym, żeby się oszpecić?

- Myślałem o tym... ale...

- Ale co?

- Nie zdobyłem się. Wolałem popełnić samobójstwo.

- Oczywiście, nie ma pan ani serca, ani jaj brzydala. Ma pan tylko hormony niewdzięcznika. Nie jest pan bardziej waleczny niż ciełe.

Kiedy mnie tak mieszał z błotem, przebiegła mnie fala gorąca. Odczuwałem prawdziwą przyjemność. Po raz pierwszy czułem się rozumiany. Pragnąłem, by mówił dalej.

- Ma pan rację, panie Lama. Ja umiem tylko biernie znosić... Mógłbym znieść to, że jestem piękny, natomiast nie mogę znosić tego, że jestem niewdzięczny.

- W istocie, młody przyjacielu, proszę mi powiedzieć, jeśli się mylę, pan nie tylko jest pozbawiony interesującej fizjonomii, ale też nie ma pan za wiele w łepetynie.

- Zgadza się!

* 33 *

Serce przepełniała mi wdzięczność. Policzki mnie paliły. Nigdy jeszcze nie odczułem tyle sympatii ze strony rozmówcy. Miałem prawie ochotę go ucałować.

- A zatem podsumujmy: jest pan nijaki, bezwolny, pusty i zgnębiony.

- Otóż to!

- Nikogo pan nie interesuje i pana też nikt nie interesuje!

- Dokładnie.

- Każdy może pana zastąpić?

- Byle kto.

- Całkiem przeciwnie niż mnie.

- Zgadza się, panie Lama.

- Czyli to w pewnym sensie nicość?

- Tak! - zakrzyknąłem z entuzjazmem. - Jestem pełnym zerem.

Uśmiechnął się, pozwalając mi cieszyć wzrok swoimi kamieniami szlachetnymi. Poklepał mnie życzliwie po plecach i zawyrokował:

- Jest pan człowiekiem, jakiego mi trzeba..

Mimo prośb Zeus Peter Lama odmówił mi wyjawienia, czego ode mnie oczekuje.

- Później... później... mamy czas do rana, no nie?

Zoltan, jego szofer, wywiózł go długą posuwistą i bezgłośną limuzyną i niczego więcej się nie #34*

dowiedziałem. Ale to nie miało znaczenia! Byłem dla niego interesujący! Dla niego, który żył pośród najbardziej uwodzicielskich kobiet i który dzięki pieniądzom mógł sobie na wszystko pozwolić, przedstawiałem coś jedyne w swoim rodzaju...

Przemierzając korytarze Pępinusa, gubiłem się w domysłach. Może Zeus chciał malować mierność? W takim razie byłem doskonałym modelem. Jednak on nigdy nie kopiował tego, co widział; a przyjrawszy się jego dziełom, które powiększały, wykręcały, deformowały, przejawiały rzeczywistość, o ile nie zamierzały jej ignorować, nie mogłem sobie wyobrazić, żeby wybrał taki właśnie temat. Obojętna nijakość nie wchodziła w zakres ani jego sztuki, ani jego fascynacji.

Jest pan człowiekiem, jakiego mi trzeba".

Pierwszy raz w życiu czułem, że posiadam jakąś cenną zaletę. Jednak, zgodnie z moją nijakością, nie wiedziałem jaką.

Rzuciłem się do luster. Co on we mnie widział, czego ja nie widziałem? Zbadałem dokładnie swoje rysy, pochyliłem się w stronę odbicia, próbowałem się zaskoczyć, zachwycić. Nic z

tęgo. W końcu patrzyłem w lustrze na meble lub obrazy, które mnie otaczały i które, jak mi się zdawało, posiadały lepszą prezencję niż ja. Na moment

* 35 *

dowiedziałem. Ale to nie miało znaczenia! Byłem dla niego interesujący! Dla niego, który żył pośród najbardziej uwodzicielskich kobiet i który dzięki pieniądзом mógł sobie na wszystko pozwolić, przedstawiałem coś jedyneego w swoim rodzaju...

Przemierzając korytarze Pępinusa, gubiłem się w domysłach. Może Zeus chciał malować mierność? W takim razie byłem doskonałym modelem. Jednak on nigdy nie kopiował tego, co widział; a przyjrząwszy się jego dziełom, które powiększały, wykręcały, deformowały, przejawiały rzeczywistość, o ile nie zamierzały jej ignorować, nie mogłem sobie wyobrazić, żeby wybrał taki właśnie temat. Obojętna nijakość nie wchodziła w zakres ani jego sztuki, ani jego fascynacji.

„Jest pan człowiekiem, jakiego mi trzeba.”.

Pierwszy raz w życiu czułem, że posiadam jakąś cenną zaletę. Jednak, zgodnie z moją nijakością, nie wiedziałem jaką.

Rzuciłem się do luster. Co on we mnie widział, czego ja nie widziałem? Zbadałem dokładnie swoje rysy, pochyliłem się w stronę odbicia, próbowałem się zaskoczyć, zachwycić. Nic z tego. W końcu patrzyłem w lustrze na meble lub obrazy, które mnie otaczały i które, jak mi się zdawało, posiadały lepszą prezencję niż ja. Na moment

35

powróciła myśl o pomidorze i przygnębiła mnie. Skoro on w trzech zachwycających nagich kobietach widział pomidora, och, przepraszam, czerwien maciczną, to jaką nadpsutą jarzynę ja mu zainspiruję?

Jest pan człowiekiem, jakiego mi trzeba”.

Czas płynie powoli, kiedy czeka się na odpowiedź. Niezliczone dzieła, które wypełniały ten dom, zamiast łagodzić moją niecierpliwość, irytowały mnie swoim nadmiarem.

O dziewiętnastej mój Dobroczyńca wrócił i poprosił, żebym do niego przyszedł.

W osobnym salonie przedstawił mnie pewnemu człowiekowi składającemu się z samych krągłości. Okulary okrągłe, oczy jak kulki, usta jak duże O - osobnik wydawał się zbudowany wokół brzucha: jego tułów był kulą zakończoną u góry łysą głową, na dole dwiema obutymi stopami. Był opakowany raczej niż ubrany w zmięte lniane tkaniny, a cały pakunek spinał skórzany pasek. Rzemień ten dzielił jego tułów dokładnie na pół, nie powodując żadnych wałków tłuszczu - co było fascynujące z uwagi na korpulentność - i zamiast dopasowywać ubranie do talii, zaznaczał dokładnie miejsce, w którym obie półkule się łączyły, coś jakby zewnętrzny ślad wewnętrznego styku.

- To doktor Fichet, który pana zbada.

* 36 #

Tonem nieznoszącym sprzeciwu lekarz kazał mi się rozebrać. Kiedy już mnie osłuchał, zbadał mój refleks, odruchy, giętkość, pobrał krew do dziesięciu fiolek, przystąpił do mierzenia mnie taśmą metrową; obmierzył wszystko, obwód szyi, długość piszczeli, szerokość pleców - miałem wrażenie, że jestem u krawca.

Gdy skończył pracę, poskładał swoje przyrządy z dużo większą starannością niż ta, z jaką mnie traktował, wymamrotał kilka słów do Zeusa Petera Lamy i opuścił pokój, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Kiedy zostaliśmy sami, ubrałem się i spytałem Zeusa Petera Lame:

- Dlaczego kazał pan lekarzowi mnie zbadać?

- Żeby się dowiedzieć, czy nadaje się pan do realizacji mego planu.

- To znaczy?

- Poczekam na wyniki analiz, żeby to panu wyjawić.

- Kiedy?

- Dziś wieczór.

Głupi księżyc wpatrywał się we mnie przez drzwi balkonowe.

Wciąż wychodziłem z łóżka i kładłem się z powrotem. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Z pewną goryczą stwierdziłem, że Zeus Peter Lama wy-

37

grał zakład: już nie chciałem się zabić, stałem się uzależniony, ciekawość postawiła mnie z powrotem na drodze życia, czekałem na jakieś objawienie. Bo to, co mi oznajmił Zeus Peter Lama, było rzeczywiście objawieniem dla mnie samego. Jest pan człowiekiem, jakiego mi trzeba".

O północy przyszedł służący, żeby mnie zaprowadzić do pokoju gospodarza.

Na środku okrągłego łóżka Zeus czekał na mnie w peniuarze, rozparty na różnokolorowych poduszkach - białorudawej jak brzuch łani, czerwono-nopomarańczowej jak gujański skalikurek i bladuróżowej jak udo nimfy - z kieliszkiem szampana w prawej ręce, z papierosem w lewej. Mój Dobroczyńca nie palił, ale lubił otaczać się dymem; trzymał skręta końcami palców, w ogóle nie podnosił go do ust, zapalał tylko po to, żeby spowić się artystycznie w niebieskie opary.

- Młody przyjacielu, mam dla pana dobre wiadomości.

- Ach tak? - powiedziałem, choć zaschło mi w gardle.

- Doktor Fichet jest zadowolony. Uważa, że nadaje się pan do naszego projektu.

- To bardzo dobrze.

Poczułem się pewniej, choć wciąż jeszcze się nie dowiedziałem, o co chodzi. Obawiałem się, żeby podczas badania doktora nie wyszły na jaw jakieś

* 38 *

nowe ułomności czy wady, które by osłabiły entuzjazm mojego Dobroczyńcy.

- Niech pan usiądzie koło mnie. Przedstawię panu swój plan. Papierosa?

- Nie. Podrażnia mi gardło.

Skrzywił się, marszcząc brwi, zaskoczony, że papieros mógłby wywołać kaszel, bo nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby się zaciągnąć.

- Bardzo pana proszę, panie Zeusie Peterze Lama, niech mi pan wreszcie opowie o swoim pomysśle, już dłużej nie wytrzymam.

Bywa, że latami walczymy z tym, co oczywiste, a niekiedy najbardziej szalone projekty zachwycają nas od pierwszego wejrzenia.

Zgodziłem się bez dyskusji na propozycję Zeusa Petera Lamy.

- Niemniej jednak, młody przyjacielu, niech pan się zastanowi. Ma pan czas, żeby kilka razy zmienić zdanie.

- Nie. Już się zdecydowałem. Albo to, albo wracam na skałę.

- Chce pan, żeby mój szofer, Zoltan, tam pana zawiózł?

- Nie trzeba. Zgadza się.

- Poczekajmy do jutra rana. Niech pan pomyśli, do czego to pana zobowiązuje. Niech pan też pomyśli, czego się pan wyrzeka, z cze-

* 39 *

go pan rezygnuje. Niech pan to przedyskutuje ze mną, ze sobą...

- Nie chcę niczego roztrząsać: zgadzam się!

Pierwszy etap polegał na zorganizowaniu mojej śmierci. To znaczy, mojej oficjalnej śmierci. Zeus Peter Lama nalegał, żebym napisał list do rodziców.

- Niech się pan z nimi pożegna, powie im, że samobójstwo to pańska decyzja, która nie ma z nimi nic wspólnego, że dziękuje im pan za czułość, że pan też myśli o nich czule, że nie powinni się za bardzo martwić, i takie tam zwyczajowe bzdety... A tak naprawdę kocha ich pan?

- Kogo?

- Rodziców.

- Uczucia nie są moją mocną stroną. Zamknąłem się na całe przedpołudnie, żeby napisać pożegnanie ze światem. Jakież było moje zaskoczenie, gdy pisząc je, poczułem, że płacząc rzewnymi łzami. A przecież od dziesięciu lat w rodzicach widziałem tylko lekkomyślnych, niekonsekwentnych ludzi, którzy mnie spłodzili, którzy wykręcili mi wredny numer, bo moich braci zrobili jak trzeba, a mnie spartolili; przecież uchylałem się od ich pocałunków, ich wylewnie okazywanych uczuć, unikałem rozmów; przecież uważałem, że ojciec i matka zdradzi-

li mnie, czyniąc takim, jaki jestem, że nie byli rodzicami godnymi swojego zadania, a jednak falami powracały mi wszystkie chwile sprzed... Sprzed wizji... Sprzed ukazania się mojej niemiłej fizjonomii nad umywalką w szkole... Wstrząsnęła mną nieprzyjemna pewność, przeświadczenie, że ojciec i matka zawsze mnie kochali, że nie przestali nosić mnie w sercu, nawet kiedy byłem dla nich oziębły.

Spustoszenie, jakie te myśli we mnie wyrządziły, pozwoliło mi dobrać właściwe słowa.

- Brawo, młody przyjacielu! Założę się, że każdy, kto przeczyta ten list, rozpłaczę się - oświadczył Zeus Peter Lama, wodząc po nim oczami, które pozostały suche niczym pustynia. Złożył kartkę i wsunął do koperty.

- A moi bracia?

- Słucham?

- Może napisać list do braci?

- Czy to potrzebne?

- List, który będzie ich prześladował całe życie i będzie im psuł krew jak wyrzuty sumienia...

- Kochani bracia Firelli! Nie zrobi to na nich żadnego wrażenia, są zbyt piękni. Zresztą czy oni aby mają sumienie?

- Nie wiem. Nawet jak im to nie zaszkodzi, to mnie przyniesie ulgę. To będzie zemsta. Po prostu zemsta.

41

- Jak pan chce. Ale najpiękniejszym odwetem, młody przyjacielu, będzie to, co zrobimy potem...

Chociaż miał rację, nie odmówiłem sobie rozkoszy napisania pożegnalnych oskarżycielskich słów do tych, którzy mnie tak stłamsili.

Moi kochani bracia!

Dawno już zapomnieliście, że macie młodszego brata. Pomogę wam zaradzić tej amnezji.

Postanowiłem zniknąć. Przez dziesięć lat oczekiwałem od was gestów, które nie zostały wykonane, słów, których nie wypowiedzieliście. Przez dziesięć lat zarobiliście dużo pieniędzy jako dwaj najpiękniejsi mężczyźni na świecie. Mam nadzieję, że z wiekiem staniecie się bardziej wrażliwi na innych i że odbudujecie w swoich dzieciach to, co zniszczyliście we mnie. Żegnajcie, piszę to bez odrobiny żalu.

W radosnej nadziei, że nigdy już was nie zobaczę, ani was, ani zwłaszcza fotografii braci Firelli -

Wasz mimo wszystko brat Firelli.

Zostało postanowione, że zabiję się następnego dnia rano, w poniedziałek.

O świcie Zeus Peter Lama wyjechał limuzyną z szoferem, żeby nadać moje listy.

* 42 *

Kiedy wrócił, sam prowadził samochód i zaproponował, żebyśmy się udali na skałę.

- Pański szofer z nami nie jedzie?

- Nie. Nikt oprócz pana, mnie i doktora Fiche-ta nie powinien być wtajemniczony. Żółtan wziął od dzisiaj urlop, jak co roku, i dobrze się składa. Poleciał odwiedzić rodzinę w swoim kraju.

Samochód dojechał do miejsca oddalonego dwa kilometry od przepaści i zatrzymał się pod sosnami.

- Niech pan idzie - powiedział Zeus Peter Lama, otwierając drzwi - i zostawi możliwie jak najwięcej śladów. Przyjadę po pana na górę za pół godziny.

Resztę trasy przebyłem na piechotę. Wciskałem mocno buty w błotnistą ziemię, aby zostawić głębokie ślady. Zatrzymawszy się w połowie drogi, specjalnie upuściłem chusteczkę z wyhaftowanymi inicjałami. Gdy dotarłem na szczyt, zrzuciłem plecak między dwie skały. Popatrzyłem na klif, na którym niedawno chciałem umrzeć. Teraz wydawało mi się, że tworzy jakąś dekorację. Czyhało na nim tyle niebezpieczeństw - urwiste strome zbocza, ściany najeżone ostrymi wierzchołkami, zawrotna pustka, gwałtowne, stale pojękujące wiatry, wiry powietrza, czatujące na zdobycz ptaki drapieżne - że stawał się niemal śmieszny. Jawił mi się jak naszki-

43

cowany pośpiesznie przez naiwnego malarza, który chciał zbyt dużo zmieścić w swoim obrazie.

Przywołał mnie radosny klakson.

Szybko dobiegłem do limuzyny i usadowiłem się za przydymionymi szybami.

- Teraz co najmniej dwa dni musi pan posiedzieć zamknięty w swoim pokoju.

W środę mój Dobroczyńca doniósł mi, że po otrzymaniu listu rodzice rozesłali zawiadomienie o zaginięciu. O dziesiątej rano sam poszedł złożyć zeznanie, że przed trzema dniami, kiedy jechał pod górę samochodem, miał wrażenie, że widzi jakąś sylwetkę rzucającą się z wierzchołka skały, chociaż nie jest tego do końca pewny. Po południu dzwoniła do niego policja z wiadomością, że znaleziono plecak desperata. Wieczorem ustalono, że istnieje związek między poszukiwaniami prowadzonymi z inicjatywy moich rodziców a moimi śladami na Palomba Soi. Zaczynano uznawać mnie za nieżyjącego.

W środku nocy Zeus Peter Lama wszedł do mojego pokoju spowity w szkarłatny jedwab, z dymiącym papierosem, który przekładał z jednej ręki do drugiej.

- Jesteśmy umówieni w kostnicy.

Był bardzo podekscytowany. Ponieważ nie zareagowałem dość szybko, zerwał ze mnie koc i zapalił lampy.

* 44 *

- Niech się pan pośpieszy.

- Ale dlaczego?... Nie mieliśmy tego w planie...

- To był błąd. Zabrakło mi wyobraźni. Nie chcę, żeby uznawano pana za zaginionego. Chcę, żeby zobaczyli pana nieżywego. Potrzebny mi jest pański trup.

-Co?

- Proszę się ubrać: wyjaśnię panu po drodze. Oczywiście podczas podróży z Pępinsa do miasta nie dorzucił ani słowa.

Doktor Fichet czekał na nas w podwórzu kostnicy w anemicznym świetle państwowej latarni. Wyjął z kieszeni spodni pokaźny pęk kluczy, nakazał nam milczenie, po czym wprowadził nas do budynku.

W długich milczących korytarzach zmagaly się ostro ze sobą dwie wonie: woń truskawkowego detergentu i woń rozkładających się ciał. Truskawka miała w sobie coś ostrego, ożywczego, co jednak nie zdołało zwalczyć silnego mdłego odoru forma-liny zmieszanego ze smrodem gnicia. Weszliśmy do laboratorium wyłożonego ceramicznymi płytami, gdzie panował złowrogi chłód.

- Pomalujemy pana na topielca - zapowiedział Zeus Peter Lama. - Doktor Fichet jest lekarzem sądowym, zrobi to bardzo dobrze.

- Topielec po trzech dniach? Nic prostszego - potwierdził doktor Fichet. - Zmiękczyć mięs-

45

nie, odbarwić wargi, wybielić cerę, zrobić na niebiesko żyły, pogrubzić powieki, usztywnić solą włosy...

- Dlaczego?! - krzyknąłem, bardziej przerażony perspektywą rozbierania się w tym lodowatym pomieszczeniu niż operacjami, jakie zapowiadał doktor.

- Bo chcę, żeby pana rodzice przyszli zidentyfikować ciało! Chcę, żeby zobaczyli, jak wyjmują pana z szuflady chłodziarki!

- Nie mogę tego zrobić. To za wiele. Nie umiałbym udawać martwego, gdyby moja matka zaczęła płakać.

- Ależ, młody przyjacielu! Sądziłem, że się pan zdecydował.

- Zdecydowałem się, tak. Ale nie na odgrywanie tej sceny.

- Nie będzie pan musiał jej odgrywać, ponieważ będzie pan spał.

I zanim zdążyłem coś z tego zrozumieć, doktor Fichet położył na mojej twarzy mokrą szmatę, która pograżyła mnie w nieświadomości.

Co działo się wokół mnie? Jak długo to trwało? Ile łez, ile krzyków, ile cierpień oszczędził mi sen? Nigdy się tego nie dowiem.

Doszedłem do siebie pod prysznicem w kostnicy, trzymanym przez Ficheta i Zeusa Petera

* 46 *

Lamę, którzy mydlili mnie, puszczając mocny strumień wody, aby zmyć z ciała makijaż.

Nie odzyskałem mowy. Żeby się całkiem obudzić, musiałem odbyć drogę powrotną do Pępina.

- No więc? - zapytałem, czując, jakbym miał usta z kartonu.

- Nie żyje pan i został pan zidentyfikowany. Pańscy rodzice byli bardzo dzielni.

- Ach... A bracia?

- Popłakali tylko trochę przed wejściem do kostnicy i tyle. Wywołali tym zresztą niezłe zbiegowisko.

- Płakali?

- Przy takich okazjach w ten właśnie sposób się reaguje, prawda?

Zapalił dwa papierosy, po jednym w każdej ręce, przytrzymał je mocno między długimi palcami i wykonał kilka wystudiowanych gestów, od których cały spowił się dymem.

- Chodźmy. Powinien pan odwiedzić Macieję. Poszedłem za nim, nie żądając wyjaśnień, bo najlepszym sposobem otrzymania odpowiedzi od Zeusa Petera było niezadawanie pytań.

Na trzecim poziomie w podziemiach domu, gdzie z muszli z mieniącą się macicą perłową sączyło się przyćmione światło, znajdował się okrągły basen o łagodnych powyginanych brzegach

* 47 *

wykonanych z różowego plastycznego materiału, przypominającego ludzką skórę. Pluskał w nim spokojnie jakiś bliżej nieokreślony płyn.

- Zanurzymy się w Macicji.

Macieja to była nazwa, jaką mój Dobroczyńca nadał temu podziemnemu basenowi. Mleczna woda miała trzydzieści sześć stopni, czyli taką temperaturę, jaka jest wewnątrz ciała ludzkiego. Nie wiadomo, skąd dochodziła dziwna muzyka, kompozycja sapania, bicia serca i głęboko gardłowych kobiecych śmiechów. W nieruchomym powietrzu unosił się zapach świeżego siana.

Gdy tylko wszedłem do kąpieli, poczułem się tak dobrze, że zapadłem w błogi sen.

Obudziłem się wyczerpany, bez czucia. Uśpienie wprowadziło pewną zmianę. Tak jakbym przeszedł przez komorę izolacyjną, która prowadziła mnie z jednej części mojego życia do drugiej.

Mój Dobroczyńca po wyjściu z wody został poddany masażowi, który robił mu atleta o okrągłych kształtach, o skórze napiętej przez mu-skuły. Jego typowo męska budowa zniewiesiała wskutek nadmiaru ciała, braku owłosienia i delikatności naoliwionego

naskórka. Zeus miał wprawdzie do zaoferowania tym potężnym dłoniom jedynie kości, pomrukiwał jednak z zadowolenia.

Pod zimnym prysznicem, który następnie wzięliśmy, szepnął mi na ucho:

- A może pójdziemy na pana pogrzeb?

Nigdy nie zapomnę dnia swojego pogrzebu. Zobaczyłem wtedy więcej ludzi, niż spotkałem przez całe życie. Po niewielkim cmentarzu dreptało ponad tysiąc osób. Na zewnątrz służby porządkowe musiały ustawić barierki, aby powstrzymać napływających gapiów. Tu i ówdzie wyskakiwały z tłumu kamery, mikrofony i flesze, co świadczyło o zainteresowaniu moim pogrzebem mediów.

Kiedy wychodząc z limuzyny Zeusa Petera Lamy, w peruce i w ciemnych okularach, ujrzałem to wielkie zgromadzenie, zastanowiłem się, czy przypadkiem w sprawie swojego życia nie wydałem złej diagnozy: czy nieudany, szpetny chłopak mógłby wywołać takie zbiegowisko? Czyżbym się pomylił? Te zapłakane dziewczyny, ci czyhający na wypowiedzi dziennikarze, dostojni notable, wszyscy oni przyszli tu dla mnie, a ja myślałem, że jestem niewidzialny...

- Może niepotrzebnie umarłem - powiedziałem na ucho Zeusowi Peterowi Lamie.

Uśmiechnął się i natychmiast rozbłysły flesze. Po dłuższej chwili stosownego pozowania odpowiedział mi szeptem:

* 49 #

- Za późno. I bądź cierpliwy. To nie koniec niespodzianek.

Podał zaproszenie cerberom, którzy bronili wejścia, i znaleźliśmy się na cmentarzu.

Chór dziecięcy - z mojej byłej szkoły, stojący na jednym z grobowców - śpiewał hymny.

Cztery otwarte księgi leżały na stole i czekały na wpisy. Ludzie pospieszyli w ich stronę z powagą i zapisywali wiele linijek.

Przechodząc obok, rzuciłem okiem. Nie wierzyłem własnym oczom. „Był jeszcze piękniejszy niż jego bracia, bo o tym nie wiedział”. „Jak aniołowie i spadające gwiazdy, jak wszystko, co rozsiewa łaskę, był z nami zaledwie chwilę”. „Naszemu Małemu Księciu”. „Kochałem go całym sercem, a on mnie nie zauważył. Agata”. „Przez swoją śmierć pozostaniesz wspinały i na zawsze niedostępny. Irena”. „Nikt cię nie zastąpi w naszych sercach. Krystian”. Nie tylko nie znałem imion sygnatariuszy, ale nigdy ani przez chwilę nie podejrzewałem, że można wyrażać takie myśli pod moim adresem. Byłem wstrząśnięty.

Nigdy nie miałem aż takich wątpliwości co do swoich władz umysłowych jak w dniu własnego pogrzebu. O ile setki nieznajomych czy ludzi ledwo mi znanych, co do których byłem pewny, że jestem im obojętny, żarliwie mnie opłakiwało, o tyle moi rodzice, za których głowę bym dał,

* 50

że będą załamani, jako jedyni sprawiali wrażenie nieuczestniczących w ogólnej rozpacz.

Przyklejeni do siebie, stali z dala od tłumu, gdzieś z tyłu, najwyraźniej wrogo nastawieni do żałobnych manifestacji; podawali wiotką dłoń mężczyznom, którzy składali im kondolencje, i unikali spojrzeń kobiet, które uderzały w panegirycz-ny ton.

Tylko moi bracia zachowywali się tak, jak przewidziałem. Stojąc samotnie na podwyższeniu, w świetle reflektorów, oddawali się posłusznie zabiegom ekipy makijażystów i omawiali ze swoimi stylistami, jakie odcienie czerni powinni włożyć do zdjęć.

W końcu fotograf krzyknął niespodziewanie, że oświetlenie jest już idealne.

- Na grób, szybko, na grób.

Bracia, a za nimi ekipa techniczna, przecisnęli się przez tłum, by dotrzeć do marmurowej płyty.

Przecisnąłem się do nich: chciałem zobaczyć swój nagrobek.

To, co ujrzałem, powaliło mnie i zatkało.

Było tam oczywiście moje imię i nazwisko, data urodzenia i data śmierci, ale był również portret. Pod nim moi starsi bracia napisali: „Naszemu braciszkowi, który był jeszcze piękniejszy od nas. Nieutuleni w żalu”. Rozpoznałem zdję-

* 51 *

cie: nie przedstawiało mojej twarzy, lecz twarz jednego z bliźniaków w wieku piętnastu lat. Zeus Peter Lama klepnął mnie po plecach i podał mi plik gazet. Na pierwszych stronach powtarzało się to samo kłamstwo: „Los zabitego orlątko. Najmłodszy z Firellich, jeszcze piękniejszy od swoich starszych braci, zapragnął dołączyć do grona aniołów, do których tak był podobny”.

Przywarłem do piersi Zeusa Petera Lamy. Wszyscy myśleli - bo udzielają nam się uczucia innych - że to z żalu. Nikt nie mógł przypuszczać, że płaczę z wściekłości.

- Dranie! Ukradli mi moje życie. Ukradli mi moją śmierć. Ukradli mi nawet moją podobiznę.

- Naszą najśłodsza zemstą będzie to, co teraz zrobimy, no nie? - odpowiedział Zeus Peter Lama.

Ta perspektywa wróciła mi odwagę.

- Ma pan rację. Chodźmy już stąd. Potraçałem bez żenady tych pajaców, którzy wiedząc o tym lub nie, opłakiwali oszustwo. Zanim przekroczyliśmy bramę cmentarza, ostatni raz rzuciłem okiem na rodziców, których zachowanie - ich jedynych - nagle wydało mi się bardzo godne.

- Nie ma czego żałować - powiedział Zeus, pociągając mnie za rękę. - Do roboty.

52

To było moje ostatnie wspomnienie przed opuszczeniem tego świata.

Stoły do śniadania ustawiono na południowym tarasie. Spotkały się tu wszystkie piękne dziewczyny z Pepinusa, żeby boczyć się na siebie nad srebrną zastawą. Czekając na pana domu, przeglądały kolorowe magazyny, które zamieściły sprawozdanie z mojego pogrzebu. Zerknąłem kątem oka. Wiedząc, że nie figuruję tam jako zmarły, byłem ciekaw, czy figuruję jako żywy w peruce i czarnych okularach; rzeczywiście widać było Zeusa Petera Lamę pocieszającego moje plecy; pokazywał paparazzim współczujący grymas, który, jako bardzo fachowy, pozwalał mu odsłonić rzędy kamieni szlachetnych, a tym samym uzasadnić opublikowanie fotki. Pewna gwiazda rocka, słynna z przeszczepów włosów, ogłaszała, że poświęciła mi piosenkę Anioł przeszedł wśród nas, a jakiś producent filmowy zaproponował moim braciom, żeby zagrali w filmie opowiadającym historię naszej rodziny; oni zaś, zbyt jeszcze wyczerpani żalem, poprosili o rozsądny termin na podjęcie decyzji.

Zeus Peter Lama wszedł, wziął ze stołu słodką bułkę i pogłaskał nadgarstek sąsiadki z prawej strony.

- Paola była dla mnie bardzo miła tej nocy.

53

Przesłał Paoli pocałunek, a ona, gdy tylko go otrzymała, odwróciła się do współbiesiadniczek z pewną siebie miną.

Następnie Zeus Peter Lama pogrążył się w lekturze prasy, a Paola przez pół godziny dostawała za swoje: do jej szklanki wpadło winogrono, ochlapując ją, na toście z miodem, który jej podano, znalazła się dziwnym trafem rozwścieczona osa, pojemnik z cukrem okazał się pojemnikiem z solą, kiedy już posypała sałatkę owocową, a na koniec dzbanek z wrzącą herbatą przewrócił się przypadkiem na jej kolana. Piękne dziewczyny kazały płacić Paoli za to, że ich pan ją wybrał. Wyznaczając bohaterkę nocy, Zeus wyznaczył również ofiarę dnia. Zeus, odseparowany za twórczymi oparami dymu z papierosów, niczego nie zauważył. Wstał i powiedział, przechodząc obok mnie:

- Chodź. Zadomowisz się.

Poszedłem za Zeusem na parter prawego skrzydła.

- Zostaniesz tu przez jakiś czas, ile będzie trzeba.
- Przedstawił mi służącego w białym fartuchu z twarzą gęsto pokrytą trądzikiem.
- Tytus nie pozwoli się nikomu zbliżyć. On pilnuje już mojej żony.
- Pan ma żonę?
- Oczywiście. Oto twój pokój.

*54

Wprowadził mnie do sali, która wydawała się pusta, ale po kilku sekundach zobaczyłem całą jej zawartość. Było to białe pomieszczenie z białymi meblami, białymi zasłonami, białymi lampami, podłogą wyłożoną białymi płytami, z białą pościelą. Kształty, skąpane w tym niepokalanym świetle, nie odcinały się wyraźnie, kanty przedmiotów zanikały i kilka razy się na nie nadziałem.

- Dobrze ci tu będzie, to ustronne miejsce. Wyjdiesz, jak skończymy.
- Dobrze.
- Fichet będzie pracował obok.
- Kiedy zaczynamy?
- Jak najszybciej. Nie mogę się doczekać.

Wymacałem, że naprawdę stoi tu kanapa, po czym upewniwszy się, jak jest ustawiona, usiadłem na niej.

- Dlaczego nie spotkałem pana żony?
 - Chcesz ją zobaczyć? - spytał mnie Zeus Pe-ter Lama. - Tytus, idziemy do Pani.
- Służący o wyglądzie pieczonej szynki zaprowadził nas do pokoju, w którym wisiały ocieplane kombinezony. Zeus Peter Lama włożył jeden z nich, zorientowałem się, że powinienem pójść w jego ślady. Wtedy Tytus otworzył nam ciężkie drzwi z okuciami niczym drzwi w banku.

* 55 *

Weszliśmy do zimnego pokoju. Kliniczne światło jarzeniówek zieleniło podłogę i ściany. Zeus podszedł do wielkiej otwartej zamrażarki i teatralnym gestem wskazując jej wnętrze, zaanonsował:

- Przedstawiam ci moją żonę.
- Pochyliłem się i zobaczyłem leżącą, na dnie skrzyni młodą dziewczynę przypudrowaną szronem. Miała na sobie prostą suknię z białego jedwabiu, przyozdobioną elegancką biżuterią. Gdy lepiej się jej przyjrzałem, zauważyłem, że twarz pod kryształkami lodu ma idealnie regularne, szlachetne rysy.

- Kiedy umarła? - spytałem.
 - Ona wcale nie umarła. Z własnej woli zapadła w zamrożony sen.
- Zamyślił się.

- To było...

Przez chwilę szukał w pamięci, potem, zniechęcony, spojrzał na licznik lodówki.

- Ach tak, dziesięć lat temu!...

Był szczerze zdziwiony, że minęło aż tyle czasu. Widać nie bardzo mu jej brakowało.

- Myśli pan, że ona nas słyszy?
- Też coś, młody przyjacielu. Jeszcze zanim została zamrożona, nikogo nie słuchała, nie ma powodu, żeby to się miało zmienić.

Spojrzał z wyrzutem na jarzeniówki i wykrzyknął:

* 56 *

- Dziesięć lat! A przecież pamiętam tę uroczystość, jakby to było wczoraj. Donatella tak się cieszyła ze swojej decyzji.

- Chce pan powiedzieć, że weszła do tej zamrażarki z wielką ochotą?
- Uważała, że jest tak piękna, że postanowiła zamrozić się w wieku dwudziestu ośmiu lat, zanim zostanie tknięta zębem czasu. Była przekonana, że nauka znajdzie w końcu sposób na

powstrzymanie starzenia się, i zażądała na piśmie, żeby ją wtedy rozmrożono. Nawet gdyby to miało potrwać trzydzieści czy pięćdziesiąt lat.

Zastanawiał się na głos:

- Bardzo mi się spodobała jej jasna wyraźna decyzja.. Donatella nigdy nie uznawała kompromisów. Weszła do lodowego łóża tak, jakby się kładła w salonie kosmetycznym na seans masażu.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Była to bardzo ładna uroczystość: przebrałem służących za pingwiny; przyjaciele, którzy zjechali z całego świata, rzucali jej naręcza szarotek, kiedy wchodziła do skrzyni, zasypiała w niej, słuchając śpiewu wielorybów. Muszę powiedzieć, że to robiło wrażenie.

- Nikt nie przeżywa w takiej temperaturze. To ją na pewno uśmierciło! - wykrzyknąłem.

* 57 *

Popatrzył w zamyśleniu na swoją małżonkę.

- Zdania są podzielone. Konsultowałem się z adwokatami i ekspertami. Jedni mówią, że umarła, drudzy - że jest w stanie hibernacji. Trzeba by ją było ogrzać, żeby poznać prawdę. To natomiast mogłoby spowodować zgon. Nikt nie chce podjąć takiego ryzyka. Słowem, rezultat jest taki, że dopóki ona pozostaje w lodzie, nie mogę się ponownie ożenić.

- A chciałby pan?

- Moje stosunki z Donatella bardzo się oziębily. A poza tym mam zwyczaj się żenić.

Uważam, że mój geniusz twórczy potrzebuje muz. Donatella była moją ósmą żoną.

Podrapał się w głowę.

- Jest moją ósmą żoną. Jest nią nadal, jako że nikt nie może dzisiaj powiedzieć, czy umarła, czy też wciąż żyje. Trzeba czekać na postępy nauki. Dziwne, prawda? Nie wiem, czy jestem wdowcem po Donatelli, czy też Donatella zostanie kiedyś wdową po mnie.

Wyszliśmy z zimnego pokoju. Byłem raczej zadowolony z powrotu do normalnego otoczenia, choćby do mojego białego pokoju z białymi meblami.

Tytus Szyńka przyszedł nam powiedzieć, że Paola - szczyt pecha, i to tego dnia - źle stąpnęła na schodach i złamała nogę. Karetka zabra-

#58*

ła ją do szpitala. Zeus w ogóle nie przejął się tą wiadomością.

- Rozumie pan, młody przyjacielu, statystycy twierdzą, że męski osobnik z naszej wyspy zalicza w ciągu swojego życia pięćdziesiąt siedem i pół kobiety.

- Pięćdziesiąt siedem kobiet...

-... i pół! No tak, należało przez piętnaście lat studiować wyższą matematykę, żeby mieć prawo przecinać kobiety na pół. Ja oczywiście jestem bardzo daleko od tych rachunków. Nie zniósłbym, gdyby mnie wtłoczono w byle średnią. Jestem dużo powyżej pod względem liczby zdobytych kobiet. Jestem też dużo powyżej pod względem liczby kobiet poślubionych.

Zawdzięczam to wyobrażeniu, jakie mam o sobie.

- Dlaczego pan się z nimi żeni?

- Ceremonie, młody przyjacielu, ceremonie! Kobieta nie szanuje cię bez ceremonii. Musi być kościół, tiul, gołębie, organy, prezenty, teściowa, drażetki, chusteczki, bankiety, goście, inaczej kobiety biorą nas za to, czym jesteśmy, czyli za zwykłych maniaków seksualnych. Bez pompy ceremonii nie odróżniłyby nas od pospolitego kochanka.

Zaczął krzyczeć:

- Bo ja jestem mężem, młody człowieku, mężem! Nie kochankiem! Kiedy gramy sztukę, chcę

59

mieć rolę szlachetną. To jako mąż realizuję swoje potencjalne możliwości wobec kobiety.

Chcę, żeby mi wszystko zawdzięczały.

- Co się stało z innymi pana małżonkami?

- Wszystkie umarły.

Nagle Zeus Peter Lama podszedł do okna i zmarszczył brwi.

Na dole ogrodnicy zajmowali się gołębiami. Zeus pchnął okno i zawył:

- Co to za błękit! Kpicie sobie czy co? Natychmiast zmieńcie ten błękit!

Teraz ja z kolei podszedłem i stwierdziłem, że mężczyźni zajmują się malowaniem ptaków.

- Rozjaśnijcie ten błękit. Ma być bardziej fioletowy. Pokazywałem wam wzór: leśny barwinek w słońcu. Przecież to nie takie trudne? Leśny barwinek w słońcu!

Umierałem z pragnienia, żeby go zapytać, dlaczego barwi pióra tych gołębic, ale się powstrzymałem. Zapewne w dowód wdzięczności odpowiedział:

- To do mojej tęczy.

Skinąłem głową, jakbym zrozumiał, po czym wróciłem do jego małżonek.

- Współczuję panu, że stracił pan żony.

- Ach tak? - rzekł zdziwiony. - Wszyscy tak mówią. Tymczasem nie przeżyłem tego boleśnie. Każdy z tych zgonów miał swoją historię.

* 60 #

Jak artystyczne pociągnięcie pędzlem. Ostateczne pociągnięcie. Sposób zamknięcia opowiadania i przekształcenia go w legendę. Mogę sobie powinszować, że znalazłem kobiety, które umiały z klasą zarówno wejść w moje życie, jak i z niego wyjść. Miały geniusz inscenizowania. A poza tym, wierz mi: przyjemniej jest wspominać zmarłą niż żyjącą. Byłem wdowcem siedem razy, tak jak siedem razy byłem żonaty: szczęśliwie!

Usiadł na taborecie, którego ja nie zauważyłem, i pograżył się we wspomnieniach:

- Pierwsza, Barbara, była stworzeniem intensywnie mistycznym, które utrzymywało regularne stosunki ze zmarłymi za pomocą wirujących stolików; któregoś ranka zostawiła mi liścik na łóżku: „Ciekawość mnie zżera, muszę tam iść, zobaczyć, już dłużej nie wytrzymam”, i się zabiła. Druga, Roza, o wiele mniej uduchowiona, jadła tak szybko, że zatkała sobie przewód oddechowy muszlą ostrygi. Trzecia., Ewa, modelka prezentująca modę, skończyła tak jak wszyscy w jej branży: udusiła się winogronem po dwóch latach anoreksji, winogronem, z którego zapomniała zdjąć skórę. Lizabeta, czwarta, cierpiała na chroniczną nadpobudliwość i któregoś dnia jej serce zatrzymało się z przerażenia, gdy siedziała przed telewizorem, gdzie ciekawska mysz sa-dystka prześladowała biednego kota, wyjątkowo

*61 *

Jak artystyczne pociągnięcie pędzlem. Ostateczne pociągnięcie. Sposób zamknięcia opowiadania i przekształcenia go w legendę. Mogę sobie powinszować, że znalazłem kobiety, które umiały z klasą zarówno wejść w moje życie, jak i z niego wyjść. Miały geniusz inscenizowania. A poza tym, wierz mi: przyjemniej jest wspominać zmarłą niż żyjącą. Byłem wdowcem siedem razy, tak jak siedem razy byłem żonaty: szczęśliwie!

Usiadł na taborecie, którego ja nie zauważyłem, i pograżył się we wspomnieniach:

- Pierwsza, Barbara, była stworzeniem intensywnie mistycznym, które utrzymywało regularne stosunki ze zmarłymi za pomocą wirujących stolików; któregoś ranka zostawiła mi liścik na łóżku: „Ciekawość mnie zżera, muszę tam iść, zobaczyć, już dłużej nie wytrzymam”, i się zabiła. Druga, Roza, o wiele mniej uduchowiona, jadła tak szybko, że zatkała sobie przewód oddechowy muszlą ostrygi. Trzecia., Ewa, modelka prezentująca modę, skończyła tak jak wszyscy w jej branży: udusiła się winogronem po dwóch latach anoreksji, winogronem, z którego zapomniała zdjąć skórę. Lizabeta, czwarta, cierpiała na chroniczną nadpobudliwość i któregoś dnia jej serce zatrzymało się z przerażenia, gdy siedziała przed telewizorem, gdzie ciekawska mysz sa-dystka prześladowała biednego kota, wyjątkowo

* 61 #

dobrze narysowanego. Piąta... Jak miała na imię piąta?

- Nie pamięta pan imienia swojej piątej żony?

- Młody człowieku, nie znam ani jednego męża, który mając osiem żon, przypominałby sobie na zawołanie imię piątej!

Przez chwilę szukał w pamięci, zapalając dwa papierosy. Po jednym w każdej ręce.

- Ach tak, Izabela... Arystokratka, smukła, jasnowłosa, erudytka. Tragiczny koniec. Umarła przygnieciona przez krowę.

- Przygnieciona przez krowę?

- Siedziała za kierownicą swojego kabrioletu i jechała górską drogą. Nad jednym z wiraży na występie skalnym pod ciężarem krowy osunęła się ziemia. Jej zwały oraz zwierzę runęły na samochód. No i jak mam spokojnie pamiętać o żonie, która zginęła przywalona przez krowę? Kiedy mnie zawiadomiono, nie uwierzyłem, wybuchnąłem szaleńczym śmiechem. Nawet w dniu pogrzebu jej rodziną, przyjaciółmi, dziećmi z chóru, całym kościołem, łącznie z księdzem, wstrząsał nerwowy chichot.

Wydał ciężkie westchnienie i odpędził te wspomnienia.

- Estrella, szósta, wpadła na głupi pomysł zażycia środka nasennego przed wejściem do solarium: znaleziono ją wysuszoną i brązową w zmumifiko-

* 62 #

x

wanym stanie. A Pinta, siódma, została uduszona przez kochanka, który był o mnie zazdrosny, ponieważ w chwili orgazmu wykrzykiwała moje imię. Pomyślał o ósmej i zakończył:

- Teraz z Donatella jestem trochę w kropce. Zazwyczaj kończę małżeństwo wdowieństwem. Bo jestem przeciwnikiem rozwodów. A poza tym, jak tu dać coś do podpisania kostce lodu!

- Nigdy nie dziwiły pana te wszystkie śmierci? Przyjął moje pytanie ze zdumieniem.

Nalegałem:

- Nie wydało się to panu... dziwne?

- To prawo serii. Skoro żenię się seryjnie, logiczne jest, żebym był seryjnym wdowcem. Pięcioletni matematyk by ci to wyjaśnił.

- Jednak... to, że wszystkie odeszły przed panem, czy nigdy, choćby przez sekundę, nie wzbudziło to w panu poczucia...

Nie zdołałem wymówić pod adresem mojego Dobroczyńcy słowa „winy”. Zeus, pełen dobrej woli, obserwował uważnie moje otwarte usta, wyczekiwał na słowo, próbując nawet je odgadnąć.

Zdecydowałem się na powtórzenie zdania, myśląc, że zdołam z rozpędu wykrztusić słowo „winy”.

- Czy wszystkie te zmarłe, te kolejne śmierci nigdy nie wzbudziły w panu choćby przez sekundę, poczucia...

Patrzył na mnie z uwagą, czatując na słowo. Spróbowałem jeszcze raz.

- ... poczucia...

- Że jestem nieśmiertelny? Tak, oczywiście. Jakżeby inaczej?

I opuścił mój pokój, udając się do pracowni.

- Odpocznij. Musisz być w dobrej formie. Pójdę przygotować makiety dla tego pocziwego doktora Ficheta i będziemy mogli przejść do poważnych spraw.

Zatrzymał się jednak na progu. Obrócił się na pięcie i popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że odtąd wszystko będzie inaczej?

- Mam nadzieję.

- Że całkowicie oddajesz się w moje ręce? -Tak.

- Że stajesz się na zawsze zależny ode mnie?

-Tak.

- Że sens twojego życia jest teraz w moim umyśle, tylko w moim? -Tak.

- Że w pewien sposób stajesz się moją własnością?

-Tak.

- Mógłbyś mi to napisać?

Ocknąłem się przyciśnięty do biurka z piórem w dłoni - Zeus Peter Lama stał za moimi

* 64 *

plecami, prowadził mi rękę i podpowiadał tekst.

- Dlaczego chce pan, żebym to pisał?

- Papier ma lepszą pamięć niż ludzie. Boję się, żebyś później w euforii nie zapomniał tego, co przed chwilą powiedziałeś.

Powoli nagryzmołem kilka zdań. -Jak mam podpisać? Nie mogę użyć swojego imienia i nazwiska, ponieważ oficjalnie nie żyję.

- Wystarczy, że podpiszesz JA.

Tak zrobiłem i oddałem mu kartkę. Odczytał na głos:

- „Oddaję się całkowicie w ręce Zeusa Petera Lamy, który zrobi ze mną, co zechce. Jego wola zastąpi moją w sprawach mnie dotyczących. Ze wszystkich sił i wolnej nieprzymuszonej woli, które jeszcze posiadam, postanawiam dobrowolnie stać się jego całkowitą własnością. JA”.

Pogłaskawszy to oświadczenie, jakby było żywym zwierzęciem, wsunął je do kieszeni i wbił we mnie wzrok niczym pyton hipnotyzujący swoją zdobycz.

- Widzę w tobie coś wspaniałego...

- Co takiego?

- Twoją przyszłość.

Operacja odbyła się w noc kwietniowej odmiany Księżyca.

* 65 *

Trwała dwanaście godzin.

Nic nie czułem. Kładąc się na noszach, byłem na tyle głupi, że przestraszyłem się uśpiania, tymczasem dopiero przebudzenie okazało się bolesne. Ogień. Dochodziłem do siebie w ogniu. Całe ciało mnie paliło. Kończyny wydane były na pastwę płomieni i na dodatek okładano mnie kuksańcami. Ledwo oprzytomniałem, zacząłem wyc.

Zeus i doktor Fichet wstrzyknęli mi morfinę. To oddaliło ból, który na jakiś czas stał się znośny. Moje krzyki i jęki przerodziły się w ziajanie.

Kilka godzin później pożar powrócił.

Znowu mnie kłuli.

Zdaje się, że spędziłem tak pierwszy tydzień. Palące ciało podlewane morfiną.

Drugi tydzień był mniej bolesny, upłynął jedynie pod znakiem gorączki. Bredziłem, majaczyłem. Ledwo otwierałem oczy. Rzucałem się na łóżku przez sen, a moje sny były jak woda porywająca kawałek korka; bracia na oczach rodziców robili mi tysiące paskudnych kawałów - kilka razy oblali mi nawet twarz kwasem pruskim, bo wypiękniałem; budziłem się zlany potem. Nie uświadamiałem już sobie wyraźnie, gdzie się znajduję. Zapomniałem, że moje okno wychodzi na gołębnik, i myślałem, że trzepotanie skrzydeł, bicie nimi przy odlocie, rzygliwe gruchanie, cały

66

ten rejwach odbywa się w mojej zabandażowanej głowie.

W trzecim tygodniu zaczęła się rekonwalescencja.

Sam Zeus przychodził mnie opatrywać, czyścił rany, smarował maściami, zmieniał bandaż. Swoimi cennymi rękami artysty wykonywał najbardziej poniżające czynności. Okazywał nadzwyczajną cierpliwość. Trzeba powiedzieć, że od chwili operacji stałem się jego namiętnością.

- Niesamowite! Wspaniałe! Zadziwiające! Niesłychane! - wykrzykiwał, przewijając mnie i posypując talkiem.

Z każdym dniem coraz bardziej się mną zachwycił. Niewątpliwie spełniałem jakąś, nie wiem jaką, obietnicę. Chwalił harmonię, śmiałe ujęcie mojej osoby. Jednak nie pozwalał mi jeszcze

przejrzeć się w lustrze. Bardziej niż mnie cieszyło go szybkie gojenie się moich ran, wchłanianie się obrzęków, znikanie siniaków. Kiedy widziałem, jak się delektuje poprawą mojego stanu, przypuszczałem, że będzie cierpieć tak samo jak ja, gdy wda się infekcja. Rozpromieniał się, klaskał, nie posiadał się z radości, wręcz się rozpływał. Miałem uczucie, że jestem wywoływana właśnie odbitką fotograficzną, na której z każdym dniem ukazuje się trochę więcej.

#67*

-Jesteś moim dziełem, moim arcydziełem, moim triumfem!

Kiedy smarował mnie balsamem gojącym z pokrzywą o zapachu arniki, rozczulał się.

- Rzucam wszystkich na kolana. Nie mam już konkurentów. Króluję. Jesteś moją bombą atomową. Po tobie nic już nigdy nie będzie takie samo.

Maść się wchłaniała. Przeszywał mnie rozkoszny chłód. Miałem wrażenie, że ktoś polewa mnie źródłaną wodą. On się delektował.

- Zwycięzam nawet Naturę. Dotąd, kiedy ciebie jeszcze nie było, tylko ona mogła uchodzić za moją poważną rywalkę. Natura! Ale tym razem nawet ona, taka przebiegła, taka pomysłowa, taka cwana, nie jest zdolna wykonać tego, co ja właśnie zrealizowałem na tobie! Zapóźniona! Bez talentu! Nie dość ekstrawagancka!

- Czy jestem piękny?

- Stworzyłem cię, żeby upiększyć świat.

- Czy jestem piękny?

- Daj spokój tym banałom. Nie chciałem, żebyś był piękny, byłbym cię uprzedził, chciałem, żebyś był jedyny, dziwny, niepowtarzalny, całkiem inny! Co za upajający sukces! Gdybyś się zobaczył, mój drogi...

- Proszę mi dać lusterko.

- Jeszcze nie, za wcześniej. Nikomu nie wolno wchodzić do pracowni malarza. Nawet tobie!

68

- Jak wyglądam, do czego jestem podobny?

- Nie jesteś podobny do niczego znanego, ponieważ sztuka nie jest imitacją. Jesteś moim dziełem. Moją prawdą.

Pomachał zdjęciem moich braci.

- Popatrz, do czego może dojść Natura, kiedy przechodzi samą siebie. Co za nędza! Żenada, czysty banal. Nie ma nic bardziej względnego niż piękno. Jedna róża to piękno. Dziesięć róż to coś drogiego. Sto róż to nuda. Tysiąc róż, kapujesz?, oszustwo wychodzi na jaw: Natura jest pozbawiona wyobraźni. Trafiłem kiedyś na pole róż, tak, tak, całe pole, róże jak okiem sięgnąć: to straszne doznanie dla kogoś, kto zachował odrobinę szacunku dla artystycznego talentu, jaki się przypisuje Naturze. Zero! Sztuka przemysłowa! Mechaniczne odtwarzanie! Wszystkie wady wychodzą na jaw: monotonia, wiara w stare kanony, rutyna, absolutna niezdolność do odnawiania się. Popatrz na swoich braci i wyobraź sobie, że jest ich więcej. Co za ubóstwo środków: różowa skóra, czerwone wargi, niebieska tęczęwka i jasne włosy... Dla kolorysty to żenująca, miernota. Co za nieporadna obsesja symetrii: dwoje ramion, dwie ręce, dwie dłonie, dwie nogi, dwie stopy... Dla rzeźbiarza to totalne lenistwo. A te nędzne wysoki poza symetrię: nos, usta, pępek, narządy płciowe, zawsze pośrodku, dokładnie

* 69 *

pośrodku i jednym pociągnięciem... Dla rysownika to wprost żalosne w swej miernocie. Ja się na to nie piszę. Ja wymyślam coś nowego. Sięgam dalej i wyżej. Otwieram nowe drogi. Beze mnie ludzkość nie byłaby tym, czym jest.

Wpatrywanie się we mnie wprowadzało go w stan rosnącej egzaltacji. Tak dalece nie byłem przyzwyczajony do wywoływania zachwytów, że z początku podejrzewałem, iż się ze mnie nabija; potem się przeraziłem, że może przesadza tak przez uprzejmość, z jaką zwykło się

traktować chorych; kiedy jednak zobaczyłem, że jego pochwały nieustannie się nasilają, straciłem nad sobą kontrolę i oddałem się rozkoszy bycia podziwianym. Zagustowałem w tym. Bywały dni, kiedy uważałem, że jego zachwyty nie trwały dostatecznie długo. Chciałem sobie wyrobić jakieś zdanie o dziele, którym się stałem, ale Zeus usunął wszystkie lustra, wszelkie przedmioty metalizowane czy lakierowane, w których mógłbym się przejrzeć, i zadawał sobie trud związywania moich bandaży tak skomplikowanymi węzłami, że nie potrafiłem sam ich rozplatać.

Doktor Fichet przychodził codziennie, aby ocenić postęp mojego powrotu do zdrowia, jak prawdziwy księgowy medycyny. Byłem dla niego sumą cyfr, które zapisywał w notesie. Wyczekiwałem niecierpliwie, ale on, jak mi się zdawało, nigdy nie

* 70 *

okazywał najmniejszej emocji na mój widok. Natomiast podskakiwał nerwowo, ilekroć go o coś zapytałem, i dopiero po jakichś trzydziestu sekundach dochodził do siebie, trzymając jedną rękę na sercu, drugą na czole - wtedy mógł mi odpowiedzieć, aczkolwiek robił to bardzo niechętnie.

- To normalne - wyjaśnił mi kiedyś Zeus Pe-ter Lama. - W kostnicy ma do czynienia tylko z trupami.

Rozumiałem, dlaczego Zeus Peter Lama poświęcał mu tak mało uwagi i nigdy nie pytał o zdanie: doktor był tylko wykonawcą pozbawionym jakiegokolwiek wrażliwości artystycznej. Wkrótce zacząłem podzielać pogardę Zeusa dla tego uczonego i technicznego mózgu.

- Dlaczego wybrał pan Ficheta? - zapytałem Zeusa Petera Lamę.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. On też bywał czasem zaskoczony, że ja mówię, zwłaszcza kiedy zadawałem pytanie, a tym bardziej kiedy to pytanie świadczyło o długim procesie myślowym.

- Ficheta? Dlatego że jako lekarz sądowy bardzo dobrze włada skalpelem. A poza tym, przede wszystkim dlatego, że gra.

- Co to ma wspólnego?

- Przepuścił bajońskie sumy w ruletkę. Jest w zbyt dużych opałach, żeby mieć jakiegokolwiek skrupuły. Ma nóż na gardle.

* 71 *

r

Trudno mi było uwierzyć, że Fichet w ogóle się czymś pasjonuje. Próbowałem wyobrazić go sobie, kiedy z tym swoim okrągłym brzuszkiem śledzi gorączkowo, jak toczy się kulka. Co za głupota! Pograżać się w hazardzie, podczas gdy istnieje sztuka, Zeus Peter Lama i ja. Ten człowiek nie zasługiwał na nasze towarzystwo.

Pałałem chęcią wyjścia na świat. I chociaż Zeus Peter Lama godzinami prawił mi komplementy, cierpiałem, że w moim życiu jest tylko on, tym bardziej że doskonale widziałem, iż jego pochwały, odbijając się rykoszetem ode mnie, coraz częściej odnoszą się do niego. Był moim Dobroczyńcą, więc nie miałem mu za złe tego samozadowolenia, jednak z niecierpliwością wyczekiwałem jakiejś odmiany, sumiennie wprawiając się w chodzeniu i staniu w miejscu.

- Jak tam, młody przyjacielu - powiedział któregoś wieczoru Zeus Peter Lama - czujesz się zdolny do wyjścia?

-Tak.

- Nie masz już ochoty umierać?

- Nie. Tak bardzo chcę wiedzieć, co o mnie powiedzą.

- Doskonale, jesteś wyleczony.

Zeus Peter Lama zorganizował wielkie przyjęcie z okazji tego, co nazwał moją inauguracją.

72

Przez cztery dni willa Pėpinus tętniła przygotowaniami. Ustawiano stoły, przycinano krzewy, instalowano reflektory.

Zeus rozesłał zaproszenia do wszystkich ważnych osobistości na naszej wyspie. Przeglądając listę gości, z przyjemnością zauważyłem, że moje narodziny będą jeszcze bardziej wystawne niż mój pogrzeb. Rozmarzyłem się zwłaszcza przy jednej linijce: „Bracia Firelli”. Czy przyjdą? Zapytałem Zeusa Petera Lamę, a on mi doniósł, że zajęci są kręceniem filmu autobiograficznego, na który w końcu wyrazili zgodę, i przekazali przez rzecznika prasowego, że nie przybędą.

- Szkoda - westchnąłem.

- Nie martw się. Zawsze tak odpowiadają, a potem jednak się pokazują. Nie mogą przecież stracić okazji do brylowania. Chcą po prostu dać do zrozumienia, że stanowią atrakcję i że są rozrywani. A przecież brushing nie zabiera całego dnia.

- Więc ich zobaczę?

- Zobaczysz. A przede wszystkim oni zobaczą ciebie.

O godzinie dwudziestej Zeus Peter Lama dał znak gwizdkiem. Na ten sygnał, tak jak zostało ustalone, służący wycofali się do kuchni, a pięk-notki do swoich mieszkańek.

Doktor Fichet i Zeus, mając wreszcie wolną drogę, wyprowadzili mnie z pokoju i kazali wejść

73 *

na podwyższenie, które ustawiono na głównym tarasie.

- Zostaniesz tu. Poczekaasz. Jak chcesz, możesz się na tym oprzeć.

Zająłem miejsce na wysokim taborecie i Zeus otoczył mnie lekką drucianą konstrukcją, na której położył ciężką purpurową zasłonę. Dodał zieloną wstęgę i przykazał:

- Nie ruszaj się, dopóki nie ściągnę tkaniny. Znowu zagwizdał i pojawili się służący. Przez szparę między dwiema połami materii widziałem, co dzieje się przede mną.

Goście wtargnęli do Pėpinusa o dwudziestą trzydziestą. Przybywali aleją wydrażonych melonów, w których zamknięto robaczki świętojańskie. Służący, przebrani za żołnierzy Armii Czerwonej, podawali trunki, kanapki z algami i sałatki z fluorescencyjnych grzybów. Zeus Peter Lama ubrał trzydziestą pięćnotek w różowe kombinezony bez kantów ani szwów, które doskonale imitowały nagość: tkanina niczym skóra opinała bezwstydnie ciała i tylko dwa guziki koloru różowej fuksji na piersiach oraz trójkąt czarne-go włosia na podbrzuszu zdradzały oszustwo. Dumne ze swoich ciał, zadowolone, że się pokazują, pięknie paradowały wśród zebranych, nie domyślając się, podobnie jak ja, że Zeus zrobił im te uniformy udające łososiową nagość tylko po

* 74*

to, by tym silniej zdezwuować Naturę i jej żenujący brak inwencji.

O dwudziestą pierwszą trzydziestą Zeus Pe-ter Lama zgromadził wszystkich na tarasie, na którym stałem - aby wypuścić tęczę.

- Tęczę? Przecież jest noc!

- Niepotrzebne mi ani słońce, ani deszcz, żeby stworzyć tęczę - odpowiedział Zeus, uderzając w gong.

Z głębi ogrodu dobiegło brzęczenie. Chmury poczerniały. Powietrzem wstrząsnęła dziwna wibracja. Coś jakby odległe baterie działa. Kilka kobiet krzyknęło ze strachu. Wybuchły petardy. Potem z reflektorów wytrysło światło, wiązki świetlne tańczyły wzdłuż i wszerz, ukazując to, co działo się ponad nami. Wystraszone, trzepoczące skrzydłami, drżące gołębice latały nad ogrodem, unikając siadania na ziemi z powodu detonacji, omiatane wiązkami promieni. Ptaki żółte fruwały razem, czerwone też, niebieskie z niebieskimi, indygo z

indygo... Smugi barw spotykały się na firmamencie i nigdy żaden kolor nie zniknął ani się nie rozpraszał.

- Najdziwniejsze - wyjaśnił Zeus Peter Lama swoim gościom - że kiedy gołębicę zostaną już pomalowane, łączą się z gołębicami z tej samej kadzi; żyją razem, nie zadają się w ogóle z innymi. Kolor staje się rasą. Widać, wbrew temu,

* 75 *

co się powszechnie uważa, głupota to nie tylko ludzka przypadłość.

Tęcza z piór znikła i służący przynieśli na noszach główne danie, Arcimboldo, ogromne skarmelizowane ciało atlety, składające się z wszelkich gatunków mięs - bażanta, indyka, kurczaka, strusia, przepiórki, wieprzowiny, baraniny, jag-nięciny, wołowiny, koniny i dziczyzny - których pieczenie zostały umiejętnie połączone, tworząc kształt do złudzenia przypominający sportowca. Goście niczym kanibale rozszarpali championa na kawałki, gdy tymczasem piękności, pozbawione posiłku, żeby nie utyły, pożerały talerze wzrokiem. Bawiły mnie ich zazdrosne spojrzenia, dopóki nie dotarło do mnie, że podobnie jak one jestem za moją zasłoną odcięty od jedzenia i że z powodu zmęczenia i głodu wieczór mi się dłuży. O dwudziestej drugiej trzydzięci przybyli bracia Firelli, nie przeprasając za spóźnienie, przeciwnie, bardzo zadowoleni, że udało im się dotrzeć.

Natychmiast otoczyła ich zwarta grupa. Od chwili mojej śmierci nadąsany grymas, w jaki zazwyczaj układały się ich grube i zmysłowe wargi i który w końcu miał skompromitować ich przyszłość, uchodził za wyraz smutku. Nareszcie zdawali się coś wyrażać. Zachwyceni, odgry-

* 76 #

wali smutnych piękniśców, piękniśców posiadających głębię, znających ludzkość i jej cierpienia. Tupałem z niecierpliwości za zasłoną.

O dwudziestej trzeciej Zeus Peter Lama wszedł na podium i poprosił o ciszę.

- Przyjaciele, mówi się głośno: „Zeus Peter Lama jest wielki”, ale po cichu myśli się: „Jego geniusz przeminął. Cóż takiego może nam jeszcze pokazać? Wszystko już wymyślił”. To prawda. Rysunek, gwasz, akwarela, węgiel, pastele, olej, akryl, krew, benzyna, żółć, woda, ekskrementy, wszystkiego używałem do malowania. Marmur, gips, glina, wapń, kreda, drewno, gąbka, lód, mydło, krem, piana, wszystkiego używałem do rzeźbienia. Na wszystkim, co martwe, odcisnąłem silne piętno swojej inspiracji. Ujarzmiłem nieżywe ciała, aby zapisać na nich swoją żywą myśl. Beze mnie ludzkość nie byłaby tym, czym jest. Co więc robić? Jak was zaskoczyć? A zwłaszcza jak zaskoczyć siebie samego? Czy egzystencja geniusza miałaby już tylko być lotem nurkowym w dół, od chwili gdy osiągnął szczyty? Czy jestem skazany na bezradne przyglądanie się własnemu upadkowi? Nie!

Wśród gości przeszedł pomruk uznania. Wyczuwając, że nadeszła moja kolej, zacząłem drżeć.

- Nie. Zeus Peter Lama nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Przetwarzałem wszelkie mar-

* 77 *

two ciała, moi przyjaciele. Ale żywe? Nigdy dotąd, moi kochani, nikt nie pracował na żywym ciele. Zobaczyłem, że jego palce chwytają płótno, które mnie osłaniało.

- A zatem przedstawiam wam, po raz pierwszy w historii ludzkości, żywą rzeźbę.

Tkanina sfrunęła nade mną z hałasem płóciennych skrzydeł i ukazałem się zgromadzonemu w samych szortach.

Przyjęli szok stłumionym „Aa”, tak jakby musieli przytrzymać na brzuchu rzuconą z całej siły piłkę. Brwi się zaokrąglały. Otwarte usta nic nie mówiły. Czas uległ zawieszeniu.

Zeus Peter Lama podszedł i spojrzał na mnie z dumą. Kiedy mówię „spojrzał na mnie”, muszę uściślić, że chodziło o moje ciało, ponieważ od chwili operacji Zeus nie patrzył mi w oczy, zapewne dlatego, że przetrwały one jako jedna z nielicznych części mojego jestestwa,

których nie przerobił. A przecież owego wieczoru jakaś miła wymiana spojrzeń podniosłaby mnie na duchu, tym bardziej że cisza wokół mnie wciąż gęstniała.

Zeus krzyknął władcym tonem:

- Wstań!

Tak jak ustaliliśmy, zerwałem się z taboretu na równe nogi. Wśród widzów przeszedł pomruk przerażenia. Przekonani, z racji mojego co najmniej dziwnego wyglądu, że mają przed sobą

78
rzeźbę, byli zaskoczeni, widząc, jak marmur się ożywia.

Zeus Peter Lama wypiął pierś niczym pogromca i wrzasnął, jakby strzelał batem:

-Idź!

Powoli, z trudem zrobiłem kilka kroków. „Iść” nie było odpowiednim słowem, bardziej na miejscu byłoby „przemieszczać się”, bo od czasu ingerencji mojego Dobroczyńcy, miałem niejake kłopoty z... no, mniejsza! Dwa razy okrążyłem podium, chwiejąc się niebezpiecznie przy każdym ruchu. Nie ośmielałem się patrzeć na nic innego, tylko na swoje stopy - tu też słowo nie jest już odpowiednie, powinienem zapewne powiedzieć „moje kontakty z podłożem” - sztywniałem z nieśmiałości, która wstrzymywała mnie przed odwróceniem głowy w stronę zgromadzonych.

- Ukłoń się!

Tego nie było w umowie. Speszyłem się. Nie zareagowałem. Zeus Peter Lama, wypinając pyszałkowato tors, powtórzył głośniejszym głosem, jakbym był dziką bestią, która nie słucha polecenia:

- Ukłoń się!

Żeby już przestał sobie zdzierać płuca, pochyliłem górną część ciała. Z pierwszego rzędu rozległo się czyjeś klaskanie, klaskanie bardzo wyraźne, głośne, stanowcze jak stukanie maszyny do pisania. Potem zaklaskał ktoś inny. Potem jesz-

* 79 #

cze ktoś. I jeszcze. Wkrótce już całe zgromadzenie biło w dłonie.

Ośmieliłem się wtedy odwrócić twarz. Czy po to, żeby goście zobaczyli moje oczy i mogli stwierdzić, że jestem istotą ludzką? Do oklasków dołączyły okrzyki. Uśmiechnąłem się - w każdym razie spróbowałem, bo z moimi... no, mniejsza! Brawa jeszcze się nasiliły.

Wyciągnąłem do nich dłonie. Z tłumu rozległ się gromki odzew. Przy każdym moim ruchu owacja się wzmagала. Miałem wrażenie, jakbym naciskał guzik, który wprawia publiczność w szal. Byłem oszołomiony. Nowy gest, nowy odzew. Nigdy w życiu nie byłem oglądany, oklaskiwany, witany okrzykami. Mój Dobroczyńca podszedł i wziął mnie za rękę, aby przyłączyć się do moich ukłonów. Zebrani wyli, wrzeszczeli, tupali. Kłanialiśmy się bez końca niczym dwie gwiazdy tańca po skończonym balecie.

Zeus wykonał błagalny gest, po którym hałas przycichł i przyjęcie trwało dalej. Ale ja pozostałem atrakcją. Goście defilowali przede mną, żeby zbadać każdy detal mojego ciała. Ze wszystkich stron napływały komplementy. Zgodnie z rozkazami nic nie mówiłem; obserwowałem natomiast ciekawskich i słuchałem ich komentarzy.

- To nadzwyczajne!

- Wkraczamy w nową erę.

- To historyczny wieczór!

* 80 *

- Przyznaję, że od pewnego czasu nie śledziłem twórczości Zeusa, ale tu naprawdę mnie zadziwił.

- Czy to człowiek, czy nie człowiek?

- W każdym razie to wielkie dzieło.

- Patrzcie na jego rzeźbę i podziwajcie, nieprawdopodobne złudzenie! Można by przysiąc, że rozumie, co mówimy.

Wśród najbardziej zainteresowanych znajdowało się trzydzieści ślicznotek. Poowijane, wymodelowane, różowawe, niezdolne dopatrzeć się związku między tym, kim byłem dawniej, a tym, czym byłem teraz, przyglądały mi się najpierw z zaciekawieniem, z jakim ogląda się przedmiot z targu staroci, zastanawiając się, czy postawiłyby mnie u siebie w domu, czy nie; potem, zaintrygowane komentarzami różnych dostojników naszej wyspy o mojej oryginalności, śmiałości i rewolucji, jaką wprowadzam, obejrzały mnie badawczo z takim zdziwieniem, jakby ktoś im powiedział, że fotel jest jadalny; ich zachowanie nabrało wrogości, kiedy się zorientowały, że nikt nie zwraca na nie uwagi, nie licząc kilku lubieżnych starców i dyżurnego wulgarne-go miliarda-ra. Co za radość. Skupiłem na sobie całą uwagę. Zepchnąłem je w cień. To dzięki ich niechęci zrozumiałem, że odniosłem sukces.

W końcu podeszli moi bracia.

#81 *

Patrzyli na mnie długo, jak nigdy przedtem, kiedy byłem ich bratem. Nie oczekiwałem, że coś powiedzą, ponieważ nie mieli zdania na żaden temat. Tego wieczoru spędzali przede mną przepisową ilość czasu, dokładnie tyle, ile należało spędzić przed obrazem w muzeum, aby móc uchodzić za miłośnika sztuki. Po trzech minutach odwrócili się do swojego rzecznika prasowego, wysokiego suchego brzydala, całego w zamkach błyskawicznych, strasznie modnie odpicowane-go, jak zwykle ludzie szpetni.

- Co o tym myślisz, Bob?

- Na pewno was nie przyćmi, chłopaki. Bracia Firelli przyjęli to zapewnienie z ulgą. Bob wyjął puderniczkę, słomkę i zaczął wciągać nosem. Bliźniaki drążyły dalej, pokazując na mnie.

- Ale szczerze, jak ci się to podoba?

- Guzik mnie obchodzi.

- Nie rozumiesz: co mamy mówić ludziom?

- Spoko, żrebaczki. Odpowiadacie jak zwykle: obłędne-genialne-wspaniałe-rewelacyjne-obłęd-ne-naprawdę-obłędne!

- Nie można by powiedzieć czegoś inteligentnego?

- Po co?

Bob, odświeżony, poruszając nozdrzami, schował puderniczkę i uśmiechnął się z dosadną złośliwością.

* 82 *

- Tylko tego brakowało, żebyście mówili inteligentne rzeczy! Chcecie stracić swoją publiczność?

- Ale...

- Cisza! Kochają was, bo jesteście piękni, domyślają się na pewno, że prochu nie wymyślicie. Tolerują was tylko za tę cenę. Gdybyście zaczęli mówić jak ci od Nobla, to byłby koniec waszej kariery, moje dzióbki.

Popchnął ich brutalnie w stronę bufetu, mrużąc pod nosem:

- Mówić rzeczy inteligentne, bracia Firel-li! Dawno nie słyszałem podobnej głupoty! Na szczęście wam to raczej nie grozi...

Czułem się niepewnie. Konfrontacja z braćmi dostarczyła mi mniej przyjemności, niż przypuszczałem. To, czego się domyślałem z ich rozmowy z Bobem, dziwiło mnie: a więc oni też mają Dobroczyncę, który za nich myśli. Nie spodobało mi się to, że nie wystarcza im uroda. Czegóż lepszego można sobie życzyć niż pięknej aparycji? Właśnie dlatego, że ja jej nie miałem, postanowiłem stać się dziwny. Byłem wzburzony.

Potem posypały się na mnie komplementy, dobroczynne, ożywcze jak promienie słońca w ogrodzie po zimie. Niesłychane! Nieprawdopodobne! Nowatorskie! Pełne inwencji! Świeże! Transcendentne! Żadne z tych słów nie miało

* 83 *

prawdziwego sensu, ale były wypowiedane z taką siłą, że prawie wybuchały. Zrywały z tym chłodem obojętności, który mroził mnie do szpiku przez całe życie, ogrzewałem się w promieniach uznania, wreszcie się rodziłem...

- Jak pan zatytułuje to dzieło, drogi mistrzu?

- A jak pan sądzi? - odparł Zeus Peter Lama, gładząc podbródek.

Rozległy się krzyki. Rzucano nazwy. Zupełnie jak na aukcji. Padały propozycje: Wymarzony człowiek, Inny człowiek, Ten, którym chcielibyśmy być, Ten, którego już nie oczekiwaliśmy, Człowiek totalny, Człowiek jutra, Człowiek dzisiejszy, Marzenie jest blisko, Pamiątka Doriana Graya, Ten, którego Bóg nie umiał zrobić, Bóg z nieznanymi adresatami, Śpiączka twórcy, Człowiek bioniczny, Poza Dobrem i Złem, Tak mówił Zaratustra, Poza Brzydotą i Pięknem, $E=mc^2$, Lewiatan, Złota Antyliczba, Synteza, Teza-antyteza--sreza, Sen Epimeteusza, Alfa i Omega, Odwet chaosu, Unikat.

Mój Dobroczyńca przyjmował każdą propozycję z pobłażliwym uśmiechem. Potem wskoczył na estradę i wskazał na mnie:

- Jest tylko jeden tytuł dla tego rewolucyjnego dzieła: Adam bis.

I tak zostałem ochrzczony wśród błysku fleszów i oklasków.

-:•:- 84 *

/ M

O ile moje ciało przez kilka dni dochodziło do siebie po tym wieczornym przyjęciu, w czasie którego zmuszony byłem zbyt długo stać, o tyle mój umysł upajał się radością, której bym nigdy nie podejrzewał.

Mój Dobroczyńca przynosił mi do łóżka dzienniki lub czasopisma, w których wydrukowano moje zdjęcie.

Nie ma co, moje odsłonięcie zrobiło ze mnie gwiazdę. Adam bis zajmował pierwsze strony codziennych gazet i okładki tygodników.

Sława wydała mi się czymś normalnym. Więcej, uznałem to za odszkodowanie, które mi się należało. Nie czytając nigdy nic poza prasą, myślałem, że dziennikarze mówią tylko o rzeczach ważnych; otóż choć ważny we własnych oczach, byłem przez nich skandalicznie ignorowany; teraz, kiedy odnajdywałem się na każdej stronie, jawiło mi się to jako kres niesprawiedliwości. Moje istnienie zostało poświadczane. Lepiej: uroczyście ogłoszone.

Przyjemność powiększała się o drobne złośliwości: mierzyłem miejsce poświęcane braciom, śmiesznie małe w porównaniu z moim; sprawdzałem rangę piór, które mnie komentowały.

Niekiedy ogarniał mnie gniew: z „Aktualności” relegowano mnie na strony „Społeczeństwo” albo jeszcze gorzej, na strony „Kultura” na koń-

85

cu gazety. Zeus Peter Lama ledwo sobie radził z uspokajaniem mnie.

Co dzień organizował nowe sesje z najlepszymi fotografami z wyspy.

-I oto nadszedł drugi etap twojej chwały, mój drogi Adamie bis. Najpierw fotografowano cię dlatego, że byłeś inny. Teraz fotografują cię dlatego, że jesteś sławny. Popularność to zwierzę, które karmi się samo sobą.

Z przyjemnością zgadzałem się na wszystkie pozy. Wciąż jednak odmawiałem rozebrania się do naga.

Wieczorem Zeus Peter Lama dyskutował ze mną na ten temat.

- Powinieneś się mnie słuchać i pozować nago. -Nie.

- Nie będziesz wiecznie chodził w tych cudacznych spodenkach!

- O ile wiem, myszka Miki nigdy nie zdjęła swoich majteczek.

- Nie porównuj, proszę, mojego dzieła do tej nic nieznaczącej myszy.
- Nie będę pozował nago.
- Twoi bracia nie mieli zahamowań. I to przed fotografami mniej wziętymi niż ci, których ja ci sprowadzam.
- Nie mam ochoty skończyć na plakacie w garderobie kasjerki supermarketu.

*86 *

- Nakazuję ci. Nie masz nic do gadania.
- Moja nagość należy do mnie.
- Nic już do ciebie nie należy. Podpisałeś papier, czyżbyś zapomniał?
- Nie na to. To jeszcze jest moje.
- Nie bardziej niż reszta. Dobrze wiesz, że wszystko przerobiłem.
- Niech mi pan da trochę czasu.
- Właściwie masz rację. Poczekajmy jeszcze trochę. Zdjęcia zyskają na wartości.

Z każdym dniem wprawiałem się coraz bardziej w przemieszczaniu się. Surrealistyczne i pełne inspiracji uniesienie mojego Dobroczyńcy pewnego kwietniowego wieczoru posłużyło celom bardziej estetycznym niż praktycznym. To właśnie któregoś ranka, kiedy miałem kłopoty z oddaniem moczu, zarzuciłem Zeusowi, używając obelżywego sformułowania.

- Drogi Adamie bis - odpowiedział chłodno - jeśli chciał pan, żeby było praktycznie, nie należało oddawać się w ręce geniusza.

- A jednak.

- Jeśli chciał pan, żeby było praktycznie, trzeba było pozostać takim, jaki pan był. Natura, ta to się świetnie wyspecjalizowała w praktyczności! Praktyczne i mało kosztowne. Bardzo dobry stosunek jakości do ceny. Inżynier nędzy. Chce pan być znowu taki jak dawniej?

87

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, postanowiłem przywyknąć do tego nowego ciała i więcej się nie skarżyć.

Wkrótce zrobiłem dostateczne postępy, by jadać posiłki razem z resztą domowników.

Królowałem na końcu stołu, naprzeciwko Zeusa Petera Lamy, który z odległości piętnastu metrów wbijał we mnie spojrzenie, jakim darzy się ukochanego syna.

Zeus przykazał mi, żebym publicznie nie wypowiadał nigdy ani słowa, co mnie trochę frustrowało, za to bardzo odpowiadało trzydziestu młodym kobietom, które hałasowały przy obiedzie i, skoncentrowane na uwodzeniu Zeusa, i tak nikogo nie słuchały. Od przystawek do kawy pięk-nisie traktowały mnie z szacunkiem należnym majestatycznemu bukietowi kwiatów i mogłem się im przyglądać do woli. Przez resztę dnia, kiedy Zeus zamykał się w pracowni, pozwalały sobie na kpiny i złośliwości pod moim adresem:

- Popatrz, kreatura straciła swojego doktora Frankensteina?
- Nie, to Quasimodo szuka swojego dzwonka.
- Dzwonka? Chyba ma go na głowie?
- Na głowie? Gdzie toto ma głowę?
- Na tym czymś, gdzie są oczy...

Nawet w ich obelgach było coś pozytywnego. Wyrażając gniew, złość, urazę, zazdrość, piękności

* 88 *

zaświadczały o mojej wyższości. Zazdrośnik pluje tylko na tego, kto go przewyższa. A poza tym tak długo cierpiałem na niewidzialność, że wszystko, co dodawało blasku mojej egzystencji, czy to komplementy, czy sarkazm, mile łechtało moją miłość własną.

Zresztą ataki pięknotek ograniczały się do słów. Żadna z nich nie ośmieliłaby się mnie popchnąć czy podstawić mi nogę. Wszystkie odnosiły się z respektem do pracy Zeusa Petera Lamy.

- No więc, mój drogi Adamie bis, czy czujesz się wreszcie gotowy do prawdziwej sesji fotograficznej?

- To znaczy...

- Bez majtek myszki Miki. Gotowy? -Nie.

Twarz Zeusa zachmurzyła się jak niebo przed nadchodzącą burzą. Jego źrenice ciskały czarne wiązki błyskawic.

Potem się uśmiechnął i ukazała się tęcza., wszystkie klejnoty na jego zębach rozbłysły.

- Dziś wieczorem mam ważnych gości. Zamykam piękności w pokojach, bo przeszkadzają w prowadzeniu inteligentnej rozmowy. Chcesz do nas dołączyć?

- Z przyjemnością.

- Bardzo dobrze. Oczywiście nie mówisz ani słowa.

* 89*

Choć podczas kolacji nie rozmawiałem, byłem tematem, do którego konwersacja bez przerwy wracała. Antykwariusze, właściciele galerii, tak-satorzy licytacyjni i handlarze sztuką, których Zeus Peter Lama zaprosił, stawiali coraz więcej pytań.

- Czy dzieło takie jak to ma jakieś szansę znaleźć się pewnego dnia w naszych sklepach?

- Czemu nie? Jeśli przypnie pan cenę.

- Jestem gotowy przypiąć. -Ile?

- Dziesięć milionów.

Zeus Peter Lama uśmiechnął się, jakby właśnie usłyszał subtelny dowcip.

- To ma znaczyć, że jest pan gotowy? Musi się pan jeszcze przygotować.

- Dwanaście milionów.

- Chyba pan żartuje.

- Piętnaście? Dwadzieścia?

- Tak czy inaczej na razie nie ma mowy, żebym się rozstawał z Adamem bis.

- Czy ma pan zamiar stworzyć inne dzieła tego rodzaju?

Tu ja z kolei z niepokojem czekałem na odpowiedź. Odwróciłem się do Zeusa, który długimi paznokciami pracowicie rzeźbił kulkę chleba, znajdując przyjemność w tym, że nadużywa naszej cierpliwości. Zazdrość zapierała mi dech.

- Nie od razu.

Odetchnąłem z ulgą. Zajęty sobą i tylko sobą od chwili nowych narodzin, nie czułem się usposobiony do tego, żeby mieć braci i siostry ani żeby dzielić się z kimś uczuciem mojego Dobroczyńcy.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się nagle pewien szwajcarski marszand - czy zmienił mu pan wszystkie organy i kończyny?

- Wszystkie, które widać, tak.

- Wszystkie?

- Z wyjątkiem oczu.

- A więc przerobił pan również to, co mężczyzna ma między nogami?

- Narządy płciowe? Tak, to mi się wydało konieczne.

- A co mu pan sfabrykował?

- Sonomegafor.

Wokół stołu nastąpiła długa, pełna zdziwienia cisza. Jakaś kobieta w końcu zapytała nieśmiało:

- Co takiego?

- Sonomegafor. Najbardziej udana metamorfoza.

Mój Dobroczyńca wziął kieliszek z winem i siorbnął, przetrzymując nektar w ustach.

Milczenie biesiadników zabarwiło się niezrozumieniem; czekali na wyjaśnienia. Zeus cmoknął językiem.

- Najlepsze, co sobie można wyobrazić.

* 91 *

- Nie od razu.

Odetchnąłem z ulgą. Zajęty sobą i tylko sobą od chwili nowych narodzin, nie czułem się usposobiony do tego, żeby mieć braci i siostry ani żeby dzielić się z kimś uczuciem mojego Dobroczyńcy.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się nagle pewien szwajcarski marszand - czy zmienił mu pan wszystkie organy i kończyny?

- Wszystkie, które widać, tak.

- Wszystkie?

- Z wyjątkiem oczu.

- A więc przerobił pan również to, co mężczyzna ma między nogami?

- Narządy płciowe? Tak, to mi się wydało konieczne.

- A co mu pan sfabrykował?

- Sonomegafor.

Wokół stołu nastąpiła długa, pełna zdziwienia cisza. Jakaś kobieta w końcu zapytała nieśmiało:

- Co takiego?

- Sonomegafor. Najbardziej udana metamorfoza.

Mój Dobroczyńca wziął kieliszek z winem i siorbnął, przetrzymując nektar w ustach. Milczenie biesiadników zabarwiło się niezrozumieniem; czekali na wyjaśnienia. Zeus cmoknął językiem.

- Najlepsze, co sobie można wyobrazić.

* 91 *

I nikt nie wiedział, czy mówi o smaku wina, czy o moim sonomegaforze.

- Oczywiście jest to prototyp, unikalny model. Ale gdy się dobrze wejrzy w historię świata, można dostrzec, że od starożytności wszyscy wielcy zdobywcy, Aleksander, Cezar, Attyla, mieli coś zbliżonego do sonomegaforu.

Wśród gości przebiegł pomruk zachwytu, spoglądali na siebie wyraźnie poruszeni.

Zeus Peter Lama chyba nie zdawał sobie sprawy, że tak roznamiętnia swoich gości, bo zaczął lepić palcami następną kulkę chleba. Zdawało się, że tylko to go zajmuje, kiedy nagle dodał, prawie mimochodem:

- Sonomegafor Aleksandra był zresztą znany.

Podniósł kulkę na wysokość nosa i uśmiechnął się do niej, jakby to była stara znajoma, którą spotkał przypadkiem.

- Nie miał jednak nic wspólnego z sonomegaforem mojego Adama bis.

Pstryknął palcami, odrzucając kulkę daleko. Wszystkich uderzyła gwałtowność tego gestu.

- Ponieważ rywalizowałem z Naturą, powiedzmy, że dla Adama bis wynalazłem wreszcie sonomegafor idealny, ten, o którym ludzkość, kobiety i mężczyźni, marzyła od zawsze. I oto jest. Istnieje.

Spojrzenia zwróciły się na mnie czy raczej na tę moją część, którą zakrywały spodenki. Ja sam

92

rzuciłem okiem w to miejsce, podniecony i oszołomiony faktem, że posiadam taki skarb.

- Może przejdziemy na taras - zaproponował Zeus Peter Lama, wstając.

Moje wspomnienia z końcowej części przyjęcia są mniej dokładne, bo zdaje się, że wszyscy nadużyliśmy dobrego wina Zeusa. Małżonki skorzystały ze zmiany miejsca i przyszły pomówić ze mną, trochę za bardzo się do mnie przytulały, z rozbieganymi żenicami,

zupełnie niezrażone tym, że nic im nie odpowiadam, dotykały moich ramion, pleców, przy każdym fałszywym kroku wykręcały sobie kostki, co zmuszało mnie do łapania ich w locie, przywierały biodrami do moich bioder - pomyślałem, że napój pokonał wychowanie, jakie miały, przybywając tutaj. Kiedy mężowie je przywołali, opuściły mnie chichocząc, zażenowane, z minkami małych dziewczynek, które przyłapano z palcem w konfiturze.

Wtedy Melinda, jedyna niezamężna, chwyciła mnie władczo za ramię.

- Nie zechciałby pan przejść się ze mną przy blasku księżyca?

Jej głos, niski, ochrypły, gruby, jakby naoliwiony, wydawał się wychodzić nie z ust, lecz z dekolту. Zresztą wszystko w niej było wydekoltowane; sam dekolt schodził w szpic aż do pępka, skąpa opaska z lekkiej tkaniny zakrywała czubki piersi, podkre-

* 93 *

ślając je, a następnie łączyła, się z paskiem ze złotych łańcuszków. Kiedy zwracano się do Melindy, zwracano się do dekolту, trudno było nie wodzić wzrokiem za strzałkami zarysowanymi przez lekką sukienkę, nie sposób było nie przebiec spojrzeniem od ramion do piersi, potem od piersi do pod-brzusza. Nie można się było powstrzymać. Trasa była tym bardziej przyjemna, że złocistą i lśniąca skórę Melindy ożywiały nieustanne drgania, jakby ta kobieta oddychała całym ciałem.

Udało mi się wznieść wzrok aż do jej brwi, aby dać znak przyzwolenia. Spuściła powieki, leciutki uśmiech pojawił się na jej wargach i pociągnęła mnie w stronę ogrodu, z dala od wszystkich. Zagłębiliśmy się w labirynt zarośli.

Przez pierwsze metry przeżywałem to boleśnie: ona pewnie spodziewa się, że wyrecytuję jej jakieś frazesy o gwiazdach, księżycu, miłości, życiu, które ród męski deklamuje zwykle w romantycznych filmach. Nie tylko nie chciałem mówić, ale myśli wyparowały mi z głowy: cały byłem lewym okiem opętany przez dekolt Melindy i kierunek, który wskazywał.

- O czym pan myśli?

Nie śmiałem odpowiedzieć.

Zatrzymaliśmy się na ustronnym pagórku, gdzie nikt na nas nie patrzył.

Skąpe światło miało kolor ryby.

* 94 *

Melinda stała przede mną. Moje oczy wpadły w zasadzkę dekolту i nie potrafiły się z niej wydostać. Miałem wrażenie, że twarz Melindy znajduje się wyżej niż księżyc.

- Nie podobam się panu!

Dekolt westchnął. No tak, to oczywiście moja wina, obraziłem ją. Zastanawia się, dlaczego nie patrzę jej w oczy.

- Czuje pan do mnie wstręt? Nieszczęsna, coraz bardziej dyszała, jej piersi podnosiły się i opadały z udręki, jaką jej zadawałem.

Nadludzkim wysiłkiem unieruchomiłem swój kark i na kilka sekund udało mi się spojrzeć jej w źrenice. Uśmiechnąłem się, by pokazać, że nie mam złych intencji.

Zanim zdążyłem zobaczyć, co się szykuje, dekolt przywarł do mnie i dwie wargi wpiły się w moje. Mój język został wessany. Nie mogłem oddychać.

- Chodźmy do twojego pokoju - powiedziała dokładnie w chwili, w której już miałem się udusić.

Wróciliśmy przez ogród do mojego mieszkania; każdy krok był dla mnie męczarnią. Gdy Zeus Peter Lama mówił przy kolacji o moim so-nomegaforze, bardzo się zainteresowałem, bo od tygodni obserwowałem to dziwne dzieło między udami, zastanawiając się, jak i kiedy zdołam się

* 95 *

nim posłużyć; stan, w jaki wprowadził go pocałunek Melindy, wcale mnie nie uspokoił, póki co odczuwałem coraz większe zmieszanie, które krępowało mi ruchy.

Gdy tylko Melinda położyła się na łóżku, od razu usunęła przeszkody. Powoli i namiętnie mnie rozebrała. Na widok każdej odsłanianej części wydawała okrzyk zachwytu. Nabierałem pewności siebie. Rozpierało mnie poczucie wielkości. Mój sonomegafor prosił się tylko o uwolnienie z ostatnich okowów.

Kiedy Melinda skończyła go odwijać, wykrzyknęła:

- Niesamowite!

Przysunęła się, obejrzała i lekko nim poruszyła.

- Genialny pomysł!

Jej powieki i usta pozostawały szeroko otwarte.

Dalszy ciąg nie wymaga komentarzy, może tylko tego, że ogólnie mówiąc, okazałem się wspaniały. To stało się raz i drugi... Melinda wydawała intensywne krzyki rozkoszy, a ja - pomruki, których u siebie nie znałem. Gdyby ktoś przechodził koło naszego okna i słyszał te odgłosy, pomyślałby, że to kopulacja kotki z prosiakiem.

W trzeciej chwili wytchnienia, kiedy łapaliśmy oddech, wpatrując się w sufit, Melinda wskoczyła na mnie okrakiem, żeby jeszcze raz...

- Ach, nie, wystarczy! Już nie mogę!

* 96 *

J

Słowa wydostały się z moich ust, zanim to sobie uświadomiłem.

Melinda krzyknęła zaskoczona, straciła równowagę i spadła z łóżka.

- Nic sobie nie zrobiłaś? - spytałem, pomagając jej się podnieść.

Popatrzyła na mnie przerażona i ryknęła jak zwierzę.

- Melindo, co ci jest?

Pobiegła w głąb pokoju i przestraszona schroniła się za fotelem.

Przesunąłem się w jej stronę.

- Nie ruszaj się - powiedziała, wyciągając ręce do przodu w obronnym odruchu.

- Co się dzieje? Czego się boisz?

Wargi jej drżały, a oczy wyłaziły na wierzch od rozgorączkowania.

- Ty mówisz?

- Oczywiście, że mówię.

- To okropne. Nie wiedziałam.

Ta myśl nią wstrząsnęła. Nie rozumiałem, jak kobieta, która przed chwilą całkiem naga oddawała się bezwstydnie wszelkim ekstrawagancjom, może gorszyć się tym, że ja mówię. Złapała swoje ciuchy i pośpiesznie się ubrała.

- Wychodzisz? - Tak.

- Nie było dobrze?

* 97 *

Spojrzała na mnie, nie odpowiadając. Zbyt była zaskoczona samą rozmową, żeby ją kontynuować. Dociekałem:

- Nie było dobrze?

- Bardzo dobrze - powiedziała szybko, jakby z żalem.

- Przyjdiesz jeszcze?

Wolała się oddać, na czworakach, poszukiwaniom swoich wysokich, szykownych sandałów.

- O, są!

Zwinnymi ruchami wciągnęła je, jakby tym gestem odzyskiwała utraconą godność.

- Nie chcesz zostać i porozmawiać?

- Ach, nie, co to, to nie, są jednak granice! I Melinda trzasnęła drzwiami.

Zasnąłem tak, jak się wpada w przepaść. Chwilami budziłem się na kilka sekund, żeby przewrócić się z boku na bok albo pomyśleć, że doświadczyłem największego spełnienia,

czyli uszczęśliwiłem kobietę, po czym znów pogrążałem się we śnie. Ranek powitałem rozpromieniony, rozradowany, zaspokojony.

Zeus Peter Lama, siedząc na brzegu łóżka, patrzył na mnie z uwagą.

- Powinienem być ci obciąć język.

Myśląc wciąż o rozkoszy, zlekceważyłem to stwierdzenie i wpatrywałem się w słońce.

* 98 *

- Melinda nigdy w życiu się tak nie przeraziła - ciągnął.

- Jeszcze nigdy w życiu nie spędziła takiego wieczoru.

- To prawda - rzekł Zeus, uśmiechając się. - Kiedy doszła do siebie po kilku kieliszkach i dwóch środkach uspokajających, potwierdziła zalety sonomegafora.

Poklepał mnie po boku, tak jak się chwali konia.

- Jestem nawet pewny, że teraz, mimo tak późnej pory, telefonuje do wszystkich przyjaciółek, żeby im opowiedzieć.

Zmarszczył brwi, widząc moją twarz zaspokojonego samca.

- Jesteś z siebie zadowolony?

- Trochę.

- I naprawdę nie zdajesz sobie sprawy...? Wściekły odskoczył od łóżka i jak szalony zaczął chodzić tam i z powrotem.

- To ja uszczęśliwiłem Melindę wczoraj wieczorem, nie ty.

- Myli się pan.

- Biedny krety! To dzięki mojej inwencji, dzięki sonomegaforowi, znalazła się w siódmym niebie.

- Pan przesadza...

- Czy przedtem zdarzyło ci się doprowadzać kobiety do takiego krzyku? Nie kłam. Wyob-
99

razasz sobie, że przedtem Melinda spędziłaby z tobą choćby minutę? Czy ty w ogóle miałeś do czynienia z kobietami?

Nie miałem co odpowiedzieć.

- No właśnie. To mój geniusz podniecił Me-lindę wczoraj wieczorem. Ja i tylko ja.

- Ale jednak była ze mną i to ja...

- Nie. Była z tobą, ale to nie byłeś ty. Najlepszy dowód, że kiedy znowu stałeś się sobą, od razu uciekła.

- Kiedy przemówiłem?

- Tak, nieszczęsny! A przecież przykazałem ci, żebyś milczał. Jak zaczynasz mówić, jesteś tylko ty i twoje myśli. I nie mogę tego kontrolować. I nie ma w tym nic interesującego.

Zresztą widziałeś, co to daje.

Głęboko poruszony, zastanawiałem się, czy powinienem nadal czuć się szczęśliwy.

- Czy Melinda wróci?

- Jeśli będziesz milczał, tak.

- Będę milczał.

- Wstań i przyjdź do mnie. Zaraz pora obiadu.

Kiedy Zeus wyszedł, poleniuchowałem w łóżku, bo to najlepsze miejsce do wspominania słodkich chwil. Potem przystąpiłem do toalety, co zajmowało mi przeszło godzinę, od czasu gdy Zeus wprowadził do mojego ciała tyle komplikacji.

* 100*

Kiedy byłem już suchy, poszedłem do garderoby i nagle poczułem się jakby w jednym ze swoich snów: półki były puste, moje rzeczy zniknęły. Próbując zachować spokój, zamknąłem drzwi, zaśmiałem się, skoncentrowałem, żeby mieć pewność, że nie śnię, po czym

znowu otworzyłem drzwi: nic! Ani ubrań, ani bielizny! Nie został mi ani kawałek materiału, nic, co bym mógł na siebie zarzucić.

Sądząc, że to jakaś pomyłka służby, owinąłem się prześcieradłem i poszedłem do oficyny.

- Zapomnieliście mi przynieść bieliznę - powiedziałem do służących.

Podeszła do mnie szefowa, główna intendent-ka, kobieta o ponurej szarej twarzy, jakby wytartej od ciągłego myślenia o czystości.

- Pan Lama powiedział nam, że nie będzie pan już nosił bielizny.

- Słucham?

- Kazał nam też zabrać pana prześcieradła. Gwałtownym ruchem wyrwała mi tkaninę.

Pozostałe kobiety wybuchnęły okrutnym śmiechem. Uciekłem, żeby ukryć nagość.

Dobiegłem do swojego pokoju i zastałem zamknięte drzwi. Ponieważ dom roił się od służących, postanowiłem schronić się w ogrodzie. Może uda się skraść jakiś ręcznik koło basenu? Kiedy tylko tam doszedłem, natychmiast usłyszałem eksplo-

* 101 *

Kiedy byłem już suchy, poszedłem do garderoby i nagle poczułem się jakby w jednym ze swoich snów: półki były puste, moje rzeczy zniknę-ły. Próbując zachować spokój, zamknąłem drzwi, zaśmiałem się, skoncentrowałem, żeby mieć pewność, że nie śnię, po czym znowu otworzyłem drzwi: nic! Ani ubrań, ani bielizny! Nie został mi ani kawałek materiału, nic, co bym mógł na siebie zarzucić.

Sądząc, że to jakaś pomyłka służby, owinąłem się prześcieradłem i poszedłem do oficyny.

- Zapomnieliście mi przynieść bieliznę - powiedziałem do służących.

Podeszła do mnie szefowa, główna intendent-ka, kobieta o ponurej szarej twarzy, jakby wytartej od ciągłego myślenia o czystości.

- Pan Lama powiedział nam, że nie będzie pan już nosił bielizny.

- Słucham?

- Kazał nam też zabrać pana prześcieradła. Gwałtownym ruchem wyrwała mi tkaninę.

Pozostałe kobiety wybuchnęły okrutnym śmiechem. Uciekłem, żeby ukryć nagość.

Dobiegłem do swojego pokoju i zastałem zamknięte drzwi. Ponieważ dom roił się od służących, postanowiłem schronić się w ogrodzie. Może uda się skraść jakiś ręcznik koło basenu? Kiedy tylko tam doszedłem, natychmiast usłyszałem eksplo-

* 101 *

zję głosów pomieszanych z chlupotaniem: pięk-nisie się kąpały. Zawróciłem i postanowiłem szukać schronienia w labiryncie ciemnych krzewów bukszpanu.

Kręciłem się w tę i we w tę między wysokimi zielonymi ścianami i byłem już pewny, że się zgubiłem - czyż to nie najlepszy sposób, żeby nie zostać znalezionym? - usiadłem na kamiennej ławce i rozpłakałem się. Chroniła mnie bujna roślinność i jej milczący cień.

Mogłem wydobyć z siebie skargę. A więc Zeus uważał mnie za zwierzę? Nic już do mnie nie należy? Ani mój członek? Ani moje żądze? Ani wstyd?

-Ja rozumię logicznie, młody przyjacielu, to ty nie jesteś logiczny.

Skąd wiedział, że tu jestem? Właśnie usiadł koło mnie ze swoją laską, z pierścieniami na palcach i z uśmiechem pod wąsem, zwieńczonym szlachetnymi kamieniami.

- Będziesz cierpiał, dopóki się będziesz upierał, żeby mieć uczucia i własne opinie. Zostaw to mnie, a wszystko się ułoży.

- Nie chcę żyć nago - powiedziałem, dusząc się od łez.

- Po pierwsze odzwyczaj się od mówienia „chcę” czy „nie chcę”. Twoja wola jest już bez znaczenia, powinna się rozpuścić w absolutnym posłuszeństwie. Liczy się moja wola, tylko moja

102

wola, wola twojego stwórcy. Do czego doszedłeś w czasach, kiedy mówiłeś „chcę”? Chciałeś umrzeć. Gdybym nie zaproponował ci czegoś innego, posłużyłbyś za pożywienie rydom i nie byłbyś słynny na cały świat. Zaufaj mi.

- No, ale jednak żyć nago w domu i w parku... Nawet pies dostałby obrożę.

- Psu zakłada się obrożę, żeby go odróżnić od innych i żeby go zidentyfikować. Ty cały czas nosisz moją sygnaturę.

- Mniej niż zwierzę...

- Tysiąc razy więcej: dzieło... Myślisz, że na posągi Praksytelesa zakłada się listek figowy? Albo że Dawidowi Michała Anioła wciąga się stringi?

Ten argument przemówił do mnie: nie rozważałem mojej sytuacji pod tym kątem. Zeus, czując, że trafił celnie, ciągnął z serdecznym oburzeniem:

- Myślisz, że wstydę się swojej twórczości? Wszystko w tobie jest doskonałe i chcę wszystko pokazać.

Byłem zadowolony, schlebiał mi. Entuzjazm Zeusa uświadamiał mi, że przed chwilą źle zinterpretowałem zniknięcie moich ubrań.

- Chyba że tak... - powiedziałem zamyślony.

- Młody przyjacielu, jedna jedyna rzecz dobrze by ci zrobiła: gdybyś przestał myśleć.

- Sądzi pan, że nie jestem do tego zdolny?

* 103*

- Sądzę przede wszystkim, że to niepotrzebne.

Wstał i dał mi znak, żebym poszedł za nim korytarzami labiryntu jego projektu.

- Na co cierpiełeś, kiedy cię spotkałem? Na to, że miałeś świadomość. Żeby cię wyleczyć, zaproponowałem, żebyś stał się przedmiotem. Zostań nim całkowicie. Słuchaj się mnie we wszystkim. Usuń się. Moja myśl ma zastąpić twoją.

- W sumie, chce pan, żebym stał się pańskim niewolnikiem?

- Nie, nieszczęsny! Niewolnik to jeszcze za dużo! Niewolnik ma świadomość! Niewolnik chce się wyzwolić! Nie, chcę, żebyś się stał mniej niż niewolnikiem. Nasze społeczeństwo jest tak zorganizowane, że lepiej być rzeczą niż świadomością. Chcę, żebyś stał się moją rzeczą. Wtedy będziesz w końcu szczęśliwy! Popadniesz w absolutny błogostan.

- Zastanawiam się, czy nie ma pan racji...

- Ja zawsze mam rację.

Wyszedłszy z labiryntu, skierowaliśmy się w stronę tarasu, nie przerywając rozmowy.

Mijaliśmy wielu służących i stopniowo, bezwiednie, przyzwyczaiłem się do swojej nagości.

„Czy Dawidowi Michała Anioła wciąga się stringi?” - powtarzałem sobie, kiedy u osób, które mijaliśmy, wyczuwałem zażenowanie.

* 104*

- Jestem z ciebie bardzo dumny - powiedział Zeus.

Sprawiło mi to taką radość, że doszedłem do wniosku, iż posiadał on prawdę ostateczną. Odtąd będę wolał jego myśli od swoich, to mi uprości życie.

Wróciliśmy do ogrodu, udając się w stronę basenu, gdzie pluskały się jeszcze piękności.

Zatrzymałem się raptownie.

- Och, och - wykrzyknął Zeus - co się dzieje?!

- Obawiam się, że zaraz będę miał własne opinie.

- Adam!

- Na temat pięknotek... to... zwierzęce... to odruch...

Zeus Peter Lama ocenił moją odruchową opinię, drapiąc się w głowę.

- O tym nie pomyślałem.

Sytuacja się pogarszała i obserwowaliśmy go razem.

- Przepraszam.

- Oczywiście...

- Rozumie pan, Dawid Michała Anioła nie ma stringów, ale trzeba pamiętać, że on nic nie widzi ani nic nie słyszy. Może sobie być jak marmur.

- Tak, tak! To bardzo niemiłe. Wróćmy do pańskiego pokoju.

- Mówi mi pan per pan?

105 *

- Chodź ze mną.

Zamknęci w moim białym pokoju z białymi meblami, Zeus i ja zawarliśmy porozumienie: od jutra możliwie jak najczęściej będę spacerował nago i będę pozował nago do zdjęć, ale zachowam prawo do noszenia szortów, kiedy poczuję taką potrzebę.

- Muszę jednak porozmawiać o tym z doktorem Fichetem - zdecydował Zeus.

Melinda przyszła do mnie na noc pod warunkiem, że nie będę się odzywał. Spotkanie było z początku trochę zimne, bo każde z nas unikało spojrzenia drugiego. Skupialiśmy się więc na szczegółach. W tym oddzielaniu piersi, bioder, ust od całej Melindy było coś mozolnego, coś medycznego. Miałem wrażenie, jakbym się kochał z poszczególnymi częściami układanki. Potem w sposób mechaniczny podniecenie przyniosło efekty, Melinda dwoiła się i troiła, jęczała. Miała kilka orgazmów i ja też. Z pozoru wszystko odbywało się jak należy, tyle że kiedy już poszła, miałem uczucie, że wzięto mnie za otwieracz do konserw.

Przytłaczający smutek schwycił mnie niczym żelazny uścisk. Myślałem, że się zabawiam, a naprawdę doznawałem ciągłego i dotkliwego upokorzenia.

106

Tego wieczoru po raz pierwszy poszedłem do spiżarni, żeby w tajemnicy przed wszystkimi podkraść alkohol. W nocy wypilem duszkiem dwie butelki whisky.

W gazetach ukazały się fotografie całkiem nagiego Adama bis.

„Oto moja prawda” - mówiłem sobie, układając pisma na podłodze w pokoju.

-Jaki sukces! - wykrzyknął mój Dobroczyńca. - Jestem bardzo dumny.

Zauważył brak przekonania z mojej strony.

- Nie podobasz się sobie jako Adam bis?

- Nie wiem.

- Młody przyjacielu, każdy z nas ma trzy formy życia. Życie materialne: jesteśmy ciałem. Życie umysłowe: jesteśmy świadomością. I życie dys-kursywne: jesteśmy tym, co o nas mówią. Pierwsze życie, życie cielesne, nie zależy od nas, nie mamy wpływu ani na to, czy będziemy niscy czy garbaci, ani na to, że będziemy dorastać, ani że się zestarzejemy, podobnie jak na to, że się rodzimy i umieramy. Drugie życie, to od świadomości, okazuje się z kolei bardzo zawodne: możemy sobie uświadamiać tylko to, co jest, to, czym jesteśmy, dość powiedzieć, że świadomość jest tylko lepkiem łagodnym pędzlem, który przylega do rzeczywistości. Jedynie trzecie życie pozwala nam ingerować w nasz los, oferuje nam teatr, scenę,

* 107*

publiczność; wywołujemy, dementujemy, tworzymy wrażenia innych, manipulujemy nimi; jeżeli jesteśmy zdolni, to, co mówią inni, zależy od nas. Weź na przykład swój przypadek. Twoje pierwsze życie było banalnym faktem, drugie było klęską, trzeźwym uprzytomnieniem sobie tej banalności. Trzecie nie miało więc racji bytu, ponieważ nie mogłeś spowodować, żeby o tobie mówiono - byłeś przezroczysty i świadomy tego, że taki jesteś. Tymczasem ja ofiarowałem ci trzy nowe życia. Nowe ciało. Nową świadomość. Nowy dyskurs. A więc dostałeś już sześć! Możesz być spokojny, wiedz, że twoje zdanie nie ma znaczenia. Liczy się trzecie życie: bez przerwy się o tobie mówi. Dzięki mnie stałeś się zjawiskiem. Poprzestań na tej wiedzy, oszczędź sobie wydawania sądów.

Kiedy Zeus Peter Lama był przy mnie, rozkoszowałem się tym, że reprodukowano mnie tak w nieskończoność, czułem się oryginalny, szalony, niezwykły, jedyny, sławny. Kiedy

zostawiał mnie samego, moją radość zatruwały wątpliwości: czy nie stałem się potworem? Gdybym nie był Adamem bis, gdybym pozostał taki jak dawniej, czyż nie żywiłbym wstrętu wobec tych stereotypów? Gorzej nawet: litości? Codziennie kradłem butelki alkoholu, a puste zakopywałem; potrzebowałem coraz większych ilości trunku, żeby nie pozwalać sobie na myślenie.

* 108*

Melinda już nie przychodziła, ale przysyłała swoje przyjaciółki. Podobały mi się tylko za pierwszym razem, kiedy ich ciekawość mogłem wziąć za zainteresowanie; drugi raz stawało się to fetyszystycznym pensum i nudziłem się rozpaczliwie.

- Rysy ci się zmieniają - powiedział mój Dobroczyńca. - Nie rozumiem. Jesteś jakby... nadęty. A twoje ciało jakieś ociężałe.

- Przecież jem bardzo mało. Jest pan świadkiem.

- Tak, to niezrozumiałe. Może wskutek tych twoich operacji...

Któregoś dnia doktor Fichet, cały czerwony na twarzy, wpadł jak bomba do mojego pokoju, wymachując analizami.

- On pije - stwierdził.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Nie pije więcej niż ja. Kilka kieliszków szampana dziennie, sam mu daję. Od towarzyskiego alkoholizmu jeszcze nikt nigdy nikogo nie utuczył. Nie w naszych kręgach.

- Mówię panu, że on pije.

- Niech pan znajdzie coś lepszego, Fichet!

- Słucham?

- Usiłuje pan coś przede mną ukryć, jakieś powikłania pooperacyjne, jakiś błąd, jakiś problem, nie wiem co...

* 109*

Melinda już nie przychodziła, ale przysyłała swoje przyjaciółki. Podobały mi się tylko za pierwszym razem, kiedy ich ciekawość mogłem wziąć za zainteresowanie; drugi raz stawało się to fetyszystycznym pensum i nudziłem się rozpaczliwie.

- Rysy ci się zmieniają - powiedział mój Dobroczyńca. - Nie rozumiem. Jesteś jakby... nadęty. A twoje ciało jakieś ociężałe.

- Przecież jem bardzo mało. Jest pan świadkiem.

- Tak, to niezrozumiałe. Może wskutek tych twoich operacji...

Któregoś dnia doktor Fichet, cały czerwony na twarzy, wpadł jak bomba do mojego pokoju, wymachując analizami.

- On pije - stwierdził.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Nie pije więcej niż ja. Kilka kieliszków szampana dziennie, sam mu daję. Od towarzyskiego alkoholizmu jeszcze nikt nigdy nikogo nie utuczył. Nie w naszych kręgach.

- Mówię panu, że on pije.

- Niech pan znajdzie coś lepszego, Fichet!

- Słucham?

- Usiłuje pan coś przede mną ukryć, jakieś powikłania pooperacyjne, jakiś błąd, jakiś problem, nie wiem co...

* 109*

-Ja? Błąd? Ja nie popełniam błędów. W mojej dwudziestoletniej karierze nie miałem ani jednej skargi.

- To normalne, kroi pan umarlaków. A trupy nie wytaczają procesów.

- Mówiłem o przełożonych. Zawsze aprobowali moje raporty.

- Wiem, czysta poezja. Nie zmienia to faktu, Fichet, że próbuje mi pan mydlić oczy, i mógłbym z powodzeniem wstrzymać przelewy pieniędzy. Adam bis nie pije!

- Niech pan obejrzy jego analizę krwi. Znam się na krwinkach. Ten... ta... rzeźba... ten chłopak... ta rzecz... wpadł w nałóg. Popija cichcem. Nie ma innego wytłumaczenia.

- Jest pan pewien?

Nie znosząc, gdy ktoś mu się sprzeciwia - normalne, po dwudziestu latach kostnicy - doktor Fichet szybkim ruchem zamknął swoją walizkę i opuścił pokój.

Zeus Peter Lama wybiegł za nim, błagając, żeby został. Słyszałem dwa głosy, które kłóciły się na korytarzu.

Ciekawa scena. Logicznie rzecz biorąc, aby poznać prawdę, Zeus powinien przecież przepytac mnie, kazać mi potwierdzić hipotezę Fiche-ta i w końcu zapytać, dlaczego nabrałem tego złego zwyczaju. Ulżyłoby mi, gdybym wszystko wyznał, wypowiadał się, usprawiedliwił, poprosił o pomoc. Zamiast tego dyskusja toczyła się beze mnie.

Otworzyłem drzwi i wrzasnąłem tak głośno, żeby ich przekrzyczeć:

- To prawda! Piję!

Obaj panowie przerwali dyskusję i zmierzli mnie wzrokiem z wściekłością. „Do czego on się wtrąca?” - to były ich pierwsze myśli. Następnie doktor Fichet podchwycił moją wypowiedź i zatriumfował:

- A, widzi pan! Zeus zaczął bełkotać:

- To niemożliwe. Skąd brałby alkohol?

- Powinien go pan lepiej pilnować.

- Nie rusza się stąd i nie ma pieniędzy.

- Może się z kimś zgadał...

- Z moim personelem? Nie.

- A jednak...

- Sam kradnę co noc butelki ze spiżarni - powiedziałem wyraźnie.

Wciąż miałem wrażenie, że zakłócam tok ich myśli.

- Pora jest późna! - wykrzyknął Zeus. - Chodźmy do jego pokoju.

Doktor Fichet kazał mi się położyć. Zacząłem mówić o swoich rozterkach duchowych, niepewności, obawach, emocjach. Mówiłem i mówiłem.

* 111 *

Słowa przychodziły - łatwe, posłuszne, zdolne oddać najdrobniejsze niuanse mojej myśli. To, że mogłem się wypowiedzieć, określić, wyrazić, wprawiło mnie w stan upojenia.

Zeus i Fichet, siedząc przy mnie na brzegu łóżka, słuchali tego z przygnębieniem. Po upływie godziny Zeus Peter Lama złapał Ficheta za ramię.

- To nie do zniesienia. Trzeba coś zrobić.

- Wstrzyknę mu środek uspokajający.

- Nie, czuję się już lepiej - powiedziałem. - Odczuwam jeszcze tylko potrzebę mówienia.

Lekceważąc mój sprzeciw, doktor Fichet wyjął strzykawkę weterynaryjną i ukłuł mnie. Po ciele rozeszła się fala zadowolenia. Umilkłem. Pławiłem się. Zamknąłem oczy, żeby poczuć większą przyjemność.

Nie spałem, ale niczym korek unoszący się na wodzie i kołysany przez falę przybliżałem się i oddalałem od rozmowy, którą prowadzili Zeus i doktor Fichet.

- Widzi pan, panie Fichet, nie chciał mi pan uwierzyć: trzeba mu było zrobić lobotomię.

Należało mu wskrobać mózg, maksymalnie go odczłowieczyć. Sprowadzony do stanu wegetacji, dałby nam spokój. Warzywo ani nie myśli, ani nie ma nałogów!

- Nałóg to dowód człowieczeństwa.

112

- Więc dlaczego tamtego wieczoru powstrzymał mnie pan?

- Bo biorąc pod uwagę trudny proces rekonwalescencji i reedukacji, którym musiał stawić czoło, dobieranie mu się do opon mózgowych byłoby niebezpieczne. Jego wola sukcesu pozwoliła mu bardzo szybko dojść do siebie. Odmóżdżony, nie zdołałby ustać podczas swojego odsłonięcia. Może nawet by nie przeżył.
- Tak czy inaczej, zróbmy mu lobotomię, jeszcze dzisiaj.
- Dobrze pan wie, że nie można ryzykować i robić operacji przed upływem kilku miesięcy.
- Ten kretyn wszystko mi popsuje tymi swoimi rozterkami. Niech pan zobaczy, jak się już zdeformował od alkoholu. Niszczy moje dzieło. Mimo tego, co dla niego zrobiłem, ma niezdolne skoki humoru: to smutny, to znów w szampańskim nastroju.
- Smutek to inny dowód człowieczeństwa.
- Niedługo odbędzie się wystawa w Tokio. Trzeba, żeby był w formie.
- Mogę mu zaaplikować osłonę chemiczną.
- Co to jest?
- Zmyślna mieszanina środków uspokajających i środków pobudzających. Przy odpowiednim dozowaniu zamienia człowieka w szczęśliwego imbecyla.
- Doskonale. Dlaczego nie zaproponował mi pan tego wcześniej?
- Dlatego, że to trwa tylko chwilę. Mózg się przyzwyczaja i w końcu efekt jest odwrotny. Chory znowu staje się nieszczęśliwy.
- W każdym razie można by zyskać na czasie.
- Należałoby mu usunąć duszę.
- Duszę? Mówi pan jak ksiądz, panie Fichet! Pan uważa, że dusza istnieje, tak?
- Niestety. To rana, która wciąż krwawi i nigdy się nie goi. Można ją usunąć tylko wraz z życiem.

Czy naprawdę to słyszałem? Czy ta rozmowa odbyła się w rzeczywistości, czy też była tylko koszmarem, jaki sobie zafundowałem?

Gdy się obudziłem, strzępy zdań przemykały mi po głowie i potęgowały bezmierny lęk, który już w sobie miałem.

Uznałem zatem, że dyskusja Zeusa Petera Lamy z Fichetem nigdy się nie odbyła, że przywidziała mi się w chorej wyobraźni. Zresztą, czy świadomość może się przedrzeć przez gęste opary silnego środka nasennego? Czyż miałem fizyczną możliwość usłyszenia, co działa się u mojego wezgłowia? Nie. Stałem się swoim najgorszym wrogiem. Jeśli chcę wieść życie Adama bis, muszę nie tylko pozbyć się natrętnych myśli, lecz wyleczyć się z lęków.

* 114 *

Kiedy więc przyszedł do mnie Zeus Peter Lama, przyjąłem go uprzejmie.

- Dzień dobry, mój Dobroczyńco.
- Dzień dobry, Adamie, jak się czujesz?
- W pełnej formie.
- To dobrze. Tak trzeba. Chcę, żebyś był całkowicie zdrowy na wystawę w Tokio.
- Tokio?
- Wytlumaczę ci.

Z przerażeniem powtórzyłem w myśli japońską nazwę: czy to nie o tym mówiono w moim śnie?

Zeus Peter Lama otworzył mi dłoń i położył na niej kapsułki.

- Masz. Żebyś był w jeszcze lepszej formie, radzę ci połknąć te witaminy.
 - Witaminy?
 - Dlaczego powtarzasz wszystkie słowa, które mówię? Bawisz się w echo? Połknij je i popij szklanką wody.
- Nie ruszyłem się. Tak więc dobrze słyszałem tej nocy.
- Na co czekasz?

Zeus Peter Lama, przywykły do natychmiastowego posłuszeństwa, tupnął nogą. Aby się go pozbyć, udałem, że połykam kapsułki. Korciło go, żeby poczekać i sprawdzić efekty, ale ponieważ ciągle nie reagowałem, odszedł, mrucząc, że jeszcze wróci.

* 115*

Co miałem robić? Uciec, to był mój pierwszy odruch. Ale mieszkaliśmy na wyspie, byłem powszechnie znany i natychmiast doniesiono by o mnie Zeusowi Peterowi Lamie. Lepiej było zwlekać, żeby zyskać na czasie, dając do zrozumienia, przez okazywanie dobrego humoru, że „osłona chemiczna” działa uspokajająco.

Rzuciłem się w stronę ogrodu, odczuwając dziką potrzebę ucieczki; absolutnej, natychmiastowej samotności. Biegłem wzdłuż murów. Jeśli nie mogłem uciec, musiałem przynajmniej zrobić eskapadę. Chodząc po omacku za krzakami, natrafiłem w końcu na zaryglowane drzwi. Otworzyłem je, przekroczyłem próg i znalazłem się na pustej drodze, znowu wolny.

Z nudów i lenistwa poszedłem tą drogą. Nie chciałem się zgubić ani uciec. Po prostu szedłem drogą, którą będę mógł też pójść w kierunku przeciwnym.

Ścieżka wiła się wśród zarośli, po czym nagle roślinność zniknęła, ustępując miejsca rozległej plaży rozciągającej się w nieskończoność na szerokim brzegu beżowego piasku, trzeszczącego, nieprawdopodobnie drobnego, gdzie mój wzrok przyciągnęła grupa postaci. Poszedłem w stronę sylwetek, które rysowały się w oddali.

116*

Na plaży stała sztaluga, przymocowana sznurkami zakotwiczonymi w piasku za pomocą ciężkich kamieni.

Przed sztalugą mężczyzna i kobieta. On siedział. Ona stała. Patrzyli na świat - niebo, morze, chmury, ptaki - przez okno obrazu. Nieświadomi tego, że szlachetnością postawy, uważni, nieruchomi, sami tworzą obraz - ona stała za nim i opierała ręce na jego ramionach - wpatrywali się w kwadrat płótna, do którego zbiegał się cały świat, by zastygnąć i ułożyć się w kompozycję. Zdawali się czekać przed tą ramą, aż powstanie obraz.

Podszedłem.

Nie usłyszeli moich kroków.

Stanąłem za nimi, żeby bez ich wiedzy napawać się widokiem.

Sztaluga była prawdziwym balkonem wychodzącym na wszechświat. Mężczyzna nałożył na płótno biel i żyłkował ją bladoszarym. Podniosłem głowę, odetchnąłem pełną piersią i zrozumiałem, że on maluje powietrze.

- Trochę rtęci.

Kobieta naniósł jakąś srebrną substancję na paletę, mężczyzna nabrał jej na cienki pędzel i delikatnymi ruchami dorzucił na obraz.

- Daj mi piasek.

Kobieta zebrała garść piasku, mężczyzna wsypał go do szmacianego woreczka, dmuch-

* 117*

nął przez słomkę i rozpylił kryształki kwarcu na płótnie.

- Teraz trzeba przemałować od góry. Wtedy właśnie kobieta pochyliła się i zauważyła mnie.

- Tato, mamy gościa.

Są takie istoty, które widziane od tyłu kryją w sobie tajemnicę. Ich kark, biodra, łopatki mają taką prezencję, że napełniają nas obawą. Kiedy się odwracają, całkowicie nas zaskakują, licząc się z ryzykiem: albo że będziemy zachwyceni, albo że będziemy rozczarowani.

Odwróciła ku mnie twarz, która mnie olśniła: cudownie biała, białością, która uniknęła niebezpieczeństwa różu czy beżu, białością kruchą i niewytłumaczalną, białością, będącą nie tylko kolorem, lecz konsystencją, delikatną, elastyczną, eteryczną, lekką jak puder. Jedna jej brew zaokrągląła się wyżej niż druga, tak jakby jedna pytała, a druga się śmiała. Ramiona, biust, talia, wszystko zdawało się płynąć z taką naturalnością jak jej długie czerwone włosy.

Dziwna sylwetka... Regularność zarysu czyniła ją masywną, gdy tymczasem jej postura obiektywnie była drobna, smukła.

Z trudem posuwałem się naprzód, częściowo dlatego, że pod ciężarem pięt zapadałem się w jedwabistą grubość piasku, częściowo dlatego, że podrygiwałem z zakłopotania.

* 118*

Uśmiechnęła się do mnie. W jej rudości było coś zuchwałego, buńczucznego.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie mogłem się oprzeć. Musiałem podejść i zajrzeć do państwa okienka.

- Słusznie, młody człowieku - powiedział starzec, wykonując obrót w moją stronę.

Rozpromienił się, podając mi rękę i w uśmiechu zniknął mu zmarszczki, modelując na nowo twarz młodego mężczyzny o delikatnych rysach, szlachetnym nosie; kiedy się uśmiechał, można było nawet powątpiewać, czy jego włosy są siwe, wyglądały na jasne. Jego przejrzyste niebieskie oczy z błyskiem brązu przywodziły na myśl kolorowe szklane soczewki.

- Carlos Hannibal - przedstawił się. Uścisnąłem suchą i gruzłowatą dłoń, która z kolei przez swą kruchość zdradzała jego wiek. Wskazał młodą kobietę.

- A to moja córka, Fiona.

Fiona nie podała mi ręki, ograniczyła się do spojrzenia w oczy z zainteresowaniem, jakby czegoś ode mnie oczekiwała.

- Nazywam się... Adam.

Skinęła głową. Fascynowały mnie jej włosy - były takie mocne, swobodne, dzikie.

- Czy mogę... zostać chwilę... i popatrzeć, jak pan maluje?

119

- Jak długo pan chce, Adamie, ale wybaczy pan, że nie będziemy rozmawiać. Fiono, daj mi żółt słońcecznikową.

Fiona wycisnęła olejną kulkę na paletę, po czym, obserwując mnie, pokazała jakąś rzecz obok toreb ze zniszczonej skóry.

- Tam jest składany płócienny leżak. Proszę go wziąć.

Chciałem się pokrygować, zaproponować, żeby ona usiadła, ulec zwyczajowej kurtuazji, która komplikuje wzajemne stosunki mężczyzn i kobiet, kiedy dotarło do mnie wyraźnie, że nie ma co dyskutować. Fiona wpatrywała się we mnie, czekając, aż wykonam jej polecenie.

Rozłożyłem więc przedmiot, który następnie pod moim ciężarem zapadł się w piasek.

Palce Carlosa Hannibala wyglądały jak ważki latające po płótnie; cienkie, powykęcane, poruszały się żwawo i nakładały miękkimi opuszkami palców albo twardą krawędzią paznokcia żółte barwniki, ruchem, który wyglądał na absolutnie przypadkowy, a który po pewnym czasie okazał się bardzo przemyślany.

Spędziłem całe popołudnie z Hannibalem i jego córką. Przy każdym nowym pomysłem malarza obawiałem się, żeby nie zniszczył tego, co mu się już udało; każdy jego gest zaczynałem rozumieć dopiero po chwili. Miałem wrażenie, że

120

uczę się czegoś fundamentalnego i ogromnego. Ale czego? Nie potrafiłem tego określić.

Czego się uczyłem? Malować? Nie, nie chciałem malować. Odkrywać, jak pracuje ten Carlos Hannibal? Kilka godzin wcześniej nie miałem pojęcia o jego istnieniu i nie chciałem zostać krytykiem sztuki. Obserwować? Nie malował jednak niczego, co jest widzialne. Malował powietrze. Ściśle określone poranne powietrze między bezkresnym morzem a bezkresnym niebem. Kiedy odrywałem wzrok od ramy, widziałem już tylko własnymi oczami, rejestrowałem elementy znane, wymierne, zwyczajny brzeg morza, plażę podczas odpływu, uśpione skały, ptaki korzystające z odpływu, by polować przy samej ziemi, olśniewający eter. Ale z jego obrazu wyłaniało się to, co niewidzialne. Widziałem tam to, co było kiedyś i już zniknęło - chwilę, to powietrze o dziesiątej rano, powietrze, którym oddychałem pełną piersią pod stalowym słońcem, powietrze, które się zmieniło, które już nie istniało, powietrze,

które należało wtedy do świata minerałów, piasku i skał, przyprawione tu i tam pigmentem okrutnych zgnilizn, wyschniętych ryb i wyrzuconych wodorostów, powietrze o świcie, niepewne, suche, żywe, lazurkowe, zimne w głębi, powietrze Północy, które teraz, za dnia, stało się cięższe, zgęstniało, ogrzało się zaduchem sjeść.

* 121 *

Chroniony przez Hannibala i jego córkę, która dowodziła, byłem wartownikiem świata.

Wstrząsały mną gwałtowne emocje, coś między osłupieniem a oczarowaniem: doznawałem radości istnienia. Zwykłej radości z faktu, że jestem w środku tak pięknego świata. Że jestem czymś malutkim i wielkim zarazem: oknem otwartym na wszechświat, którego nie ogarniam, ramą, w której przestrzeń staje się obrazem, kroplą w oceanie, kroplą bystrą, która zdaje sobie sprawę, że istnieje i że za jej sprawą istnieje ocean. Małeńka i wielka. Silna i nędzna.

O szóstej niebo zaczęło się kotłować, stało się niebem wrogim, tym niebem, co nakazuje szybko wracać do domu. Fale znowu waliły z hukiem i uświadomiłem sobie, że od wczesnego popołudnia nie słyszałem morza.

- Tato, będziemy się zbierać do domu - powiedziała Fiona.

- Skończył pan, panie Hannibal?

- Prawie. Skończę z pamięci. Co o tym myślisz, mój mały?

- Spędziłem najpiękniejszy dzień w życiu. I nie potrafię zrozumieć, jak może pan malować to, co niewidzialne.

- Tylko dla tego warto się tak zasiedzieć. Dla tego, co niewidzialne, i tego, co nieskończone.

Po co malować przedmioty, które mają kontury?

* 122*

- Jak pan to robi, że osiąga coś przejrzystego, używając gęstego nieprzejrzystego materiału? - spytałem, wpatrując się w obraz.

- Trzeba hałasu, żeby usłyszeć ciszę.

Fiona poprosiła mnie o leżak i pobierała narzędzia ojca. Patrzył na mnie z sympatią.

- Niech pan przyjdzie, kiedy pan chce, młody człowieku. Pańska obecność jest bardzo przyjemna, bo pełna uwagi. Prawda, Fiono?

- Nie przeszkadzał nam pan.

- A poza tym ma pan bardzo ładny głos. Prawda, Fiono?

- A także bardzo interesujące oczy.

Po tych słowach odeszli, Fiona podtrzymywała starca, który poruszał się z trudem.

Stałem wstrząśnięty. Moje oczy, mój głos, mój zachwyt: spodobało im się tylko to, co było moje. Zignorowali całą pracę Zeusa Petera Lamy. Jak to możliwe?

Kolejne dni wspominam jak wiosnę. Rodziło się we mnie coś silnego i nowego.

Co dzień rano wyrzucałem do zlewu pigułki Zeusa, potem, idąc wzdłuż muru, wymykałem się i biegłem na plażę.

Fiona i jej ojciec przyjmowali mnie serdecznie. On obdarzał mnie zawsze tym szerokim uśmiechem, który przywracał mu młodość, uśmiechem

* 123 *

niesamowitym, uśmiechem, w którym ofiarowywał się cały, uśmiechem tak pełnym ekspresji, że wyczuwało się pod nim jakąś rozpacz. Córką była mniej wylewna, ale niezmiennie i wyraźnie okazywała mi względy. Często, kiedy jej praca asystentki pozwalała na chwilę wytchnienia, jej oczy spoczywały na mnie; odwzajemniałem te spojrzenia, bo odczuwałem prawdziwą przyjemność, patrząc na tę wysoką, smukłą, gibką kobietę, której rudoczerwone splecione włosy układały się wzdłuż linii pleców.

- Wystarczy panią poobserwować, żeby w pejzażu dojrzeć wybrzeże Irlandii - powiedziałem jej któregoś dnia na ucho.

- Moja matka była Irlandką - odpowiedziała, czerwieniąc się.

Miała małe, bardzo wysoko osadzone piersi, niezwykle wydatne jak na tak szczupłą kobietę. Jej płócienne sukienki, niedbałe, a zarazem eleganckie, podobały mi się, zwłaszcza kiedy się poruszała. Naturalna, rozmarzona, wesoła, zajęta przyglądaniem się lub pomaganiem ojcu, zdawała się nieświadoma swojej urody.

Między ojcem a córką istniała solidarność ludzi wielkich i nieprzeciętnych: nie musieli mówić, żeby się rozumieć, kiedy jedno zaczynało gest, drugie go kończyło.

Kiedy byłem z dala od nich, w Pępinusie, kłębiło się we mnie mnóstwo pytań, które chcia-
* 124*

łem im zadać: czy zauważyliście, jak jestem zbudowany? Dlaczego nigdy o tym nie mówicie? Dlaczego zaakceptowaliście mnie tak szybko, o nic nie pytając? Czy wiecie, że mieszkam u pewnego artysty? Że sam jestem dziełem sztuki? Ale gdy tylko znalazłem się przy nich, czułem się usprawiedliwiony, było mi dobrze i problemy zniknęły.

- Ten koktajl witamin rzeczywiście ci służy -podsumował Zeus Peter Lama, stwierdziwszy, że już nie piję. - Będziesz super na Tokio.

Wcale nie miałem ochoty opuszczać moich codziennych spotkań na plaży.

Ostatniego dnia w ostatniej chwili zdobyłem się na odwagę, żeby przemówić. Hannibal właśnie ukończył był wspaniałe płótno, które przedstawiało krzepkie powietrze, powietrze, które uderza w żagiel, to żwawe powietrze, które porywa was na drugą stronę oceanu. A przecież to powietrze owionęło nas w kilka zaledwie sekund na początku dnia, mimo to malarz zdołał uchwycić jego najistotniejszą ożywczość.

-Jutro nie przyjdę. Jestem zmuszony wyjechać w podróż.

- Jaka szkoda - westchnął Hannibal. - Pana obecność dodaje mi skrzydeł. Odkąd pan nam towarzyszy, czuję w sobie więcej natchnienia. Prawda, Fiono?

* 125*

Fiona potwierdziła skinieniem głowy, ściskając ramię ojca.

- Jadę do Tokio. Na wystawę. Z Zeusem Pete-rem Lamą.

Na dźwięk nazwiska mojego Dobroczyńcy starzec się roześmiał. Jego kruchym ciałem wstrząsały sarkastyczne wybuchy wesołości, co niezbyt do niego pasowało, zazwyczaj był tak łagodny. Fiona nie wyglądała na zadowoloną z jego reakcji.

- Ten szarlatan? On się jeszcze panoszy?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, zbyt zdziwiony, że o Zeusie Peterze Lamie można mówić z taką dezynwolturą.

- Dałby już sobie spokój! Czy nie jest wystarczająco bogaty? Energia tego człowieka wciąż mnie zadziwia...

- Zna go pan?

- Od zawsze. Studiowaliśmy razem. Kiedy miał osiemnaście lat, był zdolny, nawet bardzo zdolny. Chyba najzdolniejszy z nas wszystkich. Jaka szkoda...

Fiona przerwała mu, okrywając szalem jego plecy.

- Powinniśmy wracać, tato, robi się coraz zimniej.

- O ile miał talent, żeby zostać wielkim malarzem, o tyle nie miał odpowiedniego ku temu temperamentu.

126

- Ach tak? - spytałem zaniepokojony.

- Nadmiernie inteligentny, równie dobrze władał słowem co pędzlem, nie potrzebował malarstwa, żeby się wypowiadać. No i za bardzo gonił za sukcesem. Szybko zrozumiał, że chcąc przyciągnąć uwagę, lepiej robić dużo hałasu niż malować.

- Wracajmy, tato, muszę się napić czegoś ciepłego.

Fiona zebrała wszystkie rzeczy i trochę ojca popędzała. Nie chciała, żeby dłużej tu siedział. Można by rzec, że usiłowała uniknąć katastrofy. Wzięła go pod ramię i zmuszała, żeby szedł naprzód.

- Do widzenia - powiedziała. - Kiedy pan wróci?
- Za miesiąc.
- Będziemy tu. Poczekamy na pana.

Patrzyłem, jak odchodzą, aż stali się mikroskopijni, dwie kreski na nieskończonym beżu piasku. Zdjęty głębokim smutkiem, stałem jak odrętwiały. Tak bardzo lubiłem te dwie istoty! Ich odejście rozrywało mi serce! A jednak tak mało o nich wiedziałem. Jakiej to tajemnicy chciała dochować tym pospiesznym odejściem? Co on chciał jeszcze powiedzieć, czego nie powinienem był usłyszeć?

Niemniej... Czyż nie powiedziała na koniec: „Poczekamy na pana”?

127

Tokio. The Body Art Exhibition. Flesze. Tłumy. Hałasy. Korytarze hotelowe. Różnica czasu. Senność. Flesze. Tłum. Zgiełk. Zażywam pigułki Zeusa. Nago kilka godzin w sali wystawowej. Chce mi się spać. Nie wiedziałem, że w Japonii jest tylu Japończyków. Tłoczą się. Przepychają. Mówią jak mechaniczne zabawki. Kobiety mają głosy myszy. Kreskówka. Żyję w kreskówce. Przewodnicy wchodzą na podwyższenie, na którym stoję, i objaśniają mnie we wszystkich językach. Nic nie rozumiem. To samo ostateczne zapewnienie we wszystkich językach. Senność. Piję zieloną herbatę, żeby nie zasnąć. Ale jak piję, to siusiam. Co robić? Zeus Peter Lama każe przestrzegać godzin otwarcia. Co dwie godziny dwudziestominutowa przerwa, w czasie której zagradza się wejście do mojej sali. Niezadowolenie. Tłum. Flesze. Moja sala najbardziej uczęszczana. Wielki sukces. Co noc padam na pysk w limuzynie, która wiezie mnie do hotelu. Myślę o plaży. O Fionie. Źle sypiam. A jednak cały czas chcę spać. Chciałbym nie być tutaj.

Się przyzwyczajam. Zaczynam być dumny, że jestem przebojem wystawy. Moje zdjęcia w gazetach japońskich nadają mi wygląd z lekka azjatycki. Jak to się dzieje? Chcą robić o mnie wywiady. Zeus odmawia. Chcą mnie zaprosić do telewizji, do studia. Zeus się waha.

128

Kolejny najazd francuskich turystów. Boję się francuskich turystów. Chcą dotykać. Zwłaszcza bachory. Wstrętne bachory. Jedne głaszczą. Inne szczypią. Krzyczę. Panika. Ucieczka. Sala wypływa publiczność. Przychodzą strażnicy. Komisarz wystawy chce mnie uśpić. Wrzeszczę, że nie chcę, żeby mnie dotykano, że powinni zabronić Francuzom wstępu do sali. Wstrętnym francuskim bachorom. Nic nie rozumieją z tego, co mówię. Wnerwiam się. Robię się purpurowy. Ciskam się. Przybiega weterynarz z karabinem, który strzela strzykawkami do usypiania słoni. Chcę mu go wyrwać. On strzela. Strzykawka trafia strażnika, który pada jak kłoda. Zjawia się Zeus Peter Lama i wymyśla wszystkim oprócz mnie. Opuszczamy muzeum. W limuzynie - czy to z wdzięczności? czy ze zmęczenia? - zaczynam płakać na jego ramieniu.

- Tak wygląda życie gwiazdy, młody przyjacielu! - mówi, poklepując mnie po plecach. Następnego dnia Zeus grozi muzeum, że wyjedziemy. Panika. To by była katastrofa. Artystyczna i finansowa. Przyznaje organizatorom godzinę na renegotjowanie naszej umowy. Przez ten czas prowadzi mnie, opatulonego w puchową kurtkę, na zwiedzanie wystawy. Zaczynamy od „Tatoos on My Skin”, sali tatuaży.

#129*

- Co za potworność! - wykrzykuje Zeus. - Zupełnie jak w jakiejś portowej knajpie. Mężczyźni i kobiety demonstrują prymitywne i pretensjonalne rysunki. Im bardziej posunięci w wieku i brzydocie, tym liczniejsze są ich tatuaże. Motywy rysunków, jedne banalniejsze od drugich, nie mają w sobie za grosz inwencji, służą jedynie temu, żeby pokryć maksimum powierzchni ciała. Uwagę przyciąga jeden jedyny model: wysoki chudy mężczyzna pomalowany tak, jakby go odarto ze skóry - stwarza złudzenie, że jego skóra została zdarta od

stóp do głów, żeby odsłonić mięśnie, nerwy, ścięgna, gałki oczne, stawy i kości. To bardzo brzydkie, odpychające, a jednak bardzo oryginalne. Prawda?

- Widziałem to już ze sto razy - mówi Zeus, wzruszając ramionami.

W drugiej sali, „My Body is a Brush”, nadzy artyści pokryci farbą rzucają się albo tarzają po czystych powierzchniach. Jak tylko przestają ocierać się o płótna, publiczność może dokonać wyboru i zakupić jedno z nich. Największe wzięcie wśród kolekcjonerów mają płótna Jaya K.O., malarza przez nokaut, muskularnego mężczyzny, który bierze rozpęd z końca sali, by z całą siłą uderzyć o wiszące na ścianie panneau - sanitariusze kładą go na noszach, pielęgniarze reanimują i co trzy godziny wykonuje jedno dzieło,

* 130 *

J

podobnie jak para Sarah i Belzebub Kamasutra, którzy nasmarowani farbą akrylową, kopulują na oczach wszystkich, pozostawiając na wielkich arkuszach papieru odciski swoich pozycji erotycznych.

Trzecia sala, „My Body, between God and Shit”, przyciągała mniej ludzi w powodu zapachów. Jakiś artysta kładł wnętrzności świeżo zabitych świń na białe ciała młodych pięknych podlotków. Inny powbił sobie na całej skórze haczyki i kazał się podnosić na nich do sufitu. Jeszcze inny na oczach publiczności przypalał sobie naskórek papierosami, wydzielając apetyczny zapach prosiaka pieczonego na rożnie. A najbardziej bawili wszystkich bracia Słomiankowie, ośmiu braci, którzy w przepaskach na biodrach ułożyli się na podłodze, tak że zwiedzający, chcąc opuścić salę, musieli po nich przejść.

„Art and Philosophy” - brzmiała nazwa czwartej sali, zarezerwowanej dla myślicieli. Niemiec Diogenes XBZ23 stał na czworakach w budzie, z obrozą i na łańcuchu, pod plakatem głoszącym: „Byłem wolny. Jestem więźniem waszej ciekawości!”. Ubliżał tym, którzy podchodzili za blisko. Dalej ciężarna kobieta pokazywała brzuch, krzycząc co trzydzieści siedem sekund: „W jakim świecie ono będzie żyło?”. Szczególnie przyciągała uwagę monumentalna grupa Wiecz-

* 131 *

ny recykling, mężczyzna karmił kobietę, która karmiła piersią dziecko, które siusiało na trawę, którą skubała krowa, którą doił chłop, który sprzedawał mleko mężczyźnie, który karmił żonę. Gdy już to zrozumieliśmy, mieliśmy wpadać w zachwyt.

Następna sala, „Body Building”, przypominała salę gimnastyczną i prezentowała wszystkie nowe formy aerobiku i siłowni. Zeus Peter Lama zjednał sobie sympatię dziennikarzy, fotografów, kamerzystów i reporterów, wywołując skandal. Wybuchnął publicznym gniewem przeciw tym „kupcom ze Świątyni”, atakując zbyt umięśnionych instruktorów i zbyt chude instruktorki, wszystkie te ciała wyniszczone przez pot, hormony i karoten, wszystkie te wyżęte od ćwiczeń mózgi, które nie umiały odpowiedzieć na jego ogniste diatryby inaczej niż mechanicznymi uśmiechami.

Przed szóstą salą Zeus oznajmił mi uroczyste:

- To twoja jedyna rywalka.

Ochrzczone po prostu „Rolanda, the Meta-morphic Body”, pomieszczenie to było poświęcone Rolandzie i jej operacjom. Zdjęcia przypominały, jak artystka ewoluowała w miarę spływającego na nią natchnienia. Rolanda wprowadziła sama nie operowała - znieczulenie zobowiązuje - ale dyrygowała chirurgami za pomocą szki-

#132*

ców i symulacji komputerowych. Miała kilka okresów: prezentowała się jako Rolanda grecka, Rolanda inkaska, Rolanda mezopotamska, Rolanda quattrocento, Rolanda symbolistyczna, Rolanda Ma-rilyn. Zawsze pozwalała wielbicielom przyglądać się swoim metamorfozom - kiedy to ekipa medyków kroili ją w sali operacyjnej urządzonej na środku pomieszczenia.

Zanim popadła w stan nieświadomości, zapowiedziała wszystkim nową Rolandę, Rolandę ekspresjonistyczna.

- Biedaczka - mruknął Zeus bez krzty współczucia - tak się zdeformowała, że po latach skończy jako Rolanda kubistyczna.

Nad kolejną salą, zamkniętą, widniał napis „The Moving Sculpture Adam bis by Zeus Peter Lama”. Strażnik rzucił się na nas i powiedział cały roztrzęsiony:

- Publiczność się buntuje. Trzeba szybko znaleźć rozwiązanie, bo inaczej ludzie wyważą drzwi.

- Niech pan to powie swojemu dyrektorowi, synku - zasugerował mój Dobroczyńca.

Weszliśmy przez ukryte drzwi i znaleźliśmy się w Biurze Rzeczy Odrzuconych, miejscu, w którym składowano pewne obiekty wystawowe i do którego codziennie przychodziły inne, by negocjować warunki ekspozycji.

Artyści i komisarze wystawy bez opamiętania obrzucali się wyzwiskami.

* 133*

Właśnie wycofano z sali numer trzy, „My Body between God and Shit”, starego bywalca muzeów, Jezusa Jo Juniora, eks-fakira, który na wszystkich biennale sztuki współczesnej zwykł się ukrzyżowywać.

- Ale pan nie krwawi! - wrzeszczał komisarz.

- Oczywiście. Moje ciało w końcu przywykło do gwoździ. Wokół się zabił. Mam dziury. Jak nacięcia. Już nie krwawię!

- W przyzwoitym muzeum nie można proponować Jezusa, który nie krwawi! Niech pan powie uczciwie, czy kiedykolwiek zrobiłby pan taką karierę, gdyby pan nie krwawił w Nowym Jorku, Monachium, Sao Paulo i Paryżu!

- Niech pan zrozumie - mówił eks-fakir.

- Nie - replikował komisarz.

Na ławce wyczekiwali w udręczeniu, przybici, nie reagując na nic, tatuowany, ofiara napadu egzemy, i tatuowana, która wróciła właśnie lekko przypalona, a więc nieczytelna, po miesiącu wakacji na Seszelach. Po chwili jak bomba wpadł zdyszany Meredith Iron, człowiek o tysiącu trzystu piercingach, którego jak zwykle policja zatrzymała na cle z powodu wykrywacza metali. W końcu zjawił się dyrektor z grubą kopertą pod pachą - przyszedł oznajmić Zeusowi Peterowi Lamie, że akceptuje jego nowe warunki.

* 134*

Natychmiast ściągnięto ze mnie puchową kurtkę i zostałem katapultowany nago do mojej sali, gdzie setki zwiedzających, rozdrażnionych wyczekiwaniem, wtoczyły się, żeby mnie podziwiać.

Wieczorem w limuzynie Zeus Peter Lama spytał:

- Co byś powiedział, gdyby przeprowadzono z tobą wywiad?

- Że jestem bardzo szczęśliwy, że zostałem dziełem sztuki. I że dziękuję mojemu twórcy.

- Bardzo dobrze. A co byś odpowiedział, gdyby cię pytano o twoje wcześniejsze życie?

- Jakie życie? Narodziłem się w pańskich rękach.

- Bardzo dobrze. Potrafiłbyś przypomnieć sobie twoje dawne imię?

- Nazywam się Adam.

- Bardzo dobrze. Co masz do powiedzenia ludziom, którzy cię podziwiają?

- Jestem tylko ucieleśnieniem myśli mojego twórcy Zeusa Petera Lamy, proszę pisać do niego.

- Bardzo dobrze. Wydajesz mi się dopracowany. Może zgodzimy się na ten program telewizyjny.

Następnego dnia występowaliśmy na żywo, w świetle białych i rozgrzewających reflektorów, w programie „Co? Gdzie? Kiedy?”, wielkiej gwiazdorskiej emisji stacji Satelita. Stałem nago na podium i próbowałem przyjmować róż-

Natychmiast ściągnięto ze mnie puchową kurtkę i zostałem katapultowany nago do mojej sali, gdzie setki zwiedzających, rozdrażnionych wyczekiwaniem, wtoczyły się, żeby mnie podziwiać.

Wieczorem w limuzynie Zeus Peter Lama spytał:

- Co byś powiedział, gdyby przeprowadzono z tobą wywiad?
- Że jestem bardzo szczęśliwy, że zostałem dziełem sztuki. I że dziękuję mojemu twórcy.
- Bardzo dobrze. A co byś odpowiedział, gdyby cię pytano o twoje wcześniejsze życie?
- Jakie życie? Narodziłem się w pańskich rękach.
- Bardzo dobrze. Potrafiłbyś przypomnieć sobie twoje dawne imię?
- Nazywam się Adam.
- Bardzo dobrze. Co masz do powiedzenia ludziom, którzy cię podziwiają?
- Jestem tylko ucieleśnieniem myśli mojego twórcy Zeusa Petera Lamy, proszę pisać do niego.
- Bardzo dobrze. Wydajesz mi się dopracowany. Może zgodzimy się na ten program telewizyjny.

Następnego dnia występowaliśmy na żywo, w świetle białych i rozgrzewających reflektorów, w programie „Co? Gdzie? Kiedy?“, wielkiej gwiazdorskiej emisji stacji Satelita. Stałem nago na podium i próbowałem przyjmować róż-

ne pozy, podczas gdy mój Dobroczyńca szeptał do mikrofonu prezentera, że po mnie nic już nie będzie takie jak dawniej. Nawijał z całą swobodą na swój ulubiony temat: „Beze mnie ludzkość nie byłaby tym, czym jest”.

Nagle z ław dla publiczności wyskoczyła jakaś kobieta i przerwała emisję.

- Nie wstyd panu?! - wrzasnęła pod adresem Zeusa Petera Lamy.
- Kim pani jest? - zapytał prowadzący.
- Medea Memphis ze Stowarzyszenia na Rzecz Godności Ludzkiej. Słabo mi się robi, kiedy patrzę na to, co pan ośmielił się wyrządzić temu biednemu chłopcu.
- Jeśli nie lubi pani sztuki, nie musi pani tego oglądać! - krzyknąłem.
- Mój chłopcze, on pana zdeformował, oszpecił.
- Sam chciałem.
- To niemożliwe!
- Mówię pani, że sam chciałem. Zresztą są trzy rodzaje sztuki: sztuka figuratywna, sztuka niefi-guratywna i sztuka defiguratywna*. Tę ostatnią Zeus Peter Lama wymyślił, tworząc mnie. Przed chwilą to wyjaśniał.
- Jak pan może się godzić na to, by traktowano pana jak rysunek, jak odlew?

* Po francusku defiguratif - od czasownika defigurer -oszpecić (przyp. tłum.).

- Bardzo chcę być śladem, jeśli jest to ślad geniuszu.

Zapaliły się czerwone światełka sygnalizacyjne. Publiczność mnie oklaskiwała. Ale to nie powstrzymało Medei Memphis.

- Zepchnięto pana do rangi produktu.
- Gioconda jest otaczana troską, o jakiej pani dzieciom się nigdy nie śniło!
- Nie pozwolę panu!
- Ja też nie pozwolę! Jestem bardzo szczęśliwy taki, jaki jestem. Proszę mnie zostawić w spokoju i wracać do swoich garnków.

Zeus Peter Lama stanął między kobietą a mną.

- Pani Medea Memphis, której działalność szanuję, słusznie otwiera dyskusję, zaczynając od ważnej kwestii: czy Adam bis jest szczęśliwy, będąc przedmiotem?

- Tak! - ryknąłem.

- Czy istnieje lepsza kondycja w naszym świecie niż kondycja przedmiotu? Zwłaszcza przedmiotu artystycznego?

- Nie! - ryknąłem.

- Widzi pani. To, co ja tworzę, a co pani odrzuca, ma swoje podstawy w filozofii. W koncepcji świata.

- Ja walczę o taki świat, w którym dzieci są wolne - powiedziała.

- Pani walczy o świat, w którym dzieci popełniają samobójstwa - rzuciłem.

* 137*

Z rozdzierającym krzykiem, zalewając się łzami, kobieta padła na ziemię jak długa. Zeus Peter Lama i prezydent przykucnęli, otoczyli ją ramionami, okazując jej nagle wiele współczucia. Potem prezydent wyjaśnił do kamery oraz zgromadzonej publiczności, że Medea Memphis jest kobietą załamana, ponieważ kilka lat temu jeden z jej synów targnął się na życie, że bardzo mu przykro z powodu tego incydentu, że takie są zalety - o, przepraszam, wady - emisji na żywo, i puścił reklamy.

Program stał się głośny. Nasz spór był re-transmitowany przez wszystkie kanały. Gazety zamieszczały komentarze, tytuły na pierwszych stronach pytały: „Kto ma rację, Zeus Peter Lama czy Medea Memphis?”.

Ja nie przestawałem się złościć, uważałem, że to nie do zniesienia, żeby mnie kwestionowano czy nawet krytykowano w gazetach. Nie powinno się o mnie dyskutować, powinno się mnie podziwiać.

- Uspokój się, Adamie - mówił Zeus Peter Lama - to świetna sprawa. Tego właśnie trzeba, żeby o nas mówiono. Twój przypadek jest odtąd sławny na cały świat. Nie ma nikogo, kto by się nie wypowiedział na twój temat.

Zapewne miał rację, bo napływ publiczności na wystawę był tak ogromny, że musiałem, ja,

* 138*

tylko ja, wziąć nocne dyżury. Ludzie gotowi byli włożyć na siebie i dać się zadeptać, byle mnie zobaczyć.

Ostatniego wieczoru, a raczej w środku nocy, wyczerpany po ceremonii zamknięcia wystawy, nie mogąc odzyskać spokoju, wyszedłem ze swojej sypialni, aby poprosić mojego Dobroczyńcę o środki nasenne. Przez roztargnienie zapomniałem zapukać i wszedłem do jego apartamentu. Pokładał się ze śmiechu wraz z Medeą Memphis, popijając szampana. Zesztywniałem na jej widok. Ona natomiast powitała mnie z otwartymi ramionami.

- Adamie, jak miło cię znów widzieć! - wykrzyknęła, jakbyśmy wcale nie byli wrogami.

- Chodź, chłopcze, napijemy się czegoś.

- Nie, chcę środek nasenny. A wy się... pogodziliście?

Wybuchnęli śmiechem... U ich stóp spoczywały już trzy puste butelki. Byli do tego stopnia pijani, że nie mogli przestać pić. Zeus dowłókł się do swojej walizki, wyjął pigułki, wsunął mi je do ręki i zdołał powiedzieć między dwoma czknięciami:

- Tak, właśnie... się pogodziliśmy. Natomiast Medea Memphis tak się skręcała ze śmiechu na fotelu, że zaraz mogła zwymiotować.

* 139 *

Poczułem, jak kielkuje we mnie i nabiera straszliwie wyraźnych kształtów pewne podejrzenie. Natychmiast przestałem myśleć. Ze słabości wołałem idealizować Zeusa, niż widzieć go takim, jaki był. Wyszedłem i połknąłem pigułki, żeby w spokoju ducha i nieświadomości doczekać samolotu.

Spotkanie po powrocie było jeszcze czulsze, niż przewidywałem. Fiona, która zazwyczaj patrzyła tylko prosto przed siebie, w stronę morza albo na płótno ojca, Fiona, która nigdy się nie odwracała, ta Fiona zobaczyła mnie z daleka. Czy mnie wypatrywała? Czekala na mnie?

- Tato, jest Adam!

- Ach, Adamie, jakie szczęście! Przepełniła nas taka radość, że, aby dać jej upust, ucałowaliśmy się. Hannibal składał głośne pocałunki na moich policzkach, gdy tymczasem Fiona, rumieniąc się, ledwo mnie musnęła.

- Jak się ma nasz podróżnik?

- Nie chcę więcej podróżować - odpowiedziałem. - Pragnę tylko przychodzić tu codziennie i oglądać świat przez okno pańskiego obrazu.

- Bardzo dobrze, a zatem wracam do pracy - powiedział pejzażysta. - Później porozmawiamy. Hannibal postawił sobie za cel uwiecznienie na płótnie tego momentu, kiedy powietrze nie

140

1

jest ani morskie, ani lądowe, lecz jest powietrzem plaży. Nie chcąc iść na łatwiznę, usiłował uniknąć dwóch rzeczy: przedstawiania powietrza znad pełnego morza - powietrza lekkiego, na wskroś morskiego, słonego, jodowego, lazurowego, oraz odtwarzania powietrza lądowego, które jest ciężkie, nasycone, naelektryzowane i do którego dostają się zapachy ziemi, roślinności i ludzkich działań, powietrza będącego bardziej wyziewem niż powietrzem. On chciał uwiecznić powietrze krabów i porostów, to, w którym dwa światy się stykają. Dzięki mieszaninie zieleni, brązów i błękitów udało mu się wykonać dzieło przed wieczorem. Fiona i ja nie przestawaliśmy się zachwycać jego osiągnięciem.

- Dość już komplementów - powiedział Hannibal, zwracając na mnie swoje piękne niebieskie oczy, trochę przygaszone przez życie. - Pomówmy o naszym drogim Adamie. Oboje z Fioną czytaliśmy gazety i śledziliśmy aferę.

- Aferę?

- Hałas, jakiego narobił Zeus Peter Lama w Tokio. Nie po raz pierwszy. Jaki jest twój punkt widzenia?

- Mój punkt widzenia?

- Nie powiesz mi, nawet jeśli pracujesz dla Zeusa, że podzielasz jego opinie. Za bardzo ufam twojej wrażliwości, żeby w to uwierzyć. Mówiąc o malarstwie, zawsze trafiasz w samo sedno.

* 141 *

- Może kiedy mówię o pana malarstwie. Co się tyczy Zeusa Petera Lamy, to ja... nie jestem zaangażowany w taki sam sposób...

- To znaczy?

- Nie mam zdania. Nie wiem dokładnie, na czym polega jego sztuka. Zresztą wcale mnie to nie obchodzi. Wystarczy mi, że inni uważają to za sztukę.

- Według ciebie to jest sztuka?

- To może nie jest piękne, ale...

- Nie, nie o tym mówię. Piękne czy brzydkie, nieważne, z chwilą gdy już istnieje i daje do myślenia. Na przykład jego ostatnia rzeźba: co o niej myślisz?

Spoglądał na mnie, uśmiechając się swoimi opalizującymi źrenicami, czekając na odpowiedź. Obrzuciłem niespokojnym spojrzeniem Fionę, która poruszona gwałtownym obrotem, jaki przybierała nasza rozmowa, rzuciła mi się na pomoc:

- Tato, chyba męczysz Adama.

- Nie, nie męczę go. Wprawiam go w zakłopotanie, ale nie męczę. Jaki masz pogląd na jego ostatnią rzeźbę?

- To znaczy...

- Widziałeś ją?

- Nie we wszystkich aspektach...

- Nieważne, widziałeś ją?

#142*

-Tak.

- No więc, co o niej myślisz?

Spuściłem głowę i nie odrywałem oczu od piasku między nami. Jak to możliwe, żeby człowiek, którego tak lubiłem, okazał się dla mnie tak okrutny?

Mówił dalej, nie zauważył mojego wzburzenia.

- No więc ja ci powiem, co o tym myślę, skoro ty, ponieważ jesteś dobrze wychowany, nie śmiesz: to nic niewarte! Pod względem estetycznym to szajs. Pod względem ludzkim to gówno.

Walczyłem ze łzami, co nie pozwoliło mi odpowiedzieć. Sądząc, że przyznaję mu rację, Hannibal ciągnął zapalczywie:

- Zeus jest zbyt inteligentny, żeby choć przez sekundę wierzyć w to, co robi. Jest cyniczny, wyrachowany, nie zależy mu na stworzeniu dzieła, zależy mu na sukcesie. A sukces to zazwyczaj coś, co nie pochodzi od artysty, lecz od publiczności. Od czterdziestu lat Zeus zmusza publiczność, żeby reagowała na jego pracę, nieustannie ją mobilizuje, żeby robić szum wokół siebie, że jakoby zyskuje jej aprobatę. Ponieważ skandal jest medialnym akceleratorem, szuka pomysłów, które szokują. Ponieważ ludzie utożsamiają to, o czym się mówi, z tym, co ma wartość, robi wszystko, żeby o nim mówiono, żeby nikt nie wątpił w jego wartość. Ponieważ niezbyt uważny obserwator

* 143 *

może pomylić jakoś dzieła z liczbą komentarzy, załatwia sobie komentarze z prawa i z lewa. Ponieważ głupcy wierzą, że być nowoczesnym to być rewolucjonistą, głosi nieustannie, że zrywa z przeszłością i zapoczątkowuje nową erę. Ludzie myślą, że podkłada bomby w sztuce, tymczasem on zadowala się odpalaniem petard. Robi karierę nie w swojej pracowni, lecz w mediach. Jego barwniki, jego farby olejne to dziennikarze, i rzeczywiście jest, jeśli nie wielkim artystą, to wielkim manipulatorem. Tą ostatnią rzeźbą potwierdził swoją drogę twórczą i jednocześnie przeszedł samego siebie, przekroczył pewną granicę, wszedł do obozu terrorystów, stał się kryminalistą. Najwięksi nawet dranie w historii są przy nim jak niewinne aniołki. Proponować człowiekowi, żeby stał się przedmiotem! I to jakim przedmiotem!

Okaleczyć go, torturować, zbezcześcić, odczłowieczyć, całkiem pozbawić go naturalnego wyglądu! Kiedy ten młodzieniec zda sobie sprawę z tego, co go spotkało, będzie załamany. Stracił swoje miejsce jako człowiek pośród ludzi. Będzie już tylko nieczystym osobnikiem, którego nie wolno dotykać. Lepiej by było, żeby Zeus Peter Lama zoperował mu mózg, jak już się do niego wziął, żeby go wybebeszył, zostawiając mu możliwie jak najmniej świadomości. Bo odrobina świadomości to zawsze jednak świadomość. Żarzą-

* 144*

cy się węgielek to wciąż ogień! Biedny chłopak, z którym zawarł ten haniebny pakt, będzie miał bolesne przebudzenie. Neron był uczciwszym artystą, kiedy podpalał Rzym dla przyjemności oglądania go w płomieniach: Rzymianie mogli uciekać lub zginąć. Zeus Peter Lama natomiast potrzebuje, żeby jego ofiara była żywa! To diabeł! Będzie narkotyzował tego nieszczęśnika, żeby nie pozwolić mu się zabić. Budzę się w nocy, myśląc o tym życiu złożonym w ofierze na ołtarzu próżności i sukcesu, współczuję temu, którym się posłużył, by wyprodukować tę swoją nieczystą rzeźbę... tego... jak to on go nazywa...

- Adam bis - odpowiedziałem zduszonym głosem.

- Adam bis, tak. Popatrz, nie skojarzyłem: on nosi to samo imię co ty.

- Bo to ja.

Hannibal chciał kontynuować swój wywód, już otwierał usta do kolejnego zdania, gdy wtem zrozumiał, co powiedziałem. Znieruchomiał, jakby zawisł ze ściśniętym gardłem.

Fiona poklepała go po ramieniu.

- Tato, nigdy ci tego nie mówiłam, bo dotąd nie wydawało mi się to potrzebne. Tymczasem nasz Adam, Adam, którego kochamy i którego towarzystwa tak nam brakowało w ostatnich dniach, to... Adam bis.

* 145 *

Hannibal schował twarz w dłoniach i wydał jęk.

- Mój Boże, co ja zrobiłem?

Schwycił moją rękę i drżąc cały, podniósł ją do ust.

- Przepraszam... przepraszam... nie wiedziałem... nie chciałem... przepraszam.

Jego łzy spływały mi po palcach. Odwróciłem się do Fiony, żeby mi wytłumaczyła, co się dzieje.

- Tato jest niewidomy - powiedziała.

Popatrzyłem uważnie na Hannibala i nagle zrozumiałem, że mleczny lazur jego tęczy, nieruchomość diafragmy, marzycielski brak ukierunkowania jego spojrzenia były tylko martwą przykrywką dwojga martwych oczu.

- On zna tylko pana obecność, pana refleksje i głos. Kiedy czytałam mu artykuły na pana temat, stchórzyłam, opisałam mu... pracę Zeusa Petera Lamy... nie mówiąc, że to pan.

- Dlaczego?

- Dlatego, że dla mnie pan nie jest tamtym. Pan nie ma nic wspólnego z... tą zjawą.

Hannibal, trzymający moją rękę, właśnie zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia jest ona... inna. Do łez doszło zdumienie. Gorzej: ciekawość. Mimo woli zaczął mnie obmacywać, oceniać, posuwał rękę aż do mojego przedramienia... Wrywałem się, tak jak się ucieka od ognia.

- Nie! - krzyknąłem.

- Przepraszam.

Przywarł do córki, żeby ochłonać.

- Wracajmy, Fiono. Dość głupstw narobiłem. Wstyd mi.

Fiona pospieszenie zebrała pędzle, szmaty i tubki, Hannibal zwrócił w moją stronę niewidzące oczy i zapytał niepewnym głosem:

- Do jutra?

- Nie wiem.

Pokiwał głową, dając znak, że rozumie. Powtórzył jednak:

- Do jutra, mam nadzieję. Jeśli pan chce, opowiem, jak sobie pana wyobrażałem.

Posłał szeroki uśmiech w moim kierunku. Czując jego przygnębienie, zmusiłem się, by odwzajemnić uśmiech. Jakim sposobem go dojrzał? Natychmiast wykrzyknął:

- Dziękuję!

Fiona, z torbami i sztalugą na plecach, z najnowszym obrazem pod pachą, wzięła go pod ramię i odeszli. Teraz lepiej rozumiałem, dlaczego tak chodzili; on nie tylko się na niej wspierał, ona go prowadziła.

Kiedy zniknęli na wprost mnie, w wilgotnym piasku, spojrzałem na ślady naszych stóp, Fiony i moich: męskie - szerokie i ciężkie, kobiece - drobne i wygięte, blisko jedna przy drugiej, prawie dotykające się, niekiedy nakładające się na

* 147 *

siebie. Między nimi dojrzałem kilka słów nagryzmołonych pośpiesznie na kartce papieru: „Tu, dziś o północy, Fiona”.

Księżyc był okrągły i wyglądał, jakby go nic nie obchodziło. Czekałem na naszą randkę z pogodą ducha, która mnie samego zdumiała. Nieudolny gniew Hannibala zrobił mi więcej dobrego niż złego, uwolnił mnie od moich wątpliwości. Nic z tego, co widziałem w Tokio, nie wydało mi się sztuką, i zastanawiałem się, dlaczego ja, przebój wystawy, miałbym być nią w większym stopniu niż inne dzieła. Pytanie okazało się bardziej bolesne niż odpowiedź.

Uświadamiając mi, co powinienem o sobie myśleć, Hannibal mi ulżył. Byłem potworem. Nie arcydziełem. W gruncie rzeczy to nawet lepiej, bo od zawsze pragnąłem przyciągać uwagę. Chciałem tej swojej potwor-kowatości w równym stopniu co Zeus. Chociaż sam jej nie stworzyłem, mogłem się do niej przyznawać. Tymczasem status arcydzieła mi się wymykał. Liczyło się to, że znowu byłem widzialny. Ładny, brzydki, doceniony, okrzyczany - istniałem. Nikt nie mógł mi odebrać tego ciężaru gatunkowego.

Pojawiła się Fiona. Kiedy była tylko sobą, bez toreb, sztalugi, płócien i kaleki uczepionego jej ramienia, nie miała tego samego kroku. Szła, kołysząc się i wydawało się, że właśnie to kołysanie, a nie kroki, posuwają naprzód. Sama jej sylwetka ożywiała pejzaż. Powietrze stawało się płynne. Spokojna woda perliła się w świetle gwiazd. Podeszła bliżej; w świetle księżyca jej rozpuszczone włosy nabierały brązowej barwy, a twarz jeszcze bardziej opalizowała.

- On nie śpi - powiedziała.

- Można by mu dać środek uspokajający.

- Wstyd mu. Dobrze, że mu wstyd. Nie chciałabym, żeby sobie oszczędzał cierpienia po tym, co panu powiedział.

Wzięła mnie pod rękę, podniosła głowę, jakby miała zaraz wdychać gwiazdy.

- Przejdziemy się, dobrze?

Plaża w ciemnościach wydawała się nie tak duża i o wiele bardziej groźna. Roilo się na niej od stref cienia, skał przybierających rozbuchane rozmiary, za którymi mogły czyhać niebezpieczeństwa.

Przycisnąłem jej dłoń do siebie i dopiero to mnie uspokoiło.

- Niech mi pan opowie swoją historię - poprosiła.

Bez wahania, chociaż przyrzekłem Zeusowi Pe-terowi Lamie dochować tajemnicy, opowiedziałem jej wszystko, od odkrycia, że przy moich braciach nic nie znaczę, aż do nieudanych samo-

* 149 *

bójstw, spotkania z Zeusem Peterem Lamą na skale w Palomba Soi i zawarcia z nim paktu.

- W gruncie rzeczy on uratował panu życie?

- Dlatego nazywam go swoim Dobroczyńcą.

- Uratował panu życie, ale zrobił to nie dla pana, tylko dla siebie. Żeby posłużyć się panem dla polepszenia własnego życia.

- Każdy tak robi, prawda? Wszyscy posługują się wszystkimi.

- Ach tak? A mną w jakim celu się pan posługuje? I moim ojcem?

- Żeby uwierzyć, że życie jest piękne. Żeby przestać myśleć o sobie.

Zamilkła, jakby chciała spokojnie przemyśleć moją odpowiedź. Po czym wykrzyknęła:

- Muszę pana prosić, żeby zachował pan sekret!

- Jaki sekret?

- Ślepotę mojego ojca. Ślepl stopniowo, a od pięciu lat jest całkowicie niewidomy. Nikt o tym nie wie. Gdyby się dowiedziano, byłoby mu jeszcze trudniej sprzedawać obrazy i mogłoby nam nie starczyć na życie.

-Jak to? Nie jesteście bogaci?

Na mój okrzyk zdziwienia wybuchnęła śmiechem. Ani myślałem się obrażać, obserwowałem, jak od śmiechu faluje jej biust.

- Dlaczego pan to mówi?

* 150*

- Bo Zeus Peter Lama jest artystą i zarabia miliony.

- Właśnie, na tym polega główny talent Zeusa Petera Lamy. Mój ojciec tylko maluje; wzbudza więc niewielkie zainteresowanie wśród miłośników malarstwa, a jeszcze mniejsze wśród mar-szandów.

- A przecież to wielki malarz.

Odwróciła się do mnie i zapytała ze łzami w oczach:

- Pan też tak myśli?

- Jestem tylko kretynem, ale też tak myślę. A zresztą kiedy tak myślę, mam wrażenie, że jestem mniej kretynem.

Usiedliśmy na skale, aby razem popatrzeć w ciemność. Wziąłem jej dłonie i ogrzewałem. Siedziała nieruchomo, niemal wstrzymała oddech, jej głowa ciążyła na moim ramieniu.

- Dlaczego miał pan tak niepochlebną opinię o sobie? - spytała.

- To nie była opinia, lecz rzeczywistość: byłem niczym i nikim.

- Może był pan sobą?

- Byłem do niczego.

- Ma pan zdjęcia?

- Żadnego. Wszystkie spaliłem. A moi bracia, jak sędzę, na pewno pozbyli się tych, które zostały. Zresztą dzisiaj jestem bardzo szczęśliwy z mar-

#151 *

- Bo Zeus Peter Lama jest artystą i zarabia miliony.

- Właśnie, na tym polega główny talent Zeusa Petera Lamy. Mój ojciec tylko maluje; wzbudza więc niewielkie zainteresowanie wśród miłośników malarstwa, a jeszcze mniejsze wśród mar-szandów.

- A przecież to wielki malarz.

Odwróciła się do mnie i zapytała ze łzami w oczach:

- Pan też tak myśli?

- Jestem tylko kretynem, ale też tak myślę. A zresztą kiedy tak myślę, mam wrażenie, że jestem mniej kretynem.

Usiedliśmy na skale, aby razem popatrzeć w ciemność. Wziąłem jej dłonie i ogrzewałem. Siedziała nieruchomo, niemal wstrzymała oddech, jej głowa ciążyła na moim ramieniu.

- Dlaczego miał pan tak niepochlebną opinię o sobie? - spytała.

- To nie była opinia, lecz rzeczywistość: byłem niczym i nikim.

- Może był pan sobą?

- Byłem do niczego.

- Ma pan zdjęcia?

- Żadnego. Wszystkie spaliłem. A moi bracia, jak sędzę, na pewno pozbyli się tych, które zostały. Zresztą dzisiaj jestem bardzo szczęśliwy z mar-

* 151 *

ką Zeusa. Przedtem byle kto mógł żyć moim życiem. Teraz jestem niezastąpiony.

Poszliśmy jeszcze kawałek. Między Fioną a mną nie było niepotrzebnych słów. Nauczyliśmy się tego, stojąc za sztalugą jej ojca. Aby być razem, szliśmy równym krokiem, by wdychać to samo powietrze, być pod tymi samymi gwiazdami, dzielić ze sobą noc. Nasza samotność we dwoje stawała się dla nas coraz bardziej urokliwa, nadając najmniej znaczącym słowom tajemny, nadzwyczaj intymny sens.

- Do jutra? - spytała.

- Do jutra.

Odeszła. Kiedy jej sylwetka była jeszcze widoczna i mogła mnie usłyszeć, krzyknąłem:

- Cieszę się, że mamy wspólną tajemnicę! Zrobiła jakiś znak, który wziąłem za pocałunek.

Nigdy się nie dowiedziałem, co to było.

Następnego dnia zostałem uprowadzony. Skradziony. Ja. Tylko ja. Wyjęty ze zbiorów Zeusa Petera Lamy. Precyzyjne włamanie, którego jedynym celem byłem ja. Na zamówienie.

Sprawa narobiła wówczas wiele szumu.

O szóstej rano, kiedy leżałem w łóżku, trzech zamaskowanych mężczyzn wtargnęło do pokoju; przyłożyli mi do nosa szmatę z chloroformem, zanim zdążyłem stawić opór.

* 152 *

Co działo się dalej? Opowiedziano mi. Zanieśli mnie do ciężarówki stojącej po drugiej stronie muru, i ruszyli. Widział ich ogrodnik z Pépinu-sa, który bardzo wcześnie zaczynał pracę. Ogłuszyli go, zanim pomyślał o zaalarmowaniu kogoś. Gdy doszedł do siebie, zawiadomił Zeusa Pe-tera Lamę, a ten podjął wszelkie możliwe kroki i wszczął poszukiwania. Policja, prywatni detektywi, nagroda za odnalezienie mnie czy nawet za jakąkolwiek informację. Moje zdjęcie zawisło na wszystkich tablicach, słupach, drzewach, wystawach sklepowych, gdzie tylko się dało. Zeus wystąpił w wiadomościach telewizyjnych i radiowych - wstrząśnięty, wściekły, agresywny, płakał w studio, w programie mającym na naszej wyspie największą oglądalność. W akcji uczestniczyła również prasa, odrzucając polemikę na temat mojego istnienia. Jak pisał na pierwszej stronie jeden z redaktorów: „Kiedy kradną Giocondę, nie zastanawiamy się już, czy lubimy Giocondę, czy nie, szukamy jej”. Zostałem skradziony i było to wydarzenie międzynarodowe. „Najbardziej znane na świecie dzieło po wieży Eiffla wpadło w łapy złoczyńców” - oburzał się pewien komentator. Sprawa wkrótce nabrała zabarwienia politycznego, opozycja, niechętna rządowi naszej wyspy, znalazła, pretekst, by zarzucić mu brak dbałości o bezpieczeństwo.

* 153 *

Gdzie byłem podczas tej kampanii? W piwnicy. W spokoju. Spowijał mnie chłodny i wilgotny mrok. Wdychałem mdłą woń ziemi i traw, które nigdy nie widzą słońca. Jak we wszystkich najszczęśliwszych okresach mojego życia, byłem prawie nieprzytomny. Podano mi narkotyki. Środki odurzające znajdowały się zapewne w posiłkach, które dwa razy dziennie przynosił mi zamaskowany mężczyzna. Trzej wspólnicy podtrzymywali mnie, prowadząc pod prysznic, gdzie co jakiś czas mnie myli, muszę powiedzieć, bardzo starannie. Pewnego razu, wskutek jakiegoś fałszywego ruchu, jednemu z nich spadła kominiarka i przez kilka sekund udało mi się zobaczyć jego podłużną facjatę zaopatrzoną w pokaźną haczykową narośl nosową, coś w rodzaju ptasiego dzioba nad cienkimi ustami; udając, że śpię na stojąco, osunąłem się bezwiednie na ziemię, z zamkniętymi powiekami, aby się nie zorientował, że go widziałem. Jego twarz zapisała mi się wyraźnie w pamięci, nowe oblicze dołączyło do dawnych obrazów zaludniających moje marzenia senne - Fiony, naszej plaży w dzień i w nocy, płócien Hannibala.

Jak długo trwało moje uwięzienie? Dowiedziałem się od innych, bo sam straciłem poczucie czasu: trzy tygodnie. Napięcie w prasie nie słabło: Zeus Peter Lama niepokoił się o moje zdrowie,

* 154*

mówił, że włamywacze cały czas niszczą dzieło, które ukradli. Błagał, żeby byli rozsądni i zażądali okupu. Czy myślą, że uda im się odsprzedać dzieło? Nikt już nie zaryzykuje, żeby je kupić.

Ktoregoś ranka porywacze obudzili mnie, pokazując gazety.

- Widzisz, jak on cię kocha, ten twój Zeus Peter Lama? Całkiem stracił głowę. Tak się niepokoi, że gotów jest wydać na ciebie swoje miliony.

Z obojętnością przejrzałem artykuły. Poczułem, że muszę coś powiedzieć, żeby myśleli, że interesuje mnie mój los.

- Ile od niego zażądacie?

- Dwadzieścia pięć milionów.

- Prędeż wykituje, niż tyle wam da - powiedziałem, żeby ich zniechęcić, po czym wróciłem we śnie do Fiony.

Wymiana odbyła się w nocy, w największej tajemnicy, jako że porywacze nie chcieli zostać ujęci, a Zeus Peter Lama nie dał znać na policję, aby transakcji nie popsuły żadne zasady. Na wpół przytomny leżałem w furgonetce. Jechaliśmy długo. Postawiono koło mnie walizki - zapewne zawierały banknoty. Potem mnie wysadzono i wpakowano na tylne siedzenie limuzyny.

Znowu trzasnęły drzwi. Półciężarówka odjechała. Zobaczyłem nad sobą Zeusa Petera Lamę.

* 155 *

- Młody przyjacielu, tak się cieszę, że cię odzyskałem.

Patrzyłem, nie mogąc zareagować. Zdziwił mnie. Płakał najprawdziwszymi łzami. Dotykał mnie z czułością, zachwytem.

- Nic się nie bój. Więcej ci się to nie zdarzy. Podejmę środki ostrożności. Od tej pory każę cię pilnować.

Mój mózg krzyknął: „Ojej, nie będę mógł się widywać z Fioną, wymykać się na plażę ani oglądać obrazów Hannibala!”, ale wargi się nie poruszyły, nie usłyszałem dźwięku swojego głosu.

Samochód ruszył i, ukołyszany, znowu zasnąłem.

Media świętowały mój powrót na wolność. Tak nazywały moje nowe więzienie. Ani na chwilę nie odstępowało mnie dwóch zwalistych, masywnych ochroniarzy, tyleż szerokich co wysokich, dla których uszyto na miarę ciemne uniformy, opinające im klatkę piersiową i tyłek, dwóch mężczyzn bez szyi, bo mieli kwadratowe głowy osadzone w ramionach, bez palców, ich dłonie bowiem wydawały się tylko pięściami, bez oczu, bo nosili ciemne okulary. Na noc przychodzili dwaj inni, których początkowo brałem za tych samych, jeden czuwał przed oknem, drugi przed drzwiami.

Zeus Peter Lama, zgodnie ze swoim zwyczajem, zaproponował mi witaminy; udawałem, że

156

je zażywam, i wsypywałem do torby. Co dzień rano, budzony jego dotykiem, znajdowałem go nad łóżkiem: obmacywał mnie z zachwytem.

- Beze mnie ludzkość nie byłaby tym, czym jest. Pewnego dnia okazałem zły humor i poprosiłem, żeby mi dał spać.

- Masz cały dzień na spanie, a ja jestem tak rozrywany, że mogę cię oglądać tylko rano.

- Proszę mi dać spokój! Przyjemnie by panu było, gdyby ktoś przychodził na pana patrzeć i szarpał pana podczas snu?

- Tylko bez idiotycznych porównań, proszę. Nie ma żadnego związku między tobą a mną. Ty jesteś dziełem, ja jestem artystą.

- Ale jestem człowiekiem!

- Och, tak mało...

- Jestem człowiekiem. Mam świadomość.

- Do czego ci ona służy? Do unieszczęśliwiania się. Lepiej, żebyś jej przestał słuchać.

- Przepraszam, ale moja świadomość to ja! Ja! A nie coś odrębnego ode mnie!

- Oczywiście. Wiesz jednak bardzo dobrze, że twoje ja w ogóle się nie liczy, jest nic niewarte. Tak jak twoje naturalne ciało. Kiedy cię poznałem, chciałeś przecież zlikwidować jedno i drugie. Dzięki mojej interwencji twoje ciało nabrało wartości. Powinieneś się z tego cieszyć i ograniczyć swoje świadome życie właśnie do tego. Wziąłeś witaminy?

* 157*

|

- Czy one mają mi pomóc nie myśleć?

- Teraz podejrzenia? Co za niewdzięczność! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem! Przypomnij sobie, ile mnie kosztował okup za ciebie: dwadzieścia pięć milionów! Dwadzieścia pięć milionów, musiałem zlikwidować wszystkie konta bankowe. Nic mi nie zostało, nie mam już nic.

- Niech pan przestanie, bo się rozpłaczę.

- To tak mi dziękujesz?

- Dlaczego miałbym panu dziękować? Skradziono panu przedmiot, odzyskał pan swoją własność. To mnie nie dotyczy.

- Wolałbyś, żebym cię zostawił na pastwę tych łobuzów?

- Co za różnica? Mam sobie wybrać więzienie? - Jesteś odrażający.

- Proszę odwołać tych ochroniarzy! Chcę się swobodnie poruszać.

- Nie ma mowy. Kosztowałeś mnie już dwadzieścia pięć milionów. Weź witaminy i przestań jęczeć. Stajesz się nieznośny.

Kiedy nagromadziłem wystarczająco dużo „witamin”, rozpuściłem je w soku pomarańczowym i poczęstowałem nim moich nadzorców z porannej zmiany. Wypili ciecz jednym haustem, bez wybrzydzenia, a godzinę później, też bez wybrzydzenia, zasnęli w korytarzu jeden na drugim.

158

Przeleciałem przez ogród, wyszedłem tajnymi drzwiami i pobiegłem na plażę. Fiona dojrzała mnie z daleka, krzyknęła moje imię, zostawiła ojca i rzuciła się w moją stronę. Kiedy byliśmy już blisko siebie, nie wiem dlaczego, może dlatego, że ten gest był logiczny, objęliśmy się. Pocałowała mnie.

- Tak się niepokoiłam, kiedy pana porwali. A jeszcze bardziej, gdy już pana uwolnili, a pan nie przychodził. Czy był pan chory?

- Nie. Pilnowany. Właśnie uśpiłem moich strażników.

- Strażników?

- Moich ochroniarzy. Mają mnie chronić tyleż przede mną samym, co przed światem zewnętrznym. Nie pozwalają mi uciec.

- Tato, chodź.

Hannibal przyjął mnie jak syna. Długo mnie przytulał do siebie. Wypytywał szczegółowo o wszystko. Potem wyznał, że od chwili mojego porwania nie potrafił się skupić na malowaniu. On i Fiona chodzili na plażę z przyzwyczajenia, a od pewnego czasu w nadziei, że mnie tam zastaną.

- Co pan chce zrobić, chłopcze?

- Opuścić Zeusa Petera Lamę. Znaleźć mieszkanie. Pracować.

- Mamy pokój na poddaszu. Dam go panu.

159

-Nie.

- Tak - powiedziała Fiona z naciskiem. - Nic nam nie robi takiej przyjemności. Uśmiechała się do mnie czule i w jej uśmiechu były inne słowa niż te, które wypowiadała, wyraźnie je usłyszałem: „No, bardzo pana proszę, będziemy się codziennie widywać, będę szczęśliwa i może pan też”.

Zgodziłem się, a widząc, że ta sama radość, niczym prąd elektryczny, przeszła całą naszą trójkę, jeszcze bardziej się wzruszyłem.

Hannibal poradził mi następnie, żebym uprzedził Zeusa Petera Lamę, że odchodzę. Nie zgadzałem się z nim, aż mnie przekonał, że jeśli tego nie zrobię, Zeus Peter Lama da znać na policję, a wtedy oni, Hannibal i Fiona, wyjdą na wspólników.

- Nigdy w życiu nie pozwoli mi odejść.

- Boi się pan mu powiedzieć?

- Nie, nie boję się. To by mi nawet ulżyło. Ale jestem pewny, że mnie zatrzyma. Będzie powtarzał, że kosztowałem go dwadzieścia pięć milionów - to zresztą prawda - będzie udawał, że się ze mną zgadza, a jak tylko się odwrócę, to znajdę się w klatce, odurzony środkami nasennymi.

Ponieważ Hannibal protestował, kierując się idealizmem, Fiona zaproponowała rozwiązanie.

- Adam ma rację. Zeus Peter Lama nie wypuści go tak łatwo, nawet jeśli Adam obieca, że będzie

* 160*

jeździł z nim na wystawy. Chyba byłoby lepiej, żebyśmy zorganizowali spotkanie Adama z jakimś dziennikarzem: Adam mu opowie, w jakich żyje warunkach, poruszy się opinię publiczną i Zeus Peter Lama, zaskoczony, podejrzany, oskarżony, straci swobodę działania. Wtedy będziemy mogli wynegocjować odejście Adama.

Hannibal i ja z podziwem przyjęliśmy plan Fiony.

Ustalono, że spotkamy się tutaj za dwa dni.

Wróciłem pośpiesznie do Pępinusa. Zwolniłem nieco przed leżącymi pokotem strażnikami i położyłem się w łóżku, czekając, aż się obudzą. Gdy oprzytomnieli i stwierdzili, że śpię, do głowy im nie przyszło, że mogłem uciec; podjęli swoje obowiązki jak gdyby nigdy nic.

Nazajutrz, kiedy na ławce w ogrodzie rozmawiałem z jedną z pięknotek, tą, którą najbardziej ciekawiły moje operacje, zobaczyłem wychodzącego z salonu służącego, a jego profil wydał mi się znajomy.

Przeszedł kilka razy przed nami, a ja wciąż nie mogłem sobie uzmysłwić, gdzie go widziałem. Nagle zmroziło mnie przerażenie, jakby ktoś przesunął mi po plecach kawał lodu, i zacząłem dygotać. Niczym błyskawica powrócił obraz: człowiek, któremu pod prysznicem spadła maska, człowiek z nosem ptaka, jeden z moich porywaczy.

jeździł z nim na wystawy. Chyba byłoby lepiej, żebyśmy zorganizowali spotkanie Adama z jakimś dziennikarzem: Adam mu opowie, w jakich żyje warunkach, poruszy się opinię publiczną i Zeus Peter Lama, zaskoczony, podejrzany, oskarżony, straci swobodę działania. Wtedy będziemy mogli wynegocjować odejście Adama.

Hannibal i ja z podziwem przyjęliśmy plan Fiony.

Ustalono, że spotkamy się tutaj za dwa dni.

Wróciłem pośpiesznie do Pępinusa. Zwolniłem nieco przed leżącymi pokotem strażnikami i położyłem się w łóżku, czekając, aż się obudzą. Gdy oprzytomnieli i stwierdzili, że śpię, do głowy im nie przyszło, że mogłem uciec; podjęli swoje obowiązki jak gdyby nigdy nic.

Nazajutrz, kiedy na ławce w ogrodzie rozmawiałem z jedną z pięknotek, tą, którą najbardziej ciekawiły moje operacje, zobaczyłem wychodzącego z salonu służącego, a jego profil wydał mi się znajomy.

Przeszedł kilka razy przed nami, a ja wciąż nie mogłem sobie uzmysłwić, gdzie go widziałem. Nagle zmroziło mnie przerażenie, jakby ktoś przesunął mi po plecach kawał lodu, i zacząłem dygotać. Niczym błyskawica powrócił obraz: człowiek, któremu pod prysznicem spadła maska, człowiek z nosem ptaka, jeden z moich porywaczy.

* 161 *

Skoczyłem na równe nogi, żeby zawiadomić Zeusa Petera Lamę. Na nieszczęście mężczyzna znowu się zjawił, a ja, nie panując nad sobą, posłałem mu nienawistne spojrzenie.

Natychmiast zrozumiał, że został rozpoznany, i uciekł do willi.

Goniłem go, ale biegł szybciej niż ja z powodu moich... no, mniejsza! - uciekł mi i zniknął.

Szukałem Zeusa, nie było go jednak w żadnej z pracowni ani nawet w Macicji. Odnalazłem go dopiero pół godziny później w gabinecie, do którego wszedłem bez pukania.

- O, proszę, właśnie jest! - powiedział, zobaczywszy mnie w drzwiach.

Zeus wskazał mnie swojemu gościowi, który był olbrzymem o małych oczkach, barach drwała, potężnie umięśnionym, wbitym w garnitur

O idealnym kroju; jego gęste włosy, czarne brwi

I sztywne wąsy zdawały się wyrażać męską siłę, która go rozpierała.

- Arystydesie Stavros, przedstawiam panu Adama.

- Dzień dobry panu - ukloniłem się olbrzymowi, ale mi nie odpowiedział. Wstał, omal nie zawadził o żyrandol, podszedł i nachylił się nade mną.

- Można go postawić na cokole?

- Postawi go pan, na czym się panu podoba.

- Cokół. Dostarczy go pan razem z nim?

- Z przyjemnością panu podaruję.

162 *

Przerwałem im rozmowę, odciągnąłem za ramię Zeusa Petera Lamę na stronę i szepnąłem mu na ucho:

- Znalazłem jednego z moich porywaczy. Zeus Peter Lama spojrzał na mnie surowo i wycodził przez zęby:

- Uspokój się. Później mi opowiesz.

- To jeden z pana służących zorganizował uprowadzenie.

Zeus wybuchnął śmiechem, chociaż jego żrenice zabłyśły zdecydowanie złowrogo.

- Nie opowiadaj głupstw. Mówiłeś, że porywacze byli zamaskowani.

- Dojrzałem twarz jednego z nich pod prysznicem. On tu jest. Wśród pana personelu.

- To niemożliwe.

- Będzie pan mógł odzyskać swoje dwadzieścia pięć milionów.

- Przestań, mówię ci, że to niemożliwe. Sycząc te słowa, uszczypnął mnie w rękę.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem pana. Kradną panu pieniądze, a pan w ogóle nie reaguje? Trzeba zabronić wszystkim opuszczać posiadłość, a ja pokażę panu sprawcę.

Przyjrzał mi się tak, jakbym był bzyńczącym natrętnym komarem, którego nie chce zabić.

- Masz rację. Wydam polecenia.

163

Powiedział coś, czego nie zrozumiałem, przez interfon, po czym odwrócił się do olbrzyma, prosząc go, żeby nam wybaczył te wtręty. Mężczyzna wskazał na mnie palcem.

- Widzę, że jest bardzo podniecony. Czy to tak cały czas?

- Tylko dzisiaj. Coś go poruszyło. Zazwyczaj jest bardzo spokojny.

- Ach, to dobrze. Bo nie chcę mieć u siebie czegoś, co się wierci. Za tę cenę wymagam obiektu bez problemów.

- Nie ma obawy.

Zeus Peter Lama znowu mnie uszczypnął w rękę i szepnął na ucho:

- Siedź spokojnie, bo wszystko zepsujesz i będą nici ze sprzedaży.

Rzucił uprzejmie w stronę olbrzyma, że zaraz wróci, i zabrał mnie do drugiego gabinetu, zamykając na klucz podwójne obite skórą drzwi.

- Jaka sprzedaż? - zapytałem, gdy tylko znaleźliśmy się sami.

- Twoja. Trzydzieści milionów. Rekord. Mogę być dumny.

-Co?

- Ach, proszę cię. Zamilcz. Zostałeś kupiony przez multimiliardera Arystydesa Stavrosa, wielkiego konstruktora samolotów i statków.

- Ale ja nie jestem na sprzedaż.

* 164 *

- Jeśli ja chcę, to tak! A teraz już dość.

Klasnął w dłonie i trzech mężczyzn wyskoczyło z drzwi balkonowych. Rozpoznałem sylwetki moich porywaczy.

- Bierście go! - krzyknął Zeus.

Trzej mężczyźni przyskoczyli do mnie. Bronilem się, szarpałem, obezwładniali mnie, ale nie mogli mi przeszkodzić mówić. Zacząłem wrzeszczeć wniebogłosy:

- Ratunku! Na pomoc! Wcale mnie nie wykradziono! To było ukartowane!

Zeus Peter Lama położył mi palce na ustach.

- To był raczej chwyt reklamowy. Dzięki temu mogę się ciebie pozbyć za trzydzieści milionów. Dobrze ukartowane, nie?

Ugryzłem go w nadgarstek. Wściekły, śliniąc się z bólu, wyrwał rękę. Znowu zacząłem wyć:

- Nie dam się. Będę mówił.

- Nie sądzę - powiedział Zeus.

Otworzył drzwi i ukazał się doktor Fichet w gumowych rękawicach ze strzykawką.

Zawyłem ostatni raz, kiedy igła weszła mi w rękę, po czym pogrążyłem się we śnie.

Chaos. Nie wiem, gdzie jestem. Chwilami w łóżku, ale to nie trwa długo. Chwilami na plaży w towarzystwie Fiony, ale to się rozplywa. Chwilami w Tokio. Chwilami w dzieciństwie

165

—

- Jeśli ja chcę, to tak! A teraz już dość.

Klasnął w dłonie i trzech mężczyzn wyskoczyło z drzwi balkonowych. Rozpoznałem sylwetki moich porywaczy.

- Bierście go! - krzyknął Zeus.

Trzej mężczyźni przyskoczyli do mnie. Bronilem się, szarpałem, obezwładniali mnie, ale nie mogli mi przeszkodzić mówić. Zacząłem wrzeszczeć wniebogłosy:

- Ratunku! Na pomoc! Wcale mnie nie wykradziono! To było ukartowane!

Zeus Peter Lama położył mi palce na ustach.

- To był raczej chwyt reklamowy. Dzięki temu mogę się ciebie pozbyć za trzydzieści milionów. Dobrze ukartowane, nie?

Ugryzłem go w nadgarstek. Wściekły, śliniąc się z bólu, wyrwał rękę. Znowu zacząłem wyć:

- Nie dam się. Będę mówił.

- Nie sądzę - powiedział Zeus.

Otworzył drzwi i ukazał się doktor Fichet w gumowych rękawicach ze strzykawką.

Zawyłem ostatni raz, kiedy igła weszła mi w rękę, po czym pogrążyłem się we śnie.

Chaos. Nie wiem, gdzie jestem. Chwilami w łóżku, ale to nie trwa długo. Chwilami na plaży w towarzystwie Fiony, ale to się rozplywa. Chwilami w Tokio. Chwilami w dzieciństwie

* 165

z moimi braćmi. Nie ma w tym żadnej ciągłości. Wszystko jest wyraźne tylko w danej chwili. Potem pojawia się inna scena, równie wyraźna, bez żadnego związku z poprzednią. Te klarowne przejrzyste sekwencje, zestawione razem po kolei, stają się niespójne. Ile mogę mieć lat? Chwilami dziesięć, chwilami pięć, chwilami dwadzieścia... Kiedy jestem dzisiaj? Kiedy jestem wczoraj? Czy dzisiaj istnieje zawsze? Unoszę się. Gdzie jest moje ciało? Gdzie je zostawiłem? Czy to właśnie jest śmierć? Jednak dobrze wiem, że nie umarłem. Dobrze wiem, że cały czas śnię. Dobrze wiem, że jeszcze istnieję. Rzecz w tym, że mam za dużo istnień. Za dużo zbyt krótkich istnień. Chciałbym zamieszkać w jednym z nich, bez względu na to, jakie by ono było, wydrążyć w nim swoje miejsce, zostać w nim. Kołysanie. Czarna dziura. Wpadam w nowe życie, zmęczony nie tym, że muszę zaczynać od nowa, lecz tym, że zostałem wyrwany z innego. Raczej śmierć niż te zbyt szybkie życia. Chciałbym mieć już tylko jedno ciało, obojętne jakie; jeden wiek, obojętne jaki; jeden los, obojętne jaki.

Pewien sen powraca często: czy to rzeczywistość? Bardzo ciemny pokój. Jestem przymocowany do łóżka, ściśnięty pasami, głowa owinięta bandażami. Od czasu do czasu pochyla się nade mną Fichet. Śmierdzi amoniakiem, tytoniem i al-

* 166 *

koholem. Daje mi znaki. Każe mi liczyć swoje palce. Odpowiadam bardzo dobrze. Domyślam się przecież, że nie ma sześciu czy siedmiu palców u każdej dłoni. Nie chwyta moich odpowiedzi. Śmieję się z jego min. Uduje głuchego. Zresztą, to ciekawe, ja też go widzę, ale nie słyszę. A jednak porusza wargami, czasem wpatrując się we mnie, najczęściej odwracając się do kogoś, kto pewnie stoi za nim, a kogo ja nie widzę.

Odjeżdżam. Fiona. Matka, która mnie czesze przed lustrem. Fiona. Moi bracia nadzy na łóżku, niewinni, spleceni ze sobą, tak piękni, że mnie to unieszczęśliwia. Fiona. Ja w szkole, nie chcę się uczyć, nie chcę odpowiadać, martwię się złymi stopniami. Fiona. Uniesienia i samobójstwa, radość, wrażenie, że znalazłem klamkę od dobrych drzwi. Hannibal udzielający mi lekcji malarstwa. Zrobiłem Fionie dzieci, jest ich pięcioro, piękne jak ich matka, uśmiechają się do mnie. Stop! Zatrzymajmy się w tym życiu, ono mi się podoba. Stop. Przeleciałem gdzie indziej. Ładuję pod okiem Ficheta, który pokazuje mi trzy palce.

- Przecież widzę, że masz trzy palce, stary durniu!

Wycofuje się, wystraszony. Słyszał mnie. Boję się. A więc to tu jest przystań? Koniec podróży? Ten pokój i Fichet to moje życie?

167

- Tak, liczę do pięciu! To chcesz sprawdzić?

Fichet się zrywa. Poruszając biodrami, podrzucając brzuch jak piłkę, skacze na ziemię, dyszy, sapie, czepia się framugi jak marynarz cierpiący na chorobę morską. Potem do kogoś telefonuje.

Siada. Czeka. Drży - siny, jakby wstrząsany apopleksją, oczy ma prawie zamknięte grubym rąbkiem powiek.

Wchodzi Zeus i Fichet informuje go, że sprawa załatwiona, że dochodzę do siebie i mówię. Zeus ciska gromy.

Natychmiast się orientuję, co powinienem zrobić. Kiedy Fichet chce wznowić swój pokaz, nie reaguję.

Zeus czeka cierpliwie. Fichet znowu zaczyna. Kłapa. Zeus śmieje się szyderczo, uspokojony. Wychodzą i słyszę, jak sobie wymyślają na korytarzu.

Ponieważ ten ponury pokój jest moją przystanią, decyduję o moim przyszłym zachowaniu na tej wyspie, gdzie opuściły mnie fale mojej świadomości: nie będę się już odzywał. Wmówię im, że jestem warzywem. Tylko ten podstęp mnie uratuje.

Czy mogę jeszcze zostać uratowany?

Kiedy jestem sam, macam bandaż wokół czaszki. Otworzyli mi głowę, zrobili trepanację. Jaką część mózgu mi wycięli?

168

Zapadam w marzenia i odpływam. Potem wracam do tego ciemnego pokoju, gdzie ciało mam skrępowane, przywiązane pasami do łóżka, a skronie ciężkie, owinięte bandażem. Czy część opon mózgowych, którą mi wyskrobali, to ta, która pozwala odróżnić jawę od snu? Czy już po wsze czasy będę błądził między marzeniem a rzeczywistością?

Czas mija i przeszłość wraca. Fichet mnie reedukuje. Uduje mu się mnie podnieść, przytrzymać, żebym szedł. Chce mnie skłonić do mówienia, bez rezultatu. Zeus Peter Lama jest zachwycony. Winszuje Fichetowi. Klepie go po plecach i odnoszę wrażenie, że Fichet zaraz się stoczy na podłogę.

Wyczuwam, że Fichet nie jest pewny, czy mu się udało. Kiedy tylko zostaje ze mną sam, patrzy na mnie sceptycznie.

Pewnego wieczoru nachyla nade mną swój mocno czerwony łeb i zmusza mnie, żebym na niego spojrzał.

- Słuchaj, Adamie. Powiedz mi w zaufaniu, nikomu nie powtórzę: czy możesz mówić?

Milczę. On znowu pyta. Jego tłuste czoło pokrywa się zmarszczkami.

- Nie masz zaufania... Niby dlaczego miałbyś mieć zaufanie?... Żeby ci udowodnić, że pytam w dobrej wierze, powiem ci prawdę: Zeus Pe-

169

ter Lama polecił mi, żebym ci otworzył czaszkę i wyciął płaty mózgowe odpowiedzialne za mowę. Udałem, że to zrobiłem. Otworzyłem ci wprowadzić głowę, ale niczego nie naruszyłem. Dlaczego? Bo nie znam się na neurologii. Oficjalna medycyna nie szuka objawów w mózgu. Zapomniałem już trochę, czego mnie uczyli na akademii. Symulowałem, bo Zeus Peter Lama obiecał mi dużo pieniędzy i... Słowem, przewietrzyłem ci tylko trochę rdzeń. To wstrząs. Na pewno. Nic więcej. Logicznie biorąc, nie powinienś być utracić mowy. Odpowiedz.

Milczę.

Wkłada swoje krótkie pulchne paluchy w lśniący kosmyk i nasuwa go na łysinę. Nerwowo wodzi wzrokiem po całym pokoju. Traci głowę, wpada w panikę.

- Czy to możliwe, żebym mimo woli... żebym to zrobił?

Utwierdzam go w tym przekonaniu. Wraca do mnie.

- Możesz pisać?

Kiwam głową twierdząco. Chwyta notatnik i pióro i podaje mi.

- Odpowiedz pisemnie.

Biorę pióro i zastygam w bezruchu nad papierem. Daję do zrozumienia, że się zmuszam.

Poruszam stopami, wstrzymuję oddech, stoję

* 170 *

się czerwony, napinam żyły szyjne, mam łzy pod powiekami, aż w końcu, zdeprymowany, ciskam z rozmachem blok i pióro. Fichet jest załamany.

- Mój Boże, uszkodziłem ośrodek mowy, nie zdając sobie sprawy...

Przemawia przez niego bardziej zdziwienie niż żal. Zaskakuje sam siebie. Nie kontaktuję już, jestem nieobecny. Przekonany, że nie ma się czego obawiać z mojej strony, zastanawia się nad tą nową sytuacją. Może jest lepszym lekarzem, niż przypuszcza? Może wystarczy mu chcieć, żeby móc? Nigdy się nie doceniał. Nigdy inni go nie doceniali. Stopniowo, coraz silniejszymi falami, duma wypiera niepokój. Ta kula Fichet cieszy się, podskakuje z radości. Kręci się w kółko, wiruje. Tańczy z lekkością grubasów. Zbiera narzędzia, przechodząc przed lustrem, posyła całusa swojemu odbiciu.

- Cześć, Fichet. I brawo!

Tego wieczoru bardzo się lubi, jest z siebie dumny. Znika. Pójdzie grać do kasyna.

Nazajutrz wydał polecenie dostarczenia mnie nowemu właścicielowi.

Arystydes Stavros nie cierpiał luksusu, sztuki, swojej żony i biżuterii, ale jego status miliardera skazywał go na życie w luksusie, na posiada-

171 ••:-

nie zbiorów sztuki, na niebranie rozwodu z żoną i obsypywanie jej klejnotami, które gromadziła zachłannie w skrzynkach i sejfach. Wiódł życie, którego nienawidził, życie obce jego chłopskiemu temperamentowi, i naprawdę można powiedzieć, że majątek go unieszczęśliwił.

Kiedy zostałem dostarczony, jego intendent ulokował mnie w bardzo czystym studio i ustawił w pobliżu ochronę. „Z trzydziestoma milionami trzeba zachować ostrożność” - powtarzał personelowi i straży. Ten nadzór miał na celu raczej ustrzec się przed kradzieżą niż krępować mi ruchy. Moje łagodne, prawie głupawe zachowanie utwierdziło wszystkich w przekonaniu, że mają rację, że niebezpieczeństwo może przyjść z zewnątrz, w żadnym wypadku od

wewnątrz. Ponieważ moim jedynym zamiarem było spotkać się z Fioną i jej ojcem, uspiłem czujność strażników, odgrywając nadal komedię, udając bezmózgowca.

Arystydes Stavros mało miał ze mnie pożytku. Ponieważ nie lubił życia towarzyskiego, nieczęsto przyjmował gości, a jeśli, to zapraszał dużo osób naraz. Spędziłem kilka wieczorów, stojąc nago na cokole. Przychodzili się zachwycać. Pośród uwag, jakie robiono, powracała zwłaszcza kwestia mojej ceny, która fascynowała ludzi, oraz banały w rodzaju: „Na żywo to zupełnie co innego niż na

172

zdjęciu”. „Myślałem, że jest wyższy”. „Wyobrażałam sobie, że jest mniejszy”. „Powiedz szczerze, chciałbyś mieć coś takiego w domu?” Podobnie jak Gioconda Leonarda da Vinci czy Dawid Michała Anioła, przeżywałam różne kretynstwa, nie mrugnawszy okiem. Żeby być dziełem sztuki celebrowanym i komentowanym przez wszystkich, trzeba albo być bardzo dobrze wychowanym, jak Mona Lisa, albo znać tylko starohebrajski, jak Dawid, albo, jak ja, totalnie to olewać. Bardzo dobrze więc wykonywałam swoją pracę autystycznej gwiazdy. Od czasu do czasu na przyjęcia do Stavrosa przychodzili moi bracia. Coś się w nich zmieniło na gorsze. Nie stali się wprawdzie mniej piękni, ale stracili blask. Czy powody tego tkwiły w nich samych? Czy to ich admiratorzy mniej się do nich cisnęli? W każdym razie gaśli. Narkotyki, których dostarczał im Bob, ich rzecznik prasowy, nie załatwiały sprawy. Rienzi, starszy, nabrał zwyczaju, żeby przychodzić szprycować się prochami przy mnie, udając, że mnie ogląda. Enzo zaś, wprawdzie mniej wahał, jednak mierzył mnie długo wzrokiem pełnym rozpacz, jakby szukał nie wiem jakiego sekretu. Często się zastanawiałem, czy mimo tępoty Enzo Firelli nie zaczyna mnie rozpoznawać. Gdyby chciał się upewnić,

173

1

powinien spojrzeć mi w oczy. A on stał tu, przede mną i patrzył, nie widząc mnie, z powiekami otwartymi bardziej dzięki środkom podniecającym niż dzięki inteligencji. Pewnego dnia jednak wbił wzrok w moją twarz.

- W gruncie rzeczy, stary, znalazłeś dobre miejsce.

Zadrzałem, ale moje spojrzenie pozostało nad nim nieruchome, nieporuszone, niezmałcone. Z trudem zrobił sobie skręta.

- Tak, znalazłeś sobie spokojną pracę. Ani się ruszać, ani nic udowadniać. Wystarczy ci, że jesteś, jaki jesteś. Genialne...

Zmarnował już drugą bibułkę do skręta i zaczął trzęsącymi się rękami skręcać trzecią.

- Powiesz, że ja też? Nie, to nie tak, jak myślisz. O mnie mówi się tylko jedno, że jestem piękny. A co ja o tym myślę? Kiedy się widzę w lustrze, nie widzę kogoś pięknego, widzę swojego brata. A mój brat nie robi na mnie żadnego wrażenia. A więc... wściekam się na to, co o mnie mówią, a jednocześnie żyję z tego. Ty to rozumiesz? To nierealne...

Trzeci papieros również wylądował na ziemi. Jego coraz bardziej drżące palce podjęły czwartą próbę.

- Postarałem się. Należę już do przechodzonych modeli. Zjawiają się młodzi i podbierają

174*

nam kontrakty. To mnie przeraża, ale jednocześnie uspokaja. Mówię sobie, że za kilka lat pozbędę się siebie. Nie będą już mówić, że jestem piękny, powiedzą... co?... nie wiem... co innego... może nic... Nic?

Udało mu się w końcu zrobić wymiętoszony lejek, z którego sterczały żdźbła tytoniu niczym wystające z nosa włoski. Zapalił.

- Nic. Nic nie powiedzą. I to właśnie będzie prawda. Jestem niczym. Nie byłbym czymś, gdyby nie inni. I co? Kilka sekund podniecenia sfrustrowanych laseczek? Doprawdy jest się czym chwalić! A potem się będą dziwić, że się szpry-cuje...

Nerwowo zaciągnął się jointem i od razu rysy mu się rozluźniły. Jego maska stała się mniej znerwicowana, chociaż bardziej woskowa.

- Czy warto żyć? Mam kretyńskie życie.

- Masz kretyńskie życie, bo jesteś kretynem -odpowiedziałem mu.

Najpierw wzruszył ramionami, wydał z siebie krótki głupkowaty chichot, wypuścił dym, który niczym białawy jezor wylizał mu twarz aż po czoło. I kiedy już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, źrenice mu się rozszerzyły: dotarło do niego, co przed chwilą zaszło.

- Ty mówisz?

Milczałem i lubieżnie zmieniłem pozę.

* 175 *

Stałem tak, żeby spróbować pochwycić moje spojrzenie.

- Nie, serio, ty mówisz? Nie reagowałem.

Zapomniał o papierosie i zaczął wydawać okrzyki jak szympanś.

Podeszło kilka osób. Zapytali Enza, co się stało.

- On mówi - powiedział, pokazując mnie z dumą, jakby to on mnie wymyślił.

- Nie, on nie mówi - zapewnił jeden z bywalców.

- Przemówił do mnie.

- Ach, tak - pokpiwali ludzie, wdychając dym, żeby sprawdzić, czy to haszysz. - I co takiego panu powiedział?

- Że jestem kretynem.

Goście wymienili uśmieszki. Najodważniejszy stwierdził:

- To nie jest pozbawione sensu.

Do grupy podszedł Arystydes Stavros.

- No co, jesteście pod urokiem mojego ostatniego nabytku?

- On mówi! - wykrzyknął mój brat.

- Na pewno nie - powiedział olbrzym tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Bob, rzecznik prasowy, schwycił Enza za ramiona i wyjaśnił zgromadzonym:

- Enzo jest teraz trochę przemęczony, ma za dużo sesji zdjęciowych i filmowych.

* 176 *

Enzo, pokonany, spuścił głowę i grupa się rozeszła. Bob i Enzo zostali koło mnie, aż fachowiec od komunikowania się, pewny, że nikt go nie słyszy, zaczął wylewać żółć na modela:

- Mam cię dość! Brzydnieś jak suszona śliwka, coraz trudniej mi ciebie sprzedać, a ty trwonisz tę resztkę kredytu zaufania, wygadując głupstwa.

- Przysięgam ci, że...

- Mój mały dziubasku, chcę od ciebie tylko jednego na te kilka miesięcy, jakie ci jeszcze zostały: żebyś nic nie mówił. Ach, czemu nie jesteś niemową!

I z tym go zostawił.

Enzo mi się przyjrzał. Byłem niemową. Jak on. Pierwszy raz poczułem pewną solidarność z bratem: tak jak od wszystkich rzeczy na pokaz, niezależnie od tego, czy są piękne, czy odrażające, żądano od nas tylko jednego - żebyśmy milczeli. Zmieniłem zręcznie pozycję i szepnąłem mu na ucho:

- Rzeczy na pokaz są tylko tym, czym są, drogi bracie. Płaskie. Nieme. Nie powinny pokazywać niczego innego, tylko siebie. Rzeczy na pokaz niczego nie wyrażają, należą do innych i są przez nich tolerowane tylko za tę cenę.

Enzo zbladł, otworzył usta i wydał z siebie długi niemy krzyk, po czym poleciał do toalety, by zwymiotować.

177 *

Między jedną ekspozycją a drugą szukałem sposobów skontaktowania się z Fioną i Hanni-balem. Wykrałem książkę telefoniczną, żeby znaleźć ich telefon czy adres, na próżno. Udało

mi się zaszyć na godzinę w jednym z gabinetów, żeby serfować po internecie: znalazłem tam dane nielicznych galerii, które wystawiały jego obrazy, ale żadnego bezpośredniego dojścia. Znalazłem na mapie wyspy miejsce, w którym wznosiła się siedziba Arystydesa Stavrosa: dokładnie na przeciwległym krańcu w stosunku do posiadłości Zeusa Petera Lamy. Nawet gdyby udało mi się uciec, miałbym przed sobą kilka dni wędrówki, żeby dojść do plaży. Co robić?

Z telewizji moich strażników dowiedziałem się, że Zeus Peter Lama w dalszym ciągu robi swoje eksperymenty. Obszerny film dokumentalny ujawniał, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy z jego pracowni wyszło kilka żywych posągów. Z osłupieniem stwierdziłem, że były one jeszcze straszliwsze i bardziej ekstrawaganckie niż ja. Kiedy kamera zatrzymała się na zdeformowanych twarzach, zadrżałem: rozpoznałem oczy kilku pięknotek, które przebywały w Pępi-nusie. Głos komentatora informował, że nowe dzieła Zeusa zostały stworzone na młodych kobietach, które zgłosiły się na ochotnika. Z obrzydzeniem opuściłem pomieszczenie.

178 .-;•-

Małżonka Arystydesa Stavrosa, niska bezkształtna kobieta wyciosana z jednego bloku, bez linii, która by zaznaczała talię lub pierś, od świtu ufryzowana, wymalowana, wymanikiurowana, odpicowana, wypindrzona i agresywna, coraz częściej urządzała sceny małżeńskie. Podczas gdy miliarder pracował bez wytchnienia, od piątej rano do dziesiątej wieczór, ona traktowała go jak głupca, tępaka, darmozjada.

Czy był to skutek ich kłótni? Olbrzym starzał się i chudł w oczach. Jego skóra przybrała szary kolor papier mdche. Coraz rzadziej przyjmował gości. Prawie przestał mówić.

Pewnego ranka małżonka spakowała walizy, zabrała trzydzieści szaf sukien, dwieście pudeł butów i cztery skrzynki biżuterii.

W nocy Stavros zamknął się w gabinecie. Usłyszałem wystrzał, odgłosy pospieszonych kroków, potem sygnał karetek.

Następnego dnia rano, kiedy moi strażnicy włączyli telewizor, dowiedziałem się, że magnat zabił się strzałem z rewolweru. Jego interesy od miesięcy szły coraz gorzej. Złe inwestycje. Bardzo duże zadłużenie. Był zrujnowany. Żona uciekła w nieznanym kierunku, zabierając to, co można było uratować. Dziwne wrażenie - dowiedzieć się z dziennika telewizyjnego, co działo się od miesięcy - i co stało się tej nocy - kilka metrów ode mnie.

* 179 *

Tego dnia domem zawładnęli policjanci, a wkrótce potem - komornicy.

Wraz z różnymi meblami i obrazami wstawiono mnie do ciężarówki. Następnie wyładowano w jakimś magazynie. Żaden komornik nie chciał słyszeć o tym, że wymagam innego rodzaju pielęgnacji niż zwykły marmur. Owinałem się w szare pokrowce do przeprowadzki, grubsze od kurzu niż od wełnianych włókien, urządziłem sobie prowizoryczne łóżko na antycznej sofie i tylko uczynności strażnika, porządnego człowieka, zawdzięczałem to, że przez kilka dni dostawałem kanapkę i wodę; gdyby nie on, przed licytacją umarłbym z pragnienia i głodu. Sala aukcyjna. Tłumy publiczności. Więcej oglądających niż kupujących. Chcieli się napatrzeć na ruinę miliardera. Jego samobójstwo nie wystarczyło, żeby zaspokoić urazy i zazdrość. Gapie pragnęli też zobaczyć skarby, które stracił, oszacować rozmiary upadku, tak jakby w tym bankructwie była jakaś sprawiedliwość, jakby wystawienie na licytację fortuny było spełnieniem aktu transcendentnej sprawiedliwości.

Czekałem w rupieciarni. Woźni chodzili w tę i z powrotem, przestawiając przedmioty.

Licytator zdzierał sobie płuca, jakby śpiewał jakąś arię operową przed wrogim audytorium.

Solidarność

* 180*

woźnych z publicznością. Wybrali swój obóz. Błyskotki. Świecidełka. Bezwartościowy chłam. Każą nam przenosić tandetę. Przeklęty zawód, przeklęta robota. Daj mi kieliszek wina.

Moja kolej. Numer 164. Czterej woźni już po-pluwali w dłonie, żeby mnie podnieść, ale dałem im do zrozumienia, że mogę iść sam. Zaskoczeni, niemal wściekli, otoczyli mnie i eskortowali aż na wybieg.

Kiedy wszedłem, zgromadzeni zadrżeli.

Zrozumiałem, że przyszedł tu przede wszystkim ze względu na mnie.

Wniesiono mój cokół i stanąłem na nim.

Gęsta cisza towarzyszyła moim ruchom. Obróciwszy się w stronę publiczności, w pierwszym rzędzie dostrzegłem Fionę, z wilgotnymi powiekami, trzymającą za rękę niewidomego ojca. Było to dla mnie zaskakujące odkrycie. Ukazała mi się tutaj z twarzą świeższą i piękniejszą niż w moich najśladźszych wspomnieniach. Serce waliło mi potężnymi głuchymi uderzeniami. Utkwiłem spojrzenie gdzieś nad nią, żeby mi się nie udzieliły jej emocje. Rozpoznałem w fotelach wiele osobistości, które mnie oglądały i komentowały u obu moich właścicieli. Nagle kark mi zeszytniał i na plecach poczułem jakiś potworny ciężar: na siedzeniu przy głównym przejściu królował Zeus Peter Lama ze wszystki-

*181 *

mi zębami i wszystkimi kamieniami szlachetnymi na wierzchu. Trochę dalej moi bracia o woskowej cerze i zamglonym spojrzeniu, rozwaleni na ławce, z powolnością lunatyków dawali autografy dwóm byłym młodym dziewczynom po sto dwadzieścia kilogramów każda. Za nimi zirytowany Bob ze swą szpetotą wciśniętą w zamykany na suwak fluorescencyjny kombinezon, który miał tę paradoksalną zaletę, że czynił go widocznym i jednocześnie utrudniał widzenie, spoglądał na swój zegarek z termoplastycznego polietylenu, licząc każdą sekundę, która dzieliła go od momentu, w którym uwolni się wreszcie od tych dwóch straszliwych przeżytków, braci Firelli.

Licytator odchrząknął, jakby miał zaraz zacząć wielką arię, po czym przystąpił do lirycznej opowieści o mnie i do opisu mojej postaci.

Zeus Peter Lama przysłuchiwał się temu rozradowany, tak jak rozradowany może być Bóg słuchający Glorii.

Rozpoczęła się licytacja.

Hannibal podniósł rękę. Zeus przebił cenę. Hannibal znowu podniósł rękę.

Kupujący, doświadczeni bywalcy zaprawieni w bojach, licytowali się. Bardzo szybko było ich już trzydziestu. Fiona posłała mi rozpaczliwy apel: ona i jej ojciec nie mogą już dalej li-

cytować. Kolekcjonerzy się prześcigali. Byłem głównym obiektem. Miałem pobić rekord. Zeus podnosił cenę i windował ją dalej, za każdym razem w sposób znaczący powiększając sumę. Kiedy doszło do dwudziestu pięciu milionów, przestał się odzywać, uznając, że już wystarczająco wycenił swoje dzieło.

Moi bracia ani drgnęli. Czy czekali na końcowy sprint? Czy mieli zamiar zainwestować we mnie? Nie. Walka rozgrywała się teraz między pewnym Japończykiem a miliarderem z Teksasu. Ci dwaj ciskali sobie cyfry w twarz niczym ciosy pięścią. Atmosfera stawała się napięta.

Nagle na salę wtargnął człowiek w wyświechtanym ubraniu, podszedł do licytatora i podał mu jakiś papier. Ten zrobił się szkarłatny na twarzy i po cichu zaprotestował. Mężczyzna nie ustępował. Licytator, wściekły, zwrócił się do publiczności.

- Państwo chce wyegzekwować prawo pierwokupu Adama bis, dzieła Zeusa Petera Lamy.

- Nie - odpowiedział urzędnik. - Państwo nie chce wyegzekwować tego prawa. Państwo je stosuje. Wysłaliśmy do was list.

- Niczego takiego nie otrzymałem - zapiszczał licytator.

- Niech pan nie próbuje zadzierać z państwem, na pewno pan nie wygra.

183

cytować. Kolekcjonerzy się prześcigali. Byłem głównym obiektem. Miałem pobić rekord. Zeus podnosił cenę i windował ją dalej, za każdym razem w sposób znaczący powiększając sumę. Kiedy doszło do dwudziestu pięciu milionów, przestał się odzywać, uznając, że już wystarczająco wycenił swoje dzieło.

Moi bracia ani drgnęli. Czy czekali na końcowy sprint? Czy mieli zamiar zainwestować we mnie? Nie. Walka rozgrywała się teraz między pewnym Japończykiem a miliarderem z Teksasu. Ci dwaj ciskali sobie cyfry w twarz niczym ciosy pięścią. Atmosfera stawała się napięta.

Nagle na salę wtargnął człowiek w wyświechtanym ubraniu, podszedł do licytatora i podał mu jakiś papier. Ten zrobił się szkarłatny na twarzy i po cichu zaprotestował. Mężczyzna nie ustępował. Licytator, wściekły, zwrócił się do publiczności.

- Państwo chce wyegzekwować prawo pierwokupu Adama bis, dzieła Zeusa Petera Lamy.

- Nie - odpowiedział urzędnik. - Państwo nie chce wyegzekwować tego prawa. Państwo je stosuje. Wysłaliśmy do was list.

- Niczego takiego nie otrzymałem - zapiszczał licytator.

- Niech pan nie próbuje zadzierać z państwem, na pewno pan nie wygra.

* 183

- To skandal! Pan mnie rujnuje. Jestem zmuszony oddać panu obraz po cenie wywoławczej. Za najniższą cenę. Dziesięć milionów. Dziesięć milionów za obraz, który by poszedł za trzydzieści pięć!

- Dziesięć milionów, dokładnie tak, jak ustalono. Tu jest czek.

- To niedopuszczalne nadużywanie władzy! Zewsząd rozległy się okrzyki protestu. Mały człowieczek obrócił się na pięcie i absolutnie nie-spieszony, zmierzył wzrokiem zgromadzonych z wysokości swojego metra czterdziestu. Jego godna postawa i milczenie miały dać wszystkim do zrozumienia, że prawo jest prawem.

Podniecenie ustępowało.

Zostałem uznany za własność państwową.

Teraz z kolei wkroczył kustosz. Poinformował dziennikarzy, że mam stanąć na ostatnim piętrze Muzeum Narodowego i że można mnie tam oglądać już w przyszłym tygodniu za skromną sumę pięciu szachrajów.

Zeus Peter Lama nie posiadał się z radości, że trafia do najszacowniejszych zbiorów w kraju. Fiona i Hannibal zalewali się łzami. Unikaliśmy wzajem swoich spojrzeń. Wyszli jako pierwsi.

Kiedy sala już pustoszała, Rienzi Firelli wyszedł na korytarz i nagle dostał drgawek. Ręce i nogi mu zeszywniały pod wpływem niewidocz-

184*

nych ciosów wymierzanych, jak się zdawało, od wewnątrz; oczy stanęły mu w słup, na usta wystąpiła piana i padł na podłogę.

Bob rzucił się, żeby go podnieść. Enzo natomiast obserwował tę scenę z ponurą miną.

- Nie żyje! - wrzasnął Bob. - Nie żyje! Nie żyje! Bob zaczął wydawać z siebie upojne wrzaski -

jest się tym fachowcem od komunikacji! - które wzburzyły gapiów i klientów.

- Umarł! Firelli padł trupem! Śmiertelne przedawkowanie! Zniszczył go ten bezlitosny świat! Enzo, cały czas stojąc, wpatrywał się w trupa swojego brata z nienawiścią. Już mu zazdrościł takiego zgonu.

Skurczony, zamknięty w sobie, z zaciśniętymi ustami wyrzucał mu, że zdołał skończyć ze sobą pierwszy, przed nim.

Fotografowie i dziennikarze skakali wokół zwłok.

Woźni wybrali ten moment, żeby mnie ewakuować, obawiając się, żeby tłum mnie nie uszkodził.

Gdy mijaliśmy Boba, usłyszałem, jak szepcze na ucho drugiemu bratu:

- Robimy nową umowę, mój karmelku. Taka żałoba jak ta, dobrze wykorzystana, może nam zapewnić utrzymanie na co najmniej dwa lata.

* 185 *

Kustosz Muzeum Narodowego był młodym starym kawalerem. Specjalista od piętnastowiecznego malarstwa włoskiego, poliglota, pełen ogłady, mieszkał z kotką i dziewięcioma tysiącami starych książek oprawnych w szagryn. Ubrany jak spod igły, pachnący pralnią i wodą kolońską, wciśnięty w trzyczęściowe garnitury z gładkimi i błyszczącymi kantami, ze starannie uczesanymi lśniącymi włosami, był takim maniakiem czystości, że aż stawał się od tego bezbarwny, szary, a jednocześnie ta czystość go postarzała. Będąc w posiadaniu obszernego mieszkania na ostatnim piętrze muzeum, sam prał, krochmalił i prasował swoją bieliznę, bo nieznośna mu była myśl, że ktoś miałby dotykać jego rzeczy. Panna Sara, kotka angora, była jedynym stworzeniem, którego kaprysy i zachcianki tolerował; darzył ją pełną uwielbienia miłością, a ona raczyła ją przyjmować; natomiast jego stosunki z resztą świata ograniczały się do funkcjonalnego i kurtuazyjnego minimum.

Pod względem gustów artystycznych raczej konserwatysta, nie aprobował zatem zakupu, który został mu narzucony przez rząd i który pochłonął jego budżet na najbliższe dwa lata. Kiedy przyszedł po mnie do domu aukcyjnego, rzucił mi tylko wściekłe spojrzenie.

- Mój Boże! - wykrzyknął spoza okularów w drucianej złotej oprawie. - To się nazywa sztu-

* 186 ->

ka? Jakie to wulgarne! Jaki upadek! Dlaczego mi przyszło żyć w dzisiejszych czasach?

Jego zmartwienie przeszło we wściekłość, kiedy mu powiedziano - gdy już zostałem dostarczony do muzeum - że ma mi zapewnić lokum.

- Jak to? Co takiego? Nigdy czegoś tak absurdalnego nie słyszałem. Tak czy inaczej jest tylko jedno lokum: moje!

Bawiła mnie ta scena, ale nic nie mówiłem, bo postanowiłem możliwie jak najdłużej pozostać niemy. W obecności swojego personelu i przedstawicieli ministerstwa kustosz wrzeszczał, piekł się, jego głos z oburzenia wznosił się w górne rejestry, w końcu zmuszony był uznać tę konieczność: dać mi pokój gościnny, który mieścił się w jego mieszkaniu służbowym.

- Trudno. Natychmiast piszę protest do ministra. Dodają mi tu nieszczęść do mojego stanowiska. Nie zasłużyłem na to. Trzeba uruchomić kredyty, żeby zakwaterować tego... tego... Adama bis.

Kiedy zamknął za nami drzwi swojego mieszkania, popędził do salonu, żeby donieść o tej sytuacji Pannie Sarze i ją przeprosić. Kotka, która właśnie przestała się wylizywać i końcem łapki upiększała sobie różowy pyszczek, wydawała się przyjmować do wiadomości jego wyjaśnienia

* 187*

i okazywała zrozumienie... do chwili, kiedy mnie zobaczyła. Wtedy nastroszyła sierść, stała się dwa razy większa i zaczęła fukać. Walała ogonem, z jej gardła dobywało się jakby gruchanie, w końcu uciekła i schowała się pod kredens.

- No proszę! - krzyknął zrozpaczony kustosz. - No proszę! Depcze się moją intymność! Niszczy się moje prywatne życie!

Rozpłasczył się na podłodze, aby popertrak-tować z Panną Sarą, która, wystawiając pazury, syczała mu w nos i o niczym nie chciała słyszeć.

Dość zadowolony z obrotu, jaki przybierały sprawy, zostawiłem ich i zamknąłem się w swoim pokoju. Miałem dokładny plan: zrobić takie piekło z naszego wspólnego mieszkania, że pewnego dnia kustosz będzie mnie błagał, abym poszedł mieszkać gdzie indziej.

W pierwszej godzinie pierwszego dnia, kiedy wchodziłem na ciepły od lamp cokół, naprzeciwko siebie zobaczyłem Fionę.

- Adamie, błagam, bądź cicho. Mam bardzo mało czasu.

Starłem się zachować równowagę, bo przez tę niespodziankę o mało nie spadłem z podium. Potem skuliłem się w sobie. W obecności Fiony nagle uświadomiłem sobie, że jestem goły, i zawstydziłem się. Ona to zauważyła.

188

i okazywała zrozumienie... do chwili, kiedy mnie zobaczyła. Wtedy nastroszyła sierść, stała się dwa razy większa i zaczęła fukać. Waliła ogonem, z jej gardła dobywało się jakby gruchanie, w końcu uciekła i schowała się pod kredens.

- No proszę! - krzyknął zrozpaczony kustosz. - No proszę! Depcze się moją intymność!

Niszczy się moje prywatne życie!

Rozpłaszczył się na podłodze, aby popertrak-tować z Panną Sarą, która, wystawiając pazury, syczała mu w nos i o niczym nie chciała słyszeć.

Dość zadowolony z obrotu, jaki przybierały sprawy, zostawiłem ich i zamknąłem się w swoim pokoju. Miałem dokładny plan: zrobię takie piekło z naszego wspólnego mieszkania, że pewnego dnia kustosz będzie mnie błagał, abym poszedł mieszkać gdzie indziej.

W pierwszej godzinie pierwszego dnia, kiedy wchodziłem na ciepły od lamp cokół, naprzeciwko siebie zobaczyłem Fionę.

- Adamie, błagam, bądź cicho. Mam bardzo mało czasu.

Starłem się zachować równowagę, bo przez tę niespodziankę o mało nie spadłem z podium. Potem skuliłem się w sobie. W obecności Fiony nagle uświadomiłem sobie, że jestem goły, i zawstydziłem się. Ona to zauważyła.

* 188*

- Adamie, proszę cię. Stój spokojnie, tak jakby mnie tu nie było, inaczej nas namierzą.

Przyjąłem pozycję, która pozwalała mi widzieć Fionę, a jej nie pozwalała widzieć mnie w szczegółach. Wyjęła z rękawa wizytówkę.

- Na tej karteczce napisałam swój adres i numer telefonu. Ja... ja... ciągle myślę o tobie.

- Ja też o tobie myślę - powiedziały moje wargi. Położyła karteczkę na moim podium, a ja postawiłem na niej stopę i ukryłem ją.

- Dziękuję - szepnęła.

Jej oczy wpatrywały się w moje oczy.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała jednym tchem.

Miałem ściśnięte gardło. Drżałem na całym ciele. Usłyszałem swój własny głos, który zabrzmiał jak nieznajomy, dochodzący z głębi gęstej, bujnie zarośniętej dżungli, i który wybełkotał:

- Kocham cię, Fiono.

Na policzki wytrysnęła jej czerwień niczym petarda z ogni sztucznych, westchnęła, spuściła rzęsy i uciekła.

Od tej pory moje postanowienie się umocniło: powinienem jak najszybciej nadszarpnąć nerwy młodego i eleganckiego kustosza.

Nie musiałem się ani wysilać, ani czekać. Złociste źrenice Panny Sary tak nie znosiły mojego widoku, że gdy tylko mnie zobaczyła, sy-

189

czała, toczyła pianę, fukała, szarpała pazurami i strzępiła fotele; tak jej zawadzałem, że w odwecie zaczęła sikać na najcenniejsze książki swojego pana. Znajdując piękne inkunabuły zawilgocone, wyblakłe, a nawet podziurawione przez dymiącą i mściwą urynę kotki, jej pan zrozumiał, że staje oto przed ultimatum: musi wybrać między kotką a mną. I mimo że codziennie spędzałem wiele godzin na cokole w wielkiej sali muzeum, wspólne

zamieszkiwanie zostało uznane przez kotkę za niemożliwe. A wymierzanie przez nią sprawiedliwości na tym by się nie skończyło... Wszedłem więc do gabinetu kustosa, który płakał nad swoimi zniszczonymi księgami lub utraconą miłością, i usiadłem naprzeciw niego.

- Dłużej już tak nie można - powiedziałem. Przerażony, przyłożył rękę do serca. Szybko go uspokoiłem.

- Tak, ja mówię. Proszę się nie bać. Od wielu miesięcy wolę udawać, że jestem niemową, ale naprawdę mówię i myślę.

Słuchał mnie jak istoty pozaziemskiej.

- Otóż... ma pan bardzo ładnego kotka...

- Kotkę - poprawił.

W pierwszym odruchu rozejrzał się, by sprawdzić, czy aby zawzięta i humorzasta Panna Sara nie znajduje się w pokoju i nie usłyszała mojej pomyłki.

190

- No więc, ma pan bardzo ładną kotkę, która mnie nie toleruje. Dobrze się składa: nie zależy mi, żeby tu mieszkać. Proponuję, aby pozwolił mi pan mieszkać tam, gdzie chcę.

- Nie mam do tego prawa.

- Zapewne, nie ma pan do tego prawa. Ale bardzo pan tego pragnie. Co dzień rano będę przychodził pół godziny przed otwarciem muzeum, aby sprawić wrażenie, że schodzę z pana mieszkania, a wieczorem będę stąd wychodził po cichu, również pół godziny po zamknięciu. Co pan o tym sądzi?

- Dokąd pan pójdzie?

- Do domu Carlosa Hannibala i jego córki.

- Carlosa Hannibala, tego malarza?

- Zna go pan?

- Tak sądzę. Według mnie to najlepszy artysta naszych czasów, chociaż wygląda na to, że nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Ależ tak. Pan, jego córka i ja. To znaczy, że jesteśmy pokrewne dusze. To znaczy, że możemy mieć wspólną tajemnicę.

Przytaknął skinieniem głowy. Wzmianka o Carlosie Hannibalu sprawiła, że nagle nabraliśmy do siebie zaufania.

- Wie pan, że jeśli się zgodzę, narażam się na utratę stanowiska?

- A co pan woli? Stracić stanowisko czy zniszczyć swoje życie z Panną Sarą?

* 191 *

W tym momencie z salonu dał się słyszeć odgłos czegoś spadającego. Panna Sara właśnie zrzucała systematycznie na podłogę kryształowe wazony.

- Zgoda - powiedział przerażony kustosz - działajmy według planu, który pan zaproponował.

Włożyłem bardzo obszerne ubranie, zszedłem służbowymi schodami i z głośno bijącym sercem, rozpaloną głową i pulsującymi skroniami pomaszerowałem do domu Fiony.

Był to smutny i łagodny wieczór, wieczór po burzy, kiedy mlecznoszare obłoki gasiły wszelką nadzieję na słońce. Liście zwisały z drzew jakby obolałe.

Wyszedłem z miasta i przedzierałem się dalej przez zarośla, stąpając po łamiących się z chrzęstem gałęziach. W oddali, na końcu plaży, dostrzegłem stojący samotnie domek Fiony - biało-niebieski, pokryty dachówką, z dwiema werandami po bokach, co nadawało mu wygląd rezydencji kolonialnej. W miarę jak zapadała noc, niebo niepostrzeżenie nabierało coraz ciemniejszych i wyszukanych barw. Kilka mew z wygiętymi w łuk skrzydłami kończyło oblatywanie, wpłatając w zataczane kręgi przeraźliwe dźwięki swoich krzyków. Zanim zdążyłem zapukać, Fiona pojawiła się na progu i rzuciła mi się na szyję.

* 192 *

- Nareszcie - szepnęła mi na ucho.

Hannibal też nie posiadał się z radości.

Fiona zrobiła nam coś do jedzenia. Rozmawialiśmy do późnych godzin o wszystkim, o niczym, tak jakby to było normalne, że się tu spotkaliśmy. Potem Hannibal zniknął w pracowni i słyszeliśmy, jak przestawia ramy.

- A, jest! - wykrzyknął.

Wrócił do kuchni i pokazał mi obraz. Kiedy na niego spojrzałem, zatkało mnie, wstrzymałem oddech i myślałem, że serce przestanie mi bić. Jak to możliwe? Skąd się wzięło to cudo?

- Ale... co to... nie mogę uwierzyć... Hannibal uśmiechnął się do mnie.

- Obiecałem ci to. Zajął mi wiele tygodni. Musiałem się do niego zabierać wiele razy, zanim poczułem, że mi się udał. No i tyle. Daję ci go, żebyś mi wybaczył, że cię uraziłem kiedyś na plaży, obrzucając obelżywymi słowami rzeźbę Zeusa Petera Lamy, nie wiedząc, że chodzi o ciebie. Namalowałem cię tak, jak cię widzę.

Moje oczy spoczęły na obrazie z niedowierzaniem.

- To niemożliwe - wyszeptałem. - Ktoś pana informował. Miał pan dokumentację...

- Twój głos. Twoja obecność. Twoje refleksje. Twoja uprzejmość. Malowałem na podstawie tego, czego od ciebie doświadczyłem.

193 *

Odsunąłem obraz i wstałem, przybity. Łzy szczypały mnie w powieki.

- To niesprawiedliwe. To zbyt niesprawiedliwe...

Krażyłem wokół stołu, niezdolny do wypowiedzenia niczego innego, z drżącymi wargami.

- Co się dzieje, chłopcze? Czy znowu bezwiednie zrobiłem coś, co cię dotknęło?

- To przerażające. Namalował mnie pan takiego, jakim byłem przedtem. Dokładnie takiego, jaki byłem... I jaki nigdy już nie będę.

Padłem na zlew z głową między łokciami, wstrząsany szlochem. Hannibal nie tylko namalował mnie takiego, jaki byłem, ale też przedstawił jako obdarzonego jakimś wdziękiem, który czynił mnie jeśli nie pięknym, to przynajmniej wzruszającym, rozczulającym. Dlaczego nigdy nie widziałem siebie w ten sposób?

Fiona objęła mnie ramionami. Zrobiło mi się nagle bardzo ciepło. Wchłaniała moje zmartwienie.

Doszedłem do siebie. Ucałowałem Hannibala, który życzył nam dobrej nocy, i Fiona i ja weszliśmy do pokoju na poddaszu z trzeszczącą podłogą z długich desek; położyła się na wąskim łóżku i przytuliła do mnie.

- Fiono, czy ty też mnie widzisz oczami niewidomego?

194

- To są oczy miłości.

Rozebraliśmy się powoli, bezszelestnie, niemal nabożnie, i po raz pierwszy się kochaliśmy. Szczęście domaga się krótkich zdań. Byłem szczęśliwy. Fiona też. I również Hannibal, jako że nasza miłość dodawała mu natchnienia i dużo malował.

Chociaż kustosz miał poczucie winy, widząc mnie wychodzącego codziennie wieczorem, wolał raczej przyzwyczaić się do swoich wyrzutów sumienia niż stawiać czoło atakom gniewu Panny Sary.

Karcił mnie pro forma.

- Opalił się pan. Jak to możliwe?

- W poniedziałek, w dniu kiedy muzeum jest nieczynne, byłem z Hannibalem i Fioną na plaży.

- Mój Boże! Gdyby to ktoś zauważył! Własność państwowa, która opala się na plaży!

- Ale na szczęście byłem nago! - dodałem. - Niech pan mnie sobie wyobrazi ze śladami kąpielówek.

- O Boże! Czy nie dostał pan udaru słonecznego?

- Fiona posmarowała mnie olejkiem ochronnym.

- Horror! Własność państwowa, która smaruje się kremem do opalania! To profanacja.

#195*

- Kapaliśmy się.

- Nieszczęsny, niech pan zamilknie! Gdyby ktoś odkrył, że jedno z dzieł z muzeum, którym zarządzam, moczyło się w słonej wodzie, natychmiast by mnie odwołano.

Opowiedziałem mu to, co go mogło szokować, nie żeby go straszyć, ale po to, żeby się przyzwyczajał. Uspokojony, dawał mi coraz więcej swobody, a wkrótce zgodził się też, żebym podczas przerwy wakacyjnej, kiedy muzeum jest zamknięte, mógł zamieszkać u Fiony.

- Ja też obiecałem Pannie Sarze, że zabiorę ją na ryby nad rzekę w centrum kraju - wyznał, czerwieniąc się. - Szaleje z radości. Nigdy nie przepuści żadnemu pstrągowi czy płotce, które podpłyną jej pod łapę.

Kiedy w końcu przyznano mi przepustkę, Fiona postanowiła, że wybierzemy się w podróż do Indii, aby zwiedzić świątynie miłości. Hannibal ubłagał nas, żebyśmy pojechali sami, obiecując, że przez tydzień da sobie radę. Tak się przy tym upierał, przez delikatność, jakby chciał się nas pozbyć i jakby to on, a nie my, potrzebował samotności.

Trząśłem się z podniecenia, a zarazem ze strachu, kiedy nadawałem bagaż. Ponieważ nie miałem już żadnego oficjalnego dowodu tożsamości, zgodziłem się, żeby Fiona załatwiła mi przez

* 196*

przyjaciółkę, która była sekretarką w prefekturze, wyrobienie paszportu. Widniało w nim moje zdjęcie, Adam wpisano jako imię, Bis jako nazwisko rodowe. Data urodzenia była prawdziwa, wzrost i kolor oczu również, a jako zawód po wielu rozważaniach podano: „agent artystyczny”. Hostessa zaakceptowała to, posyłając mi szeroki uśmiech, celnik również.

Trudno mi było przejść przez bramkę z powodu rozlicznych metalowych prętów, które mi wstawiono podczas mojej metamorfozy i które włączały wycie detektorów. Po trzech przeszukaniach moich ubrań i czterech obmacywaniach w końcu mnie przepuszczono. Fiona i ja zaciskaliśmy palce, czekając na wejście do samolotu, oniemiaли ze szczęścia, z twarzami rozjaśnionymi nadzieją.

Jednak w chwili wsiadania do samolotu zaczęło mnie trzech policjantów.

- Adam bis nie jedzie.

- Słucham?

- Własność państwowa. Nie ma prawa opuszczać rodzinnej ziemi.

-Janie...

- Bez dyskusji i proszę z nami. Odprowadzimy pana do muzeum.

Fiona rzuciła się na nich z wrzaskiem, myślałem, że ich rozszarpie na strzępy, więc bardziej niż mną zajęci byli jej poskramianiem.

* 197*

przyjaciółkę, która była sekretarką w prefekturze, wyrobienie paszportu. Widniało w nim moje zdjęcie, Adam wpisano jako imię, Bis jako nazwisko rodowe. Data urodzenia była prawdziwa, wzrost i kolor oczu również, a jako zawód po wielu rozważaniach podano: „agent artystyczny”. Hostessa zaakceptowała to, posyłając mi szeroki uśmiech, celnik również.

Trudno mi było przejść przez bramkę z powodu rozlicznych metalowych prętów, które mi wstawiono podczas mojej metamorfozy i które włączały wycie detektorów. Po trzech przeszukaniach moich ubrań i czterech obmacywaniach w końcu mnie przepuszczono. Fiona i ja zaciskaliśmy palce, czekając na wejście do samolotu, oniemiaли ze szczęścia, z twarzami rozjaśnionymi nadzieją.

Jednak w chwili wsiadania do samolotu zaczęło mnie trzech policjantów.

- Adam bis nie jedzie.

- Słucham?

- Własność państwowa. Nie ma prawa opuszczać rodzinnej ziemi.

- Ja nie...

- Bez dyskusji i proszę z nami. Odprowadzimy pana do muzeum.

Fiona rzuciła się na nich z wrzaskiem, myślałem, że ich rozszarpie na strzępy, więc bardziej niż mną zajęci byli jej poskramianiem.

197

Kustosz i jego kotka zostali pilnie wezwani przed oblicze. Komisarz rządu dowiedział się, w jak fantazyjny sposób wykonywał on swoje obowiązki, i zdecydowano, że zostanie zwolniony.

Na jego miejsce mianowano kogoś, kto nie miał za grosz kultury artystycznej, lecz specyficzne kompetencje w dziedzinie bezpieczeństwa i przestrzegania przepisów.

Kiedy pan Durand-Durand wszedł do biura, zrozumiałem, że oto pojawił się mój najgorszy wróg. Szczęśliwy kawałek mojego życia leżał w gruzach i problemy miały się zacząć od nowa, o ile nie nasilić.

- Przede wszystkim wprowadzam potrojenie stanu liczbowego strażników. Następnie zarządzam, żeby obiekt został oznakowany elektronicznie. Wreszcie żądam, żeby mianowano dwóch restauratorów, przydzielonych specjalnie do tego dzieła, jeden powinien być dietetykiem, aby dzieło nie utyliło, drugi - profesorem gimnastyki, aby twór mógł pełnić swoją służbę. Co się tyczy zakwaterowania, proponuję, żeby zagospodarowano celę niedostępną dla publiczności, na tym samym piętrze, na którym eksponat jest wystawiony. Będzie mu się podawać jedzenie przez kraty.

- Jestem człowiekiem, nie więźniem! - wykrzyknąłem.

198

- Jest pan własnością państwową. Mam papiery, które o tym świadczą.

- Nie traktuje się istoty ludzkiej w ten sposób.

- Nie ma pan wiele z człowieka. Zresztą podpisał pan Zeusowi Peterowi Lamie zrzeczenie się swojego człowieczeństwa. Mam u siebie fotokopię.

- Dużo czasu upłynęło od tamtej pory i ja...

- Nie pytam pana o zdanie ani pana nie informuję. Tłumaczę personelowi, jak powinniśmy zorganizować pracę.

W dniu mojego ponownego odsłonięcia Fio-na stawiała się w pierwszej godzinie. Poczekala, aż fala grup szkolnych odpłynie, i przyszła ze mną porozmawiać.

- Wiesz, kontaktowałam się z kilkoma adwokatami. Są bardzo zaniepokojeni. Według nich nie jesteś już człowiekiem.

- Ale przecież mówię, myślę, kocham.

- Oczywiście. Niestety spisałeś z Zeusem tę umowę, według której stajesz się dziełem. Potem kilka razy sprzedawano cię jak przedmiot. Przede wszystkim teraz należysz do państwa.

Adwokaci, z którymi się konsultowałam, boją się zadzierać z państwem. Wszyscy twierdzą, że z państwem nigdy się nie wygrywa. Wszyscy - z jednym wyjątkiem.

-Kto?

#199*

- Mecenas Calvino. Byłby gotów podjąć to ryzyko.

- Przywieź go tutaj.

- On żąda, żeby najpierw wnieść skargę.

- Wniosek skargę.

- Nawet tego nie możesz. Z prawnego punktu widzenia ci to nie przysługuje. Nie jesteś już osobą, Adamie. Wyjawszy mnie i mojego ojca, dla innych nie jesteś już osobą.

Nowy kontyngent studentów wkroczył do mojej sali i wymiotł Fionę.

Czy była to przeciwność losu? Złapałem jakiegoś wirusa? Czy jakaś bakteria zainfekowała mój wikt? Gorączka mnie biczowała. Jedno uderzenie, zimno. Drugie uderzenie, ciepło. Tak bardzo szczękałem zębami, że w chwili zamykania muzeum spadłem z cokołu bez życia. Durand-Durand, zaalarmowany przez strażnika, złożył mi wizytę w celi, zbadał puls, zmierzył temperaturę, po czym syknął pogardliwie:

- Zwyczajna grypa. Nic innego. Dam panu lekarstwa, które sam biorę w podobnych wypadkach.

Dodał do tego nieprzyjemny grymas, który znaczył: „Widzi pan, że pana nie lekceważę, że dbam o pana jak o siebie, na co się pan uskarża?”, i dał mi do połknięcia kawałek gipsu o cytrynowym smaku.

* 200 *

- Niech pan bierze tego, ile tylko pan chce. To niezawodne.

Paskudztwo trochę podziałało. Dreszcze w następnych dniach ustąpiły, pozostawiając tylko ogólnie złe samopoczucie.

Fiona przyszła z mecenasem Calvino pod mój cokół.

Korzystając z nieuwagi strażników, ten ostatni wypytywał mnie przez kilka minut o warunki życia, szukając jakiegoś haka, który pozwoliłby na wystąpienie na drogę sądową.

Mecenas Calvino miał energię niskich ludzi. Zaczesał gładko włosy i obcinając je bardzo krótko, starał się ukryć swoje częściowo afrykańskie pochodzenie. Jego głos, pogrubiony od tytoniu, rozbrzmiewał donośnie; potężna klatka piersiowa służyła jako pudło rezonansowe, tworząc wibracje dźwięków wiolonczeli. Cokolwiek mówił, słuchano go, tak uwodzicielski i czarujący był głęboki, niski i harmonijny tembr jego głosu.

Fiona przysłuchiwała się naszej rozmowie. Zauważyłem, że jest blada. Czy ona też się źle czuła?

- No nie, doprawdy - podsumował adwokat - już widzę, jaki obrót nadać sprawie, ale nie wiem, w imię czego ją zacząć. Brakuje nam podstawy do skargi.

Strażnicy podeszli do mecenasa Calvino.

* 201 *

- Nie wolno rozmawiać z dziełami sztuki.

- Przepraszam - rzekł pokornie.

On i Fiona przeszli do sąsiedniej sali, poczekali, aż strażnicy zmniejszą czujność, i wrócili do mnie.

W tym momencie Fiona potknęła się, zachwiała i osunęła na podłogę.

Zeskoczyłem z cokołu, żeby ją podnieść.

Nie ruszała się. Zemdląca.

Nachyliłem się nad nią, pocałowałem, przemówiłem do niej czule.

Strażnicy rzucili się na mnie.

- Rzeźby nie schodzą z cokołów!

- Zostawcie mnie w spokoju albo zakabluję kustoszowi, że palicie papierosy na służbie.

Moje groźby ich powstrzymały. Zastanowili się.

Fiona tymczasem podniosła powieki. Popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się i przyłożyła rękę do brzucha.

- Ostatnio często mdleję.

Nie śmiałem uwierzyć w to, co chciała powiedzieć. Upewniła mnie:

- Jestem w ciąży.

Byłem wstrząśnięty. Fala gorących rzewnych łez napłynęła mi do gardła; wypełniały mnie, niemal się dusiłem, i teraz to ja zwałem się z nóg, ulegając emocji. Płakałem jak bóbr.

Z tyłu zabrzmiał silny, dźwięczny głos mecenasa Calvino.

* 202 #

- Nie wolno rozmawiać z dziełami sztuki.

- Przepraszam - rzekł pokornie.

On i Fiona przeszli do sąsiedniej sali, poczekali, aż strażnicy zmniejszą czujność, i wrócili do mnie.

W tym momencie Fiona potknęła się, zachwiała i osunęła na podłogę.

Zeskoczyłem z cokołu, żeby ją podnieść.

Nie ruszała się. Zemdląła.

Nachyliłem się nad nią, pocałowałem, przemówiłem do niej czule.

Strażnicy rzucili się na mnie.

- Rzeźby nie schodzą z cokołów!

- Zostawcie mnie w spokoju albo zakabluję kustoszowi, że palicie papierosy na służbie.

Moje groźby ich powstrzymały. Zastanowili się.

Fiona tymczasem podniosła powieki. Popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się i przyłożyła rękę do brzucha.

- Ostatnio często mdleję.

Nie śmiałem uwierzyć w to, co chciała powiedzieć. Upewniła mnie:

- Jestem w ciąży.

Byłem wstrząśnięty. Fala gorących rzewnych łez napłynęła mi do gardła; wypełniały mnie, niemal się dusiłem, i teraz to ja zwałem się z nóg, ulegając emocji. Płakałem jak bóbr.

Z tyłu zabrzmiał silny, dźwięczny głos mecenasa Calvino.

* 202 *

- Ona jest w ciąży. Mamy wyjście!

Fiona i ja z oczyma wilgotnymi od łez odwróciliśmy się do niego, nic nie rozumiejąc.

Podskakiwał z radości.

- No tak! Fiona złoży skargę, bo uniemożliwia się ojcu jej dziecka spełnienie swojej roli.

Wytaczamy proces.

Noc była koszmarna. Miałem wszelkie powody do radości, ponieważ widziałem już w zarysach procedurę, która miała mi zwrócić wolność i umożliwić życie z Fioną i dzieckiem, a jednak przewracałem się z boku na bok w mokrej od potu pościeli. Powróciła gorączka, która wyostrzała moje ponure myśli. Roztrząsałem pożałowania godne próby ucieczki, przeżuwałem poczucie bezsilności. Przepełniony strachem, nie widziałem ani końca nocy, ani perspektyw na dalsze życie.

Wstając, zauważyłem w różnych miejscach łóżka żółtawe tłuste ślady. W tej samej chwili poczułem swędzenie. Zacząłem się obmacywać i do mojej wyjałowionej przez bezsenność świadomości dotarło wyjaśnienie obu zjawisk: z blizn sączyła mi się ropa.

Co się działo? Nie tylko puściły szwy, ale z otwartych ran wyciekał gęsty płyn, który wydalał jakieś kłaki i palił mnie do granic wytrzymałości.

* 203 *

- Ona jest w ciąży. Mamy wyjście!

Fiona i ja z oczyma wilgotnymi od łez odwróciliśmy się do niego, nic nie rozumiejąc.

Podskakiwał z radości.

- No tak! Fiona złoży skargę, bo uniemożliwia się ojcu jej dziecka spełnienie swojej roli.

Wytaczamy proces.

Noc była koszmarna. Miałem wszelkie powody do radości, ponieważ widziałem już w zarysach procedurę, która miała mi zwrócić wolność i umożliwić życie z Fioną i dzieckiem, a jednak przewracałem się z boku na bok w mokrej od potu pościeli. Powróciła gorączka, która wyostrzała moje ponure myśli. Roztrząsałem pożałowania godne próby ucieczki,

przeżuwałem poczucie bezsilności. Przepętniony strachem, nie widziałem ani końca nocy, ani perspektyw na dalsze życie.

Wstając, zauważyłem w różnych miejscach łóżka żółtawe tłuste ślady. W tej samej chwili poczułem swędzenie. Zacząłem się obmacywać i do mojej wyjąłowionej przez bezsenność świadomości dotarło wyjaśnienie obu zjawisk: z blizn sączyła mi się ropa.

Co się działo? Nie tylko puściły szwy, ale z otwartych ran wyciekał gęsty płyn, który wydalał jakieś kłaki i palił mnie do granic wytrzymałości.

* 203 *

Wziąłem zimny prysznic, posmarowałem spirytusem najbardziej bolesne nacięcia, przypudrowałem je talkiem i, nic nikomu nie mówiąc, poszedłem do pracy.

Zaledwie po pięciu minutach pozowania na cokole podjąłem decyzję. Nie zważając na wianuszek dzieci, które zerkwały na mnie pod opieką nauczycielek, zapamiętałe ziewając, zeskokczyłem na podłogę i pomaszerowałem do wyjścia.

- Stać! - krzyknął strażnik. Szedłem dalej, udając, że nic nie słyszę.

- Stać! - powtórzył, zagrządzając mi drogę z rozpostartymi ramionami.

Odepchnąłem go i poszedłem do następnego pomieszczenia.

- Alarm! Alarm!

Rozległ się dzwonek. Dzieci zaczęły przeraźliwie krzyczeć, a ich krzyki wyrażały coś między lękiem, bo nie wiedziały, co się stało, a podnieceniem, że nareszcie coś się stało. W głównym korytarzu rozbrzmiewały odgłosy ciężkich i bezładnych kroków.

Znalazłem się twarzą w twarz z rzędem strażników, którzy trzymając się pod ręce, zagrządzali mi drogę.

Nie zwalniając kroku, podszedłem do dwóch z nich i precyzyjnie wymierzyłem im kopniaki prosto w organy. Zgięci wpół, przerwali łańcuch i mogłem przejść.

204

- Obezwładnijcie go szybko! Szybko! Nowy kustosz Durand-Durand właśnie wpadł do holu. Organizował kontratak. Kilku strażników skoczyło mi na plecy. Zacząłem wrzeszczeć i w przypływie energii, jakiej nigdy u siebie nie podejrzewałem, grzmotnąłem jednym po drugim o ścianę. Wtedy dorwali mnie inni, a było ich jeszcze więcej, ale otrząsnąłem się tak mocno, że znowu się ich pozbyłem. Zrozumiałem zasadę mojej całkiem nowej siły: wystarczyło, że pomyślałem o Fionie, o jej słodkim brzuchu, o naszym przyszłym dziecku, a już stawałem się niezwyciężony. Przekroczyłem bramę i znalazłem się na ulicy. Durand-Durand, szkarłatny na twarzy, z napiętymi do ostateczności żyłami na szyi, gotowymi w każdej chwili pęknąć, schwycił pistolet wartownika i wycelował we mnie.

- Proszę się nie ruszać albo strzelam.

- Nie będzie pan dziurawił eksponatu z muzeum. Jest pan kustoszem, tak czy nie?

- Wypełniam swój obowiązek.

- Pańskim obowiązkiem jest nie uszkadzać eksponatów.

To mówiąc, cały czas szedłem. Tłum przechodniów rozstępował się przede mną. Niektórzy mnie rozpoznawali zaskoczeni; inni chronili się do samochodów albo do sklepów, jakbym był wypuszczonym z klatki tygrysem.

205

Nagle usłyszałem detonację i poczułem ból w łydce. Upadłem mimo woli.

Durand-Durand wystrzelił. Podszedł do mnie z dymiącą jeszcze bronią w eskorcie strażników.

- Moim podstawowym obowiązkiem jest udaremnić znikanie dzieł.

Położono mnie na noszach.

- Zanieście go do pracowni konserwatorskiej na ostatnim piętrze i postawcie tablicę z napisem: „Zamknięte czasowo z powodu remontu”.

Cały tydzień przebywałem w ambulatorium Muzeum, pilnowany nawet w nocy przez ludzi uzbrojonych w karabiny, które mogły wyrzucać strzykawki pełne środków nasennych.

Durand-Durand przychodził trzy razy dziennie robić mi wymówki, że się nie goję i nie dochodzę do siebie wystarczająco szybko po ranie łydki.

Pielęgniarz zauważył moje dziwne ropienia przy szwach. Opatrując mnie, zasygnalizował mi inne alarmujące zjawiska na moim ciele: im-planty kolagenu się przemieszczały, wzmocnienia osuwały, ciecze przeznaczone do wypełniania danej kończyny rozlewały się w sposób anarchistyczny po skórze, a tam, gdzie doktor Fichet spoił protezy, tworzyły się obrzęki.

206

- Po kilku dawkach antybiotyku stany zapalne powinny ustąpić - powiedział.

Przyjąłem jego lekarstwa, ale wiedziałem, że dzieje się coś groźniejszego, niż myślał: ciało Adama bis było w trakcie rozkładu.

Kiedy już mogłem chodzić, Durand-Durand jakby odetchnął z ulgą i zapowiedział personelowi:

- Jutro znów otwieramy wielką salę. Ogłoście to w prasie i zdejmijcie tablicę: „Zamknięte z powodu remontu”.

- Najwyższy czas, panie kustoszu. Ludzie domagali się zwrotu pieniędzy za bilety.

Usiadłem na łóżku i dałem znak kustoszowi, żeby do mnie podszedł.

- Niech pan nie wydaje pieniędzy na ogłoszenia. Adam bis nie wejdzie już na swoje podium, panie Durand-Durand.

- A niby dlaczego?

- Bo chcę wrócić do mojej żony, która jest w ciąży. Czy pan ma dzieci, panie Durand--Durand?

- Niech pan nie próbuje mieszać mi w głowie. Nie mam nawet co z panem dyskutować.

Należy pan do Muzeum Narodowego. Stanie pan w swojej sali w normalnych godzinach. Jeśli będzie pan usiłował coś kombinować, strażnicy będą do pana strzelać.

- Bardzo dobrze. Na pana ryzyko.

* 207 *

Nazajutrz urozmaicałem sobie samotność maskowaniem ropieni talkiem, potem czekałem na moich katów. Odstawiono mnie na cokół, tak jak prowadzi się skazańca pod mur, pod którym ma zostać rozstrzelany; szedłem eskortowany przez strażników z podniesioną bronią, w ciężkim milczeniu, i brakowało tylko bicia w bęben.

Stałem na swoim stanowisku, a wartownicy rozeszli się w cztery kąty sali, blokując również obydwa wyjścia.

Kiedy otwarto muzeum, poczekałem, aż tłum zgęstnieje, po czym, tak jak zaplanowałem, zrobiłem pod siebie...

Smród poprzedzał widok. Zwiedzających zaskoczył uporczywy fetor. Nieruchomieli na kilka sekund, nie wierząc własnym nozdrzom, patrzyli po sobie najpierw z wyrzutem, każdy szukał winnego w sąsiedzie, tak bowiem silne i bliskie wydawały się cuchnące opary. Jakaś matka spo-liczkowała dzieciaka, który zaczął płakać jak niewinna ofiara. Pojawiły się protesty.

Wpatrywano się podejrzliwie w podłogę, najuczciwsi odwracali podeszwy, najbardziej zalęknieni przykładali rękę do ust. Nagle jedna z kobiet zwymiotowała, a w jej ślad poszły inne. Ledwo przeżute śniadania nawarstwiały się na podłodze, dodając raczej mdłe odory do mojego ozywczego smrodu. Tymczasem moja kupa triumfowała, śmierdząca, za-

208

skakująca, odpychająca, straszna, ogromna, majestatyczna. Gdybym sam nie był przyczyną tego zainfekowania, też bym zwymiotował; a tak, jak każdy autor, darzyłem życzliwością swoje dzieło. W końcu mała dziewczynka wskazała mnie palcem.

- To on!

Ze zgrozy krąg wokół mnie się rozszerzył. Popychano się. Oddalano. Jakaś kobieta nie posiadała się z oburzenia.

- Coś podobnego! Za te pieniądze, co sobie każecie płacić za bilety, moglibyście przynajmniej posprzątać.

Strofowała strażników, którzy przykładali sobie chusteczki do nosa. Jej oskarżenie podjęli inni zwiedzający: ulżyło im, że znaleziono winnego i odpowiedzialnych.

Strażnicy, zakłopotani, nie dostrzegli na czas nadciągających zamieszek. Ton się podniósł. Przestano się mną zajmować. Może mógłbym uciec?

Zagrzmiał głos Duranda-Duranda:

- Co to za hałasy? Panowie, dlaczego tu sterczycie? Idźcie natychmiast oczyścić statwę Zeusa Petera Lamy.

Publiczność się uspokoiła i strażnicy podeszli do mnie z obrzydzeniem. Zrozumiałem, co mi pozostawało do spełnienia: położyłem się na mo-

* 209 *

ich ekskrementach i chichocząc, wysmarowałem nimi całe ciało.

- Obezwładnijcie go i każcie ewakuować całe piętro - krzyknął Durand-Durand.

Niebawem poczułem ukłucia i od razu zasnąłem.

Gdy się obudziłem, zastałem Duranda-Duranda siedzącego na brzegu łóżka. Ze zmarszczonymi brwiami, poruszając niecierpliwie nogą, bębniąc nerwowo palcami po jednej z moich protez, badał mnie tak, jak się przegląda kłopotliwe dokumenty. Jego sekretarka, panna Cruchet -symfonia różowości pod trwałą blond ondulacją, brązowa skóra przypieczona na słońcu - czekała z ołówkiem w ręku, gotowa do zanotowania jakiejś nowej dyrektorskiej myśli.

Usiadłem oparty na poduszkach, mlaskając językiem, żeby zwrócić jej uwagę.

- Nie wstanę. Od dzisiaj strajkuję.

- Nie ma pan prawa.

- Wszyscy mają prawo do strajku. Nawet pan.

- Przedmioty nie mają prawa do strajku.

- Nie jestem przedmiotem.

- Dzieła sztuki nie mają prawa do strajku, jeśli pan woli - dodał, wzruszając ramionami.

Z wewnętrznej kieszeni wyjął gazetę, rozłożył ją i pokazał mi.

*? 1 0 |

- Co to za historia z tym procesem?

Z radością dowiedziałem się, że Fiona złożyła skargę, że została ona przyjęta przez sąd i że gazety z przyjemnością o tym donosiły. Na swoich łamach cytowały adwokata, gromkogłosego mecenasa Calvino, który ujawnił humanitarny skandal.

- Chcę żyć z moją żoną. Będzie miała dziecko. Już to panu tłumaczyłem.

- Nigdy nie słyszałem tak absurdalnej historii. Pani już się spotkała z czymś takim, panno Cruchet?

Panna Cruchet, zgadzając się nieustannie ze swoim szefem, podniosła brwi, przez co o mało nie spadły jej łososiowe okulary w kształcie motyla. Skrzyżowałem ramiona - czy raczej to, co miałem zamiast.

- Niech pan myśli sobie, co chce, panie Du-rand-Durand. Nie będę się już więcej wystawiał.

- Doniosę na pana. -1 co jeszcze?

- Każę pana zatrzymać. -1 co dalej?

- Zamknę pana w więzieniu.

- Brawo, na co pan czeka, śmiało! Taki właśnie jest mój zamysł. Skoro mnie pan oskarża, znaczy, że jestem człowiekiem. Jeśli mnie wpakują do więzienia, to znaczy, że jestem człowie-

*211 *

kiem. Jeśli stanę się winny, znaczy, że jestem człowiekiem. Proszę bardzo, niech pan złoży skargę. Niech mnie pan oskarży.

Podrapał się w kark, a panna Cruchet z sympatii przygryzła swój ołówek koloru fuksji.

- Jestem odpowiedzialnym zarządcą. Stawia pan przede mną straszliwy problem zawodowy.

- Panie Durand-Durand, niech pan spojrzy na sprawę ze swojego punktu widzenia. Zdarza się, że płótno butwieje albo werniks pęka i od-pryskuje, prawda?

-Tak.

- Co pan robi w takim przypadku?

- Wycofuję eksponat z muzeum i powierzam go konserwatorowi.

- No więc?

- Rozumiem! Pana salę zostawiam otwartą, na cokole umieszczam tabliczkę: „Obiekt w pracowni konserwatorskiej”, wycofuję pana dossier i załatwione. Cruchet, znalazłem!

Rozpogodzony, z gładkim czołem, promieniał z radości, że posiadał rzecz najważniejszą: rozwiązanie administracyjne. Natomiast panna Cruchet zaczerwieniła się, bo szef zwrócił się do niej tylko po nazwisku, wzruszona, że bariera „panno” runęła, tak wstrząśnięta, jakby jej zadął spódnicę.

- Zezwala mi pan na wyjście? - podsumowałem.

212 *

- Na pewno nie.

- Tłumaczę panu, że moja żona...

- Ach, dość już tego. Nie dyskutuję z dziełami. A tym bardziej z dziełami uszkodzonymi. Wyszedł, nie podejrzewając tylko, do jakiego stopnia miał rację. Mimo leczenia, które zastosował pielęgniarz, gorączka mi nie spadała; rop-niaki, krosty i obrzęki trawiły moje ciało. Wydawało się, że mój organizm chce się powoli siebie pozbyć.

Mecenas Calvino sforsował bariery, łącznie z tą najgrubszą - zatwardziałą i zbiurokratyzowaną głupotą Duranda-Duranda.

- Jeśli pozwoli mi pan, panie kustoszu, zobaczyć się z Adamem bis, obiecuję nakłonić go, żeby pozował kilka godzin w weekend.

Zaniepokojony, że jego wpływy mogą się zmniejszyć, obawiając się kontroli finansowej w swojej instytucji, Durand-Durand nie zamknął się na negocjacje. Zezwolił mecenasowi Calvino na złożenie wizyty.

- Fiona czuje się dobrze - powiedział mecenas Calvino, gdy do mnie podszedł.

Odkąd zostałem ojcem, stałem się uczuciowy: drobiazgowa opowieść o codziennym życiu Fio-ny wycisnęła mi łzy z oczu. Ukryłem natomiast przed adwokatem szybkie pogarszanie się mo-

213 *

jego stanu zdrowia: nic nie powinno niepokoić przyszłej matki.

- Teraz, mój chłopcze, musimy popracować. Będzie rozprawa. Fiona występuje jako strona skarżąca. Oskarża państwo o nieludzkie traktowanie pańskiej osoby. Co będzie naszym zadaniem, jej i moim, podczas procesu? Dowieść, że jest pan człowiekiem.

Popatrzył na mnie i z powątpiewaniem przeciągnął ręką pod brodą. Dało to taki odgłos, jakby pocierał tarkę, bo już w południe mecenas Calvino zaczynał sinieć, w miejscu, w którym się ogolił.

- Pod względem wyglądu fizycznego będzie trochę trudno.

- Niech pan zapomni o tym, co widać, i posłucha mnie: ja mówię!
 - A co dzisiaj nie mówi? Komputery mówią! Maszyny mówią! Cała technika gada!
 - Tak, tak, ale kiedy ja mówię, wyrażam jakąś świadomość. Moje słowa odzwierciedlają duszę, a nie program.
 - Trzeba będzie tego dowieść.
 - To łatwe.
 - Nie ma nic trudniejszego, niż dowieść istnienia duszy. To coś, czego nie widać. Proszę nie zapominać, że połowa psychologów, lekarzy i naukowców twierdzi nawet, że dusza nie istnieje.
- *214*

- Ja mówię jako istota z krwi i kości.
- To na pewno jeden punkt. Nie przeszkodzi to jednak obronie, czyli państwu, powymachiwać dowodami na piśmie stwierdzającymi, że jest pan właśnie towarem. Był pan przedmiotem licznych transakcji handlowych. Oficjalnie jest pan zarejestrowany jako przedmiot, a nie jako człowiek.
- Od niedawna. Zaledwie półtora roku.
- Kim pan był przedtem? Opowiedziałem mecenasowi Calvino o swoim pochodzeniu, o kompleksie niższości w stosunku do braci, o próbach samobójstwa, o spotkaniu z Zeusem Peterem Lamą, o jego planie, który doprowadził do mojej upozorowanej śmierci i mojego zainscenizowanego pogrzebu.
- To bardzo duży kłopot - wykrzyknął mecenas Calvino przerażony. - Nie tylko nie można dowieść, że jest pan człowiekiem dzisiaj, ale też nie można dowieść, że był pan nim przedtem.
- Można.
- Nie, ponieważ pan nie żyje. Oficjalnie pan umarł. Osoba, za którą chce pan uchodzić, jest pochowana na głębokości sześciu stóp pod ziemią.
- Istnieje jednak zbieżność dat między moim zniknięciem z dawną tożsamością a moim pojawieniem się z nową tożsamością.

215 *

*

- To niewystarczające. Absolutnie niewystarczające. Mówi pan, że rodzice rozpoznali zwłoki w kostnicy?
 - Tak. Byłem ucharakteryzowany i uśpiony.
 - Argument obala się sam przez się. Po pierwsze pańscy rodzice mogą zaświadczyć, że widzieli pana zmarłego. Po drugie pan nie może niczego zaświadczyć, ponieważ był pan uśpiony. Nie można się tym posłużyć.
 - No to proszę mnie znowu skonfrontować z rodzicami.
- Zmierzył mnie wzrokiem, zastanawiając się nad tym pomysłem, rozpatrując go pod różnymi kątami:
- W jaki sposób by pana rozpoznali?
 - Oczywiście. Ale przede wszystkim wspomnienia.
- Mecenas Calvino zażądał, żebym był obecny, w ukryciu, podczas rozmowy, którą on najpierw odbędzie z moimi rodzicami.
- Dlaczego?
 - Żeby pan umiał powstrzymać emocje.
 - W jakim celu? Jestem taki szczęśliwy, że będę mógł ich zobaczyć, powiedzieć im, że ciągle żyję.
 - Bardzo dobrze, znamy pańskie nastawienie, ale czy pan zna ich nastawienie?

W gabinecie, który wypożyczył nam Du-rand-Durand, ustawiono parawan. Usiadłem za 216 *

nim i stwierdziłem, że mogę obserwować scenę przez szpary między skrzydłami. Z wrażenia serce biło mi zbyt szybko, a oddech był krótki. Na-faszerowany środkami przeciwzapalnymi i aspiryną, miałem przed sobą dwie godziny, w ciągu których gorączka powinna mi dać chwilę wytchnienia.

Weszło dwoje staruszków. Mężczyzna i kobieta. Mieli w sobie bardzo dalekie podobieństwo do moich rodziców. Ta sama fryzura z siwych włosów, bardziej matowych, dłuższych, bez życia. Te same oczy, ale nie to samo spojrzenie, teraz było w nim jeszcze coś matowego, nieruchomego, bojaźliwego i zmęczonego. Te same ciała, ale mniejsze, słabsze, bez sił - każdy gest podkreślał zużycie, każdy ruch groził zawaleniem się kruchej konstrukcji. Co się stało? Minął rok - najwyżej półtora roku.

- Dziękuję, że państwo przyszli - rzekł mecenas Calvino, prosząc, by usiedli.

- Uprzedzam, że żona nie słyszy - rzekł mój ojciec. - Chociaż fizycznie jest tu, z nami, jej duch przebywa gdzie indziej. Ona nic już nie czuje, nic nie mówi, na nic nie patrzy. Jednak kiedy ją oddalić ode mnie, zaczyna wrzeszczeć.

- Co mówią lekarze?

- Że za dużo wycierpiała. Toteż postanowiła więcej nie cierpieć. Opuściła nasz świat.

* 217*

Popatrzyłem na matkę, która wydawała się normalna, gdy zasiadała w fotelu. Potem jednak odseparowała się od wszystkiego, jej twarz była martwa, powieki otwarte na nicość, usta zionące milczeniem, z dala od nas, obojętna, czysto materialna.

- Drogi panie - powiedział mecenas Calvino - poprosiłem, żebyście przyszli, aby rozważyć z państwem hipotezę, według której wasz najmłodszy syn być może nie umarł.

- To niemożliwe. Widziałem Tazia po śmierci. Byłem zmuszony zidentyfikować jego zwłoki. Biedny Tazio...

Moje imię zabrzmiało we mnie niczym grom. Wraz z nim wracało moje dzieciństwo, moje szczęśliwe dzieciństwo.

- Mmm... widzi pan, sprawa jest skomplikowana. Na pewno trudno będzie panu uwierzyć, ale to, co państwo wtedy widzieli, było może tylko zainscenizowane.

- Słucham?

- Chciano państwu wmówić, że Tazio nie żyje, a on został tylko uśpiony.

- Uśpiony? Przez kogo? Dlaczego?

Mecenas Calvino zrobił pauzę. Odgrywał pewnego siebie, gdy tymczasem jego umysł szukał nerwowo możliwie najmniej szokującego sposobu przedstawienia przeszłości.

218

- Państwa syn chciał zniknąć. I w pewien sposób zniknął. No, w każdym razie ten, którego znaliście. On nie żyje, chociaż wcale nie umarł.

- Nie rozumiem.

- Pana syn może żyć z inną tożsamością.

- A dlaczego miałby to zrobić? I dlaczego by nam tego nie powiedział?

Mecenas Calvino znowu zamilkł i zajął się otwieraniem okna.

Mój ojciec wpatrywał się w podłogę, potrząsając głową.

- Nic nie rozumiem.

Mecenas Calvino usiadł z powrotem, odchrząknął i spróbował innego wybiegu.

- Dlaczego, pańskim zdaniem, wasz syn podejmował próby samobójcze?

- Nie mam pojęcia. To był najweselszy i najżywszy chłopczyk, jakiego znałem. Po prostu słońce w domu. Potem nagle, w wieku dojrzewania, przygaśł, sposepniał, zamknął się w sobie. Próbowaliśmy z nim rozmawiać. Na próżno. Gdy wyciągało się do niego rękę, on ją kąsał. Gdy zadawano mu pytanie, uciekał. Mówiliśmy sobie, że to okres dojrzewania...

Sprawiło nam cierpienie, kiedy widzieliśmy, jaki jest samotny i nieszczęśliwy, ale oboje z żoną postanowiliśmy poczekać, żeby sam zaczął mówić.

- Czy był brzydki?

* 219*

- Tazio, brzydki? Nie. Skądże. Nie miał tej samej aparycji co jego starsi bracia, ale nie można powiedzieć, że był brzydki, nie!

- A sam uważał, że jest brzydki?

- Możliwe. W wieku dojrzewanca, nawet jeśli człowiek jest urodziwy, uważa się za brzydkiego.

- Może cierpiał, że nie wzbudza zainteresowania?

- W porównaniu z braćmi, na pewno. I dlatego okazywaliśmy mu o wiele więcej czułości niż im. Wcale się do tego nie zmuszając. Enzo i Rienzi zawsze byli bardzo piękni, ale też bardzo oschli z charakteru. Nikomu nie życzę takich dzieci jak oni: egoiści, niewdzięcznicy, pozbawieni wrażliwości. Za to Tazio był naszą największą radością.

Wstrząśnięty, miałem ochotę pchnąć parawan, żeby paść ojcu w ramiona. Mecenas Cal-vino, jakby się tego domyślając, zmienił miejsce i usiadł między mną, skrzydłami parawanu i moim ojcem.

- Jakie są pana aktualne stosunki z synem Enzo?

- Żadnych stosunków. Jak tylko zdobyli rozgłos, Enzo i Rienzi przestali się z nami zadawać, z moją żoną, Taziem i ze mną, jakbyśmy już nie pasowali do nich i ich nowego środowiska. Małżonka jednak w dalszym ciągu niepokoiła się o nich, nie dopuszczała myśli, że wpadli w nar-

* 220 *

kotyki, że stają się uzależnieni od oszustów i białego prochu. Już nawet nie odbierali telefonów od matki, na przyjęciach udawali, że jej nie widzą. A potem nadszedł ten dzień... Ojciec się zawahał. Popatrzył na matkę, jakby chciał ją poprosić o pozwolenie, by mówić dalej. Nawet nie zauważyła jego spojrzenia; ciągnął więc opowieść:

- Tego dnia, kiedy się dowiedzieliśmy, że nasz Tazio rzucił się ze skały... byliśmy zdruzgotani. Nie może pan sobie wyobrazić tego bólu, który pograża w nicości dwadzieścia lat trosk, obaw i miłości... Po co? Dlaczego? Po co się tak niepokoiłymi pierwszymi krzykami, pierwszymi ząbkami, pierwszymi krostkami? Po co było trzymać mu rowerek, żeby się nie przewrócił? Po co było drzeć, kiedy nie wracał na czas ze szkoły? Po co było snuć marzenia? Po nic. Ale jest coś gorszego. Rozpacz przechodzi w poczucie winy. Co takiego zrobiliśmy? Czego nie zrobiliśmy? Jak spojrzeć w lustro, skoro widać w nim rodziców dziecka, które popełniło samobójstwo?

Pragnąłem wyskoczyć z kryjówki, krzyknąć ojcu, że to z egoizmu i głupoty chciałem się zabić, a nie dlatego, że oni okazali się złymi rodzicami. Mecenas Calvino, mocno stojąc na rozstawionych nogach, masywny, barczysty, zagradzał mi przejście.

* 221 *

- Byliśmy tak przybici, że kiedy bliźniacy przyszli zorganizować pogrzeb, w towarzystwie im-presaria, rzecznika prasowego i ludzi od reklamy, nie mieliśmy na tyle przytomności umysłu, żeby się sprzeciwić. Odbył się więc ten śmieszny pochówek, na którym podłożono zdjęcie jednego z bliźniaków w miejsce zdjęcia Tazia i podczas którego powstała ta legenda o aniołku rażonym gromem. Co za maskarada! Mojej żonie tak było wstyd, że zamknęła się w milczeniu. Ja nie poszedłem w jej ślady, ale też udaję tylko, że żyję. Rozumie pan więc, że gdyby nam doniesiono, iż Ta-zio odegrał swoją śmierć, że żyje i nic nam nie powiedział, chyba wolałbym tego nie wiedzieć. O ile utrata dziecka jest dramatem, to zdrada jest udawać, że się nie żyje, przed tymi, którzy was kochają. Czasami łatwiej znieść czyjaś śmierć niż czyjeś kłamstwa. Samobójstwo to fakt, który jeszcze można by jakoś zaakceptować, bo każdy choćby tylko przez sekundę poznał, co to rozpacz. Natomiast fałszywy zgon, oszustwo, myśl,

że mój syn żyje, każe mi sądzić, że... jeśli to zrobił!... nie, nie mogę tego znieść. Nie wyrzucałem mu tej śmierci, nigdy, cierpiałem przez nią, ale mu jej nie wyrzucałem! Gdyby zaś żywy zjawił się przede mną, wyrzucałbym mu życie! Nie można się dopuszczać takiego okrucieństwa! To niemożliwe. Nie Tazio. Niemniej jednak słucham pana.

#222*

W tym momencie wołałbym być w trumnie, gdzie rzekomo się znajdowałem. Zaczynałem dostrzegać, że egoizm popychał mnie w przeszłości do skrajnych zachowań i że w ogóle nie troszczyłem się o istoty, które mnie kochały i które ja kochałem. Bo kochałem mojego ojca, kochałem matkę, zawsze ich kochałem i nie przestałem kochać, chociaż cierpienie i ból istnienia w wieku lat dwudziestu przyćmiły inne moje uczucia.

Mecenas Calvino wrócił do biurka i położył dłonie płasko na drewnianym blacie, chcąc przywrócić spokój i podniosły nastrój, niezbędne w tej chwili.

- Drogi panie, bardzo dobrze rozumiem pana punkt widzenia. Muszę jednak przedstawić panu kogoś, kto twierdzi, że jest państwa synem.

Wymknąłem się po cichu zza parawanu i udałem, że wchodzę przez drzwi. Ojciec się odwrócił.

- Pan żartuje? - powiedział po kilku sekundach.

Stałem, wlepiając oczy w podłogę. Nie chciałem, żeby rozpoznał moje spojrzenie.

- Nie. Nie żartuję - odrzekł mecenas Calvino. - Adam twierdzi, że jest Taziem Firellim.

Prawda, Adamie?

* 223 *

n

Bąknąłem coś niezrozumiałego, zmienionym głosem.

Ojciec podszedł i zmierzył mnie bezlitosnym wzrokiem.

- Dlaczego pan to mówi? Dlaczego mówi pan, że jest Taziem Firellim? Co? Dlaczego pan nam to robi?

- Pomyliłem się - powiedziałem, sepleniąc i przyjmując pozy debila.

Mecenas Calvino spojrzał na mnie surowo i rzekł władczym tonem:

- Adam opowie panu swoje wspomnienia z dzieciństwa.

- Pomyliłem się.

- Jest pan pewny?

- Pomyliłem się.

- Naprawdę? Ostatecznie się pan pomylił? Nieodwołalnie? Na zawsze?

- Pomyliłem się - powtórzyłem żałośnie.

- Oczywiście, że się pomylił! - wykrzyknął mój ojciec z furją. - Chodź, kochanie, wychodzimy.

Pomógł matce wstać. Tylko jej ruchy zdawały się przywracać ją do normalnego stanu.

Łagodna, uległa jak mała dziewczynka, chwyciła ojca za rękę, uśmiechnęła się, wstała. Po czym błękit jej tęczówki prześliznął się po nas, nie widząc, i oboje wyszli.

Padłem na krzesło. Wstrząsnął mną płacz, nie ten wilgotny, który wydała zmartwienie w poto-

224 *

kach łez, lecz silne suche spazmy, które rozdierały mi pierś, pozostawiając palące i suche powieki, napady płaczu, który jest jak cios sztyletu wbijanego własnoręcznie w pierś, by z sobą skończyć.

Mecenas Calvino położył mi rękę na ramieniu.

- Rozumiem pana, mój chłopcze.

- Jestem potworem. Nie tylko pod względem fizycznym, jestem psychicznym potworem.

- Zapewne trzeba być nim trochę wewnątrz, żeby być nim na zewnątrz. Jednak słusznie pan zrobił, zaprzeczając. Mimo że wcale nam to nie ułatwia naszego procesu... Co zrobimy?

W tej chwili poczułem nieznośne, rozdzierające palenie między nogami. Nie mogłem powstrzymać krzyku.

- Co się dzieje, mój przyjacielu?

Bezsilny, zorientowałem się, że coś mi zjeżdża po udzie. Potem ta rzecz spadła na sam dół i potoczyła się po podłodze.

- Co to jest? - krzyknął Calvino wystraszony. Podniosłem metalowy kształt i trzymałem go przed oczami.

- To ja. No, część mnie.

Adwokat podszedł i przyjrzał się dziwnemu cylindrowi, lepkiemu od krwi.

- Skąd się to wzięło?

- To mój sonomegafor.

225

Otworzył szeroko oczy, mocno zmieszany. Zdarłem z siebie ubranie i pokazałem mu ten warsztat, którym stało się moje ciało. Odwrócił wzrok.

- Rozkładałam się, panie mecenasie, jestem w trakcie gnicia. Moje blizny się otwierają, a protezy odpadają. Spalam się. Niedługo będę martwy.

Calvino otworzył okno, żeby nabrać trochę świeżego powietrza, zanim mi odpowiedział:

- Jest pan po prostu w trakcie odrzucania przeszczepów. Odrzuca pan wszystko, co Zeus wprowadził w pana organizm. To oznaka dobrego zdrowia. Nie umrze pan, stawia pan opór, trzyma się pan.

Wiedziałem, że ma rację.

- Mam nadzieję, że wytrzymam aż do procesu. Infekcja się rozprzestrzenia.

- Będziemy pana leczyć. Musi pan iść do szpitala.

- Nowe więzienie? Nie, dziękuję. To by tylko opóźniło proces i zaniepokoiło Fionę. Tym bardziej że, jak można przypuszczać, Zeus Peter Lama nie omieszkaby z tego skorzystać, by zrobić mi śmiertelny zastrzyk, który zamknąłby mi usta, a potem wypchać mnie jak zwierzę. Ubrałem się z trudem.

- Poza tym żaden chirurg nie ma na razie prawa mnie operować. Najpierw musimy wygrać proces.

* 226 *

- To prawda - powiedział Calvino, spuszczać głowę.

Sprzątnąłem z podłogi strupy i ropę, potem schowałem sonomegafor do kieszeni.

- Niczego pan nie widział. Nie jestem chory. Postaram się wytrzymać do rozprawy.

Zbliżał się mój proces.

Godziny, w ciągu których zgodziłem się pozować w weekend, za każdym razem kosztowały mnie więcej wysiłku. Dzięki mecenasowi Calvi-no, który dostarczał mi potajemnie talk i puder w kremie, udawało mi się zatuszować rany i infekcje. Nie zawsze natomiast mogłem opanować dreszcze, ale nikt się nimi nie przejął.

Z początku Fiona wchodziła do sali i patrzyła na mnie z daleka, nic nie mówiąc, oparta plecami o ścianę, z ręką na brzuchu, niezdolna podejść bliżej, nie mogąc pokonać tych kilku metrów, które nas dzieliły. Ja też nie mogłem, to było ponad moje siły. Między nami wznosił się mur, a winna temu była ta sytuacja, ja przedmiot, ona podmiot, ci uzbrojeni ludzie rozstawieni przy wyjściach, ci zwiedzający, obojętni lub zafascynowani, ci przewodnicy objaśniający mechanicznie moje wyjątkowe znaczenie w historii sztuki współczesnej, cały ten codzienny ruch w muzeum, który odsyłał do ciemnej nocy, ukrytej, od-

227

ległej i wzbronionej, do chwili intymności, kiedy się kochaliśmy i kiedy zostało poczęte nasze dziecko. Rozmównica w więzieniu zapewniałaby chyba lepszy kontakt niż tych kilka metrów pustego parkietu, które trzymały nas na dystans. Fiona była jednak wystarczająco blisko, żebym zauważył, że ma łzy w oczach. Czy ona widziała moje? Po trzech wizytach, podczas

których nie zdołaliśmy zamienić ani słowa, ona sama położyła kres tej męce. I dobrze. Nie miałem wątpliwości, że gdyby podeszła bliżej, odkryłaby mój stan.

Tak bardzo pragnąłem się bić, by zdobyć wolność, że aż się zaniepokoiłem. Moje lęki dołożyły się do infekcji, gorączka mnie nie opuszczała. W chwilach odpoczynku, zamknięty w celi, drżałem, słysząc najdrobniejszy odgłos, bałem się wtargnięcia Zeusa Petera Lamy i doktora Fiche-ta. Stali się moją obsesją. Kiedy się dowiedzieli, że mogę mówić, na pewno przygotowali jakiś plan, żeby mnie zmusić do milczenia.

To, czego się tak bardzo obawiałem, w końcu nastąpiło..Pewnego ranka obudziłem się, widząc przed sobą Zeusa Petera Lamę, który uśmiechał się do mnie drogimi kamieniami wprawionymi w zęby. Wydałem okrzyk przerażenia.

- No proszę, mój młody przyjacielu, oto pańska wdzięczność, oto uczucie, którym się pan odpląca swojemu twórcy? Ttt... ttt... Gdybym nie był ponad wszystkim, tobym się obraził.

228

Natychmiast uderzyło mnie, że przemawia takim uroczystym tonem. Przyczynę tego dostrzegłem za jego plecami: Durand-Durand, kustosz.

- Panie Durand-Durand - krzyknąłem - nie chcę niczyjej wizyty!

- Nie mogę przeszkodzić artyście, żeby zobaczył swoje dzieło, nawet jeśli znajduje się w pracowni konserwatorskiej. Artykuł osiemnasty regulaminu muzeów narodowych, paragraf drugi.

Wtuliłem się z powrotem w poduszkę. Zeus Peter Lama, z triumfalną miną, oblizał się łakomie, spoglądając oczyma nabiegłymi krwią. Utkwił we mnie spojrzenie, jakim wilk wpatruje się w jagnię na sekundę przed tym, zanim mu przetrąci kark i je pożre.

- Dziękuję, drogi przyjacielu, może pan wracać do swoich cennych zajęć - rzucił Zeus Peter Lama niedbałym tonem snoba, niemającym związku z brutalnością jego rysów.

- Niemożliwe, panie Lama.

- Słucham?

- Ten sam artykuł osiemnasty regulaminu muzeów narodowych, paragraf tym razem trzeci: „Artysty nie wolno zostawiać sam na sam z jego dziełem, aby zapobiec takim wypadkom, gdy w przystępie wyrzutów sumienia czy impulsu twórczego mógłby on próbować uszkodzić dzieło, zniszczyć je lub przerobić”.

* 229 *

m

Durand-Durand zakończył swoje ćwiczenie pamięciowe zadowolony niczym pilny uczeń, a ja miałem prawie ochotę go ucałować - jego i jego surowe zasady.

- Chyba pan żartuje - świsnął Zeus przez zęby.

- Nigdy na temat regulaminu, panie Lama.

Zeus wyprostował się, jakby miał zaraz uderzyć kustosza, po czym, już opanowany, pełnym wdzięku ruchem obrócił krzesło i usiadł naprzeciwko mnie.

Nachylił się i szepnął mi do ucha:

- Jak to się dzieje, że ty mówisz, zmijowate nasienie?

- Fichet zrobił pana w konia - mruknąłem w odpowiedzi. - Nie zna się na mózgu. A ja pana przekonałem, że mu się udało.

- Co masz zamiar opowiadać na procesie?

- To, co pozwoli mi odzyskać wolność.

- Wiesz, że jestem mocny i szanowany. I państwo też jest mocne i szanowane.

- Wiem.

- Nie masz żadnych szans.

- To dlaczego jest pan taki zdenerwowany? Rozdrażniony, odsunął się na krzesło i przez kilka chwil gładził wąsy. W końcu rzucił, pochylając się ku mnie:

- Żywe rzeźby bardzo dobrze się sprzedają. Wszystkie pięknotki zostały zoperowane. Więk-

* 230 *

szość już znalazła nabywców. Mam listę oczekujących na te, które się goją.

- No to co?

- Nie chcę, żebyś zmałował ten sukces. Ludzie muszą mieć zaufanie do tego, co kupują.

- Nie zrobił pan chyba lobotomii tym pięk-notkom?

- Owszem. Zajął się tym kolega Ficheta, który stracił na wyścigach.

- To czego się pan obawia?

Zapalił dwa papierosy, poruszył nimi, żeby się spowić w niebieski dym. Poczułem na szyi jego gorący i groźny oddech, a jego wargi tuż przy uchu.

- Dziwnie się pocisz. Co się dzieje? Czyżbyś był chory?

- Bardzo dobrze się czuję. To tylko dyskomfort spotkania z panem.

- Bo jeżeli nie czujesz się dobrze, mogę sprowadzić doktora Ficheta, wiesz?

- Na pana nieszczęście czuję się doskonale, jestem w pełnej formie.

Przytrzymałem na sobie koce, gotów stawić opór, gdyby mu przyszła fantazja mnie obejrzeć. Na szczęście powrócił do sprawy, z którą przyszedł.

- Nie leży w twoim interesie, żebyś podczas procesu mówił wszystko.

- W pana interesie też to nie leży.

* 231 *

szość już znalazła nabywców. Mam listę oczekujących na te, które się goją.

- No to co?

- Nie chcę, żebyś zmałował ten sukces. Ludzie muszą mieć zaufanie do tego, co kupują.

- Nie zrobił pan chyba lobotomii tym pięk-notkom?

- Owszem. Zajął się tym kolega Ficheta, który stracił na wyścigach.

- To czego się pan obawia?

Zapalił dwa papierosy, poruszył nimi, żeby się spowić w niebieski dym. Poczułem na szyi jego gorący i groźny oddech, a jego wargi tuż przy uchu.

- Dziwnie się pocisz. Co się dzieje? Czyżbyś był chory?

- Bardzo dobrze się czuję. To tylko dyskomfort spotkania z panem.

- Bo jeżeli nie czujesz się dobrze, mogę sprowadzić doktora Ficheta, wiesz?

- Na pana nieszczęście czuję się doskonale, jestem w pełnej formie.

Przytrzymałem na sobie koce, gotów stawić opór, gdyby mu przyszła fantazja mnie obejrzeć. Na szczęście powrócił do sprawy, z którą przyszedł.

- Nie leży w twoim interesie, żebyś podczas procesu mówił wszystko.

- W pana interesie też to nie leży.

Zaśmiał się piskliwym i mdłym śmiechem, przez który przebijał niepokój.

- Czego miałbym się bać?

- Że powiem o niby-porwaniu mającym na celu podbicie ceny.

- Cicho!

- Albo o błędach doktora Ficheta, który nie dość precyzyjnie wykonuje trepanacje u swoich ofiar.

Przyłożył mi palce do ust, żeby mnie powstrzymać od dalszego mówienia.

- Ponegocjujmy, dobrze? Ty zapomnisz o tym, a ja zapomnę...

- O czym? Ciekawe, czego mógłbym się wstydzić? Oprócz tego, że panu zaufałem.

- A twoi rodzice byliby szczęśliwi, dowiadując się, że kazałeś im uwierzyć w swoją śmierć?

Że odegrałeś tę tandetną komedię, dając się pomalować na topielca? Tę farsę, której nigdy nie zdementowałeś ?

- Mmm... Mmm... mmmm...

Cofnął rękę dopiero wtedy, gdy dałem mu znak, że się zgadzam. Rzucił papierosy na podłogę, przydeptał je i zwrócił się bezceremonialnie do Duranda-Duranda, który nie mógł słyszeć naszej rozmowy.

- Winszuję panu, panie kustoszu, utrzymuje pan powierzone sobie dzieła w doskonałym stanie. *232*

nie. Pomówię o panu z ministrem. Tak. Tak. Naprawdę.

Zeus wyszedł, zostawiając Duranda-Duranda w pełnym optymizmie karierowiczowskim omdleniu.

Wieczorem złożył mi wizytę mecenas Calvino, któremu opowiedziałem całą scenę.

Słuchał, drapiąc się w kark i robiąc straszliwe grymasy.

- Jestem bardzo zły myśli - podsumował. -Mój zamysł jest taki, żeby wykazać, że nie jest pan własnością państwa, lecz funkcjonariuszem na służbie państwa. Będę toczył bitwy, żeby uzyskać zmianę pana statusu prawnego. Jeśli mi się to uda, będzie pan już mógł pozować tylko kilka godzin dziennie w Muzeum Narodowym za wynagrodzeniem. To by panu odpowiadało?

- Co? Nigdy nie będę mógł odzyskać wolności?

- Jako funkcjonariusz będzie pan wolny.

- Będę mógł robić to, co zechcę, ze sobą, ze swoim ciałem, zmienić się, wrócić do stanu sprzed operacji, stać się z powrotem...

- Nieszczęsny! Niech pan nawet o tym nie myśli! Kosztował pan państwo dziesięć milionów. Doszedł pan do punktu, z którego nie ma odwrotu. Zrobią panu operację, ale nie po to,

233

żeby pana zmienić, tylko po to, żeby pana naprawić.

- Nie będzie więc możliwe, żebym pozbył się tego wyglądu?

- Cokolwiek się stanie, już za późno, żeby usunąć z pana piętno Zeusa.

Rozprawa zaczęła się w poniedziałek o dziewiątej rano.

Sędzia był potężny, łysy, miał szerokie miękkie policzki, głowę w kształcie bukłaka, tak jakby górna część czaszki spłynęła do policzków. Przywodził na myśl rybę, grubą, mięsistą rybę, jaką można znaleźć na targu - okrągłe oczy, bez ust, wyblakła szara twarz, sztywność trupa, peruka, której karby tworzyły rzędy łusek. Ręce, nie dłuższe od płetw, wystawały z fałdów tog. Nakrapia-na skóra jego małych dłoni wydawała się wypełniona wodą. Reagował na nazwisko sędziego Alfa i trochę się dziwiono, słysząc dźwięczny, czysty i wyraźny głos wychodzący z tej bezwolnej masy. Zadrżałem na myśl o tym, że to stworzenie ma decydować o moim człowieczeństwie.

Panował upał jak w łaźni. Kobiety się wachlowały, mężczyźni przecierali czoła. Cieszyłem się, bo w tych warunkach mój pot chorego nie powinien się rzucać w oczy. Skropiłem się wodą kołońską, żeby stłumić woń gnicia. Spuściłem po-

* 234 *

wieki spalone gorączką, by nie zauważono krwawego kłaczka, które pokrywało żyłkami moją rogówkę, i musiałem panować nad wykrzywianiem twarzy, kiedy rany wysyłały mi niespodziewane bóle.

Mecenas Calvino, adwokat strony powodowej, i komisarz Lewiatan, który reprezentował państwo, uścisnęli sobie dłonie przed procesem jak dwaj tenisiści nad siatką. Niczym sędzia z gwizdkiem na meczu, sędzia Alfa uderzył młotkiem w stół, streścił regulamin i mecz się rozpoczął.

Mój adwokat opisał mnie jako osobnika zdanego na łaskę losu, dotkniętego amnezją, który spotkawszy na swej drodze Zeusa Petera Lamę zgodził się poddać eksperymentowi, nie przewidując jego konsekwencji. Czy do końca życia mam płacić za tę chwilę słabości? Czy można stracić swoje człowieczeństwo, nawet jeśli na piśmie zrzekło się wolności i oddało w ręce artysty? Nie, człowieczeństwo jest dobrem niezbywalnym, którego nie można się pozbyć ani nie można zostać go pozbawionym.

Wezwał przed sąd Fionę jako powódkę. Kiedy przyszła, wyprostowałem się i próbowałem opanować dreszcze spowodowane gorączką, która znowu mnie ogarniała. Fiona

powściągliwie opowiedziała naszą historię miłosną i podkreśliła moje pragnienie przyjęcia ojcowskiej odpo-

* 235 *

wiedzialności. Komisarz Lewiatan, przedstawiciel rządu, naskoczył na nią:

- Ma pani zwyczaj obmacywać dzieła sztuki?
- Słucham?
- Z tego, co wiem, jest pani córką malarza, czy ma pani zwyczaj dotykania obrazów?
- Tak.
- To znaczy?
- Noszę je, ustawiam, czyszczę, werniksuje, oprawiam w ramy. Czyja wiem, co jeszcze?
- Czuje się pani uprawniona do posiadania wszelkich praw do dzieła sztuki?
- Nie mam żadnego prawa do dzieła sztuki. Mam natomiast obowiązek je szanować.
- Czy szanować dzieło sztuki znaczy spać z nim nago?
- Adam nie jest dziełem sztuki.

Z ław dla publiczności zerwał się Zeus Peter Lama.

- To skandal! Protestuję!

Uderzeniem młotką sędzia Alfa nakazał ciszę. Fiona mówiła dalej.

- Adam jest człowiekiem. I tak samo jak ja chciał tego, co się zdarzyło.
- Czy pani pomyślała, pani, która nam wytacza ten proces, że to my moglibyśmy oskarżyć panią o niszczenie dziedzictwa narodowego? O prawdziwy wandalizm?

* 236 *

- Jeśli udowodnicie, że Adam jest tylko przedmiotem, możecie mnie zamknąć.

- Nie mówimy, że jest przedmiotem, lecz dziełem sztuki.

- Ach tak?

Tym razem z ław wyskoczył Durand-Durand.

- Za dziesięć milionów, jeśli to nie dziedzictwo narodowe, to co to jest? Chyba śnię!

Sędzia Alfa znowu uderzył młotkiem, by uciszyć hałasy, i cisza powróciła.

Mecenas Calvino powołał następnie Carlosa Hannibala i pomógł mu podejść do barierki.

Hannibal wziął ze sobą laskę, aby, mocno kulejąc, odwrócić uwagę od swych niewidzących oczu i skupić ją na swoim biodrze, dając do zrozumienia, że częściowy paraliż utrudnia mu chodzenie.

Zauważyłem, że Zeus Peter Lama obserwuje go orlimi źrenicami rzucającymi mroczne błyski.

- Co może nam pan powiedzieć o Adamie?

- To cudowny chłopiec, ogromnie rozmiłowany w malarstwie, świetnie zorientowany, choć dość naiwny. Całymi godzinami przyglądał się mojej pracy.

- Co mu się zdarzyło?

- Padł ofiarą naszych czasów. Czy raczej dyskursu, jaki nasze czasy wygłaszają na swój temat. Wmawia nam się, że ważna jest aparycja,

* 237 *

proponuje nam się kupowanie dóbr, produktów i usług, które zmieniają lub ulepszają nasz wygląd - ubrania, diety, fryzury, produkty zdrowotne, produkty luksusowe, podróże w słoneczne rejony, operacje chirurgiczne. Przypuszczam, że Adam, jak tyłu innych, wpadł w tę pułapkę. Musiał być bardzo nieszczęśliwy, skoro szukał siebie tam, gdzie nie mógł się odnaleźć: w sferze pozorów. Potem, kiedy ten oszust zaproponował mu nowy frapujący wygląd, musiał być bardzo szczęśliwy. I w końcu na pewno zdał sobie sprawę, że znalazł się w ślepej uliczce. Spotkałem go w tym właśnie momencie.

- Dlaczego Zeusa Petera Lamę nazywa pan oszustem?

- Dlatego że na wszystko jest właściwe słowo. Komisarz Lewiatan, Zeus Peter Lama i Durand-Durand zaczęli razem protestować, wznosząc okrzyki od obelg - to Zeus Peter Lama - po żądanie zmiany kierunku procesu - Lewiatan. Skorzystałem z tego harmideru, żeby wytrzeć sobie twarz i przypudrować ropsie, które mi się otwierały pod uszami.

Sędzia Alfa zdławił krzyki swoim młotkiem.

- Nieważne, co myślę o Zeusie Peterze Lamie - podjął Hannibal. - Nawet gdyby był Michałem Aniołem, jego geniusz nie usprawiedliwiłby złamania chłopaka i przerobienia go na przedmiot.

238

Zresztą Michał Anioł nigdy by na to nie wpadł. Sztuka jest dla człowieka, tworzona przez człowieka, ale sztuka na pewno nie jest człowiekiem. Sygnatura Zeusa Petera Lamy na ciele Adama zmarnowała mu życie. Ani wy, ani ja, ani państwo nie powinniśmy przykładąć ręki do tego poniżenia. Uwolnijcie go.

Zeus Peter Lama wstał i krzyknął:

- Powiedz, Hannibal, czy nie rozpoznajesz mnie dlatego, że mam siwe włosy?!

- Bardzo dobrze cię poznaję, Zeusie Peterze Lama - powiedział Hannibal, odwracając się w stronę, skąd dochodził głos - twoje białe włosy nie mają tu nic do rzeczy.

Zeus Peter Lama wybuchnął śmiechem. Rozpuszczając swoje długie kruczoczarne włosy, zwrócił się do zgromadzonych:

- On jest ślepy! Carlos Hannibal daje nam tu lekcje malarstwa, a jest ślepy! Daje nam lekcje moralności, a sam kłamie!

Zrozumiawszy, że dał się złapać, Hannibal zbladł. Fiona gryzła się w rękę, a mecenas Calvino interweniował:

- Jaki to ma związek z naszą sprawą?

- Pan Lama zwraca jedynie uwagę - powiedział komisarz rządu Lewiatan - na wiarygodność pańskich świadków. Wandalka, która robi sobie brzuch pośród tubek farb olejnych, i wy-

* 239 *

rozumiały ojciec, który twierdzi, że jest pacyka-rzem, a wiadomo, że stracił wzrok.

- No i co z tego? Beethoven był głuchy, o ile mi wiadomo - odparował mecenas Calvino.

- Widziałem bardzo dobrze i bardzo długo - powiedział Hannibal, by się usprawiedliwić, głosem, który ze wstydu stał się drżący - to świeża sprawa... a poza tym, jak wiecie, maluję przecież tylko to, co niewidzialne.

- Za jaką cenę sprzedał pan swój ostatni obraz?

- Nie pamiętam... mało sprzedaję... Ile?... Niedrogo... Tyle, żeby mieć na nasze utrzymanie przez trzy tygodnie...

- Jak można stawiać na tej samej płaszczyźnie nieszczęsnego malarzykę, prowincjusza, niewidomego, i słynnego w całym świecie Zeusa Pe-tera Lamę, którego Adam bis został sprzedany za prawie trzydzieści milionów? - podsumował Le-wiatan. - Chciałbym, żebyśmy podczas tej rozprawy zachowali trochę zdrowego rozsądku!

Sędzia Alfa cisnął zamglone i złe spojrzenie na przedstawiciela rządu, bo wydawało mu się, że to on musiał rzucić tę replikę. Wściekły, potrząsnął kilka razy głową, która zagłębiła się w jego tłustej szyi, przekazując fale rozdrażnienia, po czym odwrócił się do strony skarżącej, pytając, czy ma jeszcze do przedstawienia jakichś świadków.

* 240 *

Mecenas Calvino polecił woźnemu wezwać Rolandę.

Wejściu Rolandy towarzyszył szmer zachwyty, niczym smuga piany. Rolanda usiadła na miejscu świadków, wyprostowała plecy, wygięła biodra, skrzyżowała nogi i ukazała publiczności swoją nową twarz: Rolanda byczogłowa, zwana też Boginią Krową. Wszystkie gazety pisały o niej, ale nie zrobiono jej jeszcze ani jednego zdjęcia. Mieliśmy więc

pierwszeństwo oglądania jej nowej metamorfozy: przeszczepiła sobie na czole dwa rogi, powiększyła oczy, spłaszczyła nozdrza, a na bujnych piersiach karmicielkach nosiła okazały naszyjnik ze starej alpejskiej liny, przybrany tyrolskim dzwonkiem.

- Rolando, dziękujemy, że zgodziła się pani zaszczyścić nas tą wizytą - powiedział mecenas Calvino, wykonując mnóstwo uniżonych skłonów. - Czy może pani wyjaśnić sądowi, dlaczego zeznaje pani na korzyść Adama?

- Bo jest męczące.

- To znaczy?

- Bardzo męczące być Rolanda. Zwłaszcza Rolanda byczogłowa. Rogi przeszkadzać. Dzwonek ciężki. Rolanda ekspresjonistyczna bardzo męcząca, też. Siedem operacji. Skóra bardzo wyciągnięta. Wybroczyny krwawe. Nie zamknąć oczy w nocy. Musi odżywiać przez słomę. Jeść zupa. Tylko

*241 *

zupa. Stracić zęby. Bardzo bardzo męczące być dzieło sztuki. Ale Rolanda kochać publiczność. Rolanda wszystko zrobić dla publiczność.

- Chce pani powiedzieć, że Adam bis musi bardzo cierpieć?

Rzuciła mi spojrzenie na ułamek sekundy.

- Dużo cierpienia. Jak siusiać?

- Chce nam pani powiedzieć, Rolando, że należy uznać, iż przejść te operacje, a potem pozować w muzeach to prawdziwa praca?

- Ogromna praca. Rolanda wyczerpana.

- I że istota ludzka powinna być wynagradzana za swoją pracę?

- Rolanda droga, ale nie tyle.

- I że to skandal, że Adam, tak jak pani, zadaje sobie ten ogromny trud za nic, nie dostając zapłaty?

- Rolanda mieć impresario. Rolanda zaproponować impresario Adam.

- Nie mając prawa do zapłaty, panie i panowie, ani do życia prywatnego?

- Rolanda nie mieć życie prywatne! Nie ma czas. Wszystko dać dla publiczność. Ochoty też nie. Zbliżnianie. Kochankowie za konwencjonalni. Czasem nie rozpoznać Rolanda. Rolanda kobieta totalna. Nie znaleźć mężczyzna totalny. Adam życie prywatne? Adam spać?

-Jego narzeczona Fiona, tu obecna, jest z nim w ciąży.

* 242 *

- Ale jak siusiać?

- Sąd dziękuje Rolandzie, że spełniła nasze życzenia i zaszczyliła nas swoją obecnością oraz że wyjawiała nam kilka sekretów swojej filozofii.

Rolanda już miała wstawać, kiedy Lewiatan ją zatrzymał i w imieniu rządu zażądał jej przesłuchania.

- Droga pani, czy uważa się pani za przedmiot, czy za artystkę?

- Rolanda artystka. Ciało materia.

- Gdyby miała się pani porównać do kogoś, porównałaby się pani raczej do Zeusa Pete-ra Lamy, tego uznanego i cenionego przez cały świat geniusza, czy też do Adama bis?

Rolanda przez chwilę się wahała. Tik podwyższył jej prawą brew, w wyniku czego zatrzęsł się niebezpiecznie prawy róg.

- Rolanda jak Zeus Peter Lama.

- A zatem nie uważa się pani za przedmiot?

- Rolanda wiele przedmiotów. Więc nie przedmiot. Rolanda nie Ariadny metamorfozy.

Rolanda poezja totalna.

Od tego momentu Rolanda mówiła po japońsku i nikt nie mógł jej przerwać. Następnie dowiedzieliśmy się, że dodatkowo funduje nam odczyt, który nagrała na wystawę w Tokio; oczywiście nikt nic z tego nie zrozumiał, a wszelkie starania Lewiatana, sędziego Alfego i mecenasa Cal-

243

vino, żeby ją nawrócić na nasz język, pozostały bez skutku. Zadawano jej pytania, których słuchała, potrząsając rękami, po czym odpowiadała na nie w języku Wschodzącego Słońca. Rozwlekły. Entuzjastyczny. Niewyczerpany.

Trzeba było dziesięć razy dziękować Bogini Krowie, zanim zdecydowała się opuścić salę, zbierając oklaski oraz inkasując po drodze cmoknięcia w rękę od Zeusa Petera Lamy. Pozwany nie posiadał się z radości. Zdawało się, że komisarz Lewiatan przekabacił wszystkich świadków strony powodowej na korzyść rządu. Odtąd miał powoływać swoich. Mecenase Calvino przetarł czoło. Czułem się tak słaby, że nie panowałem już nad dreszczami. Słyszałem, jak mi zęby szczękają jedno o drugie, jak gdybym miał obcą szczękę. Sędzia Alfa ogłosił, że nie będzie przerwy i że mecz trwa.

- Wzywam Zeusa Petera Lamę - obwieścił głośno Lewiatan.

Zeus Peter Lama otrząsnął się, otrzepał, nastroszył pióra i ustawił swój orli profil koło sędziego. Świadomy, że musi się podobać, odblokował wargi i na chwilę ofiarował wysokiemu sądowi widok swoich kamieni szlachetnych.

- Proszę nam opowiedzieć o spotkaniu z Adamem.

* 244 *

- Spotkałem Adama na brzegu nadmorskiej skały, kiedy chciał sobie zadać śmierć.

Zaproponowałem mu życie wymienne, nie życie człowieka, lecz życie przedmiotu.

- Co panu odpowiedział?

- Że nic mu po tym. Poszedł jednak za mną, a następnie podpisał taki dokument: „Oddaję się całkowicie w ręce Zeusa Petera Lamy, który zrobi ze mną, co zechce. Jego wola zastąpi moją w sprawach mnie dotyczących. Ze wszystkich sił i z własnej nieprzymuszonej woli, które jeszcze posiadam, postanawiam dobrowolnie stać się jego całkowitą własnością. JA”.

- Dlaczego podpisał JA?

- Bo nie wiedział już, kim jest.

- Jak pan traktuje ten dokument? Dlaczego wydaje się panu ważny w tym procesie?

- Wyraża ostatnią wolę umierającego. Niektórzy w agonii oddają swoje ciało nauce. Adam zaś oddał je sztuce. Co za różnica? To taki sam gest. Taka sama intencja.

Mecenase Calvino wychynął ze swojej kryjówki niczym marionetka na sprężynie.

- Ale... Adam wprawdzie oddał swoje ciało za życia, jednak potem nie umarł.

- Oczywiście. Chociaż był to pewien rodzaj śmierci: pozbycie się dawnej osobowości, rozstanie z poprzednim życiem. Ta operacja była

* 245 *

w gruncie rzeczy upragnionym i przemyślanym samobójstwem.

- Samobójstwem, które pozostawiło go przy życiu!

- Samobójstwem, które wyrwało go z jego ludzkiej kondycji i pozwoliło mu rozpocząć nowe życie pod postacią dzieła sztuki.

- Nie odczuwał pan ani trochę zakłopotania, sprzedając Adama bis?

- Zawsze żyłem z własnej pracy. Zawsze więc sprzedawałem swoją pracę.

- Sprzedawać człowieka to uprawiać niewolnictwo, czyż nie?

- Sprzedałem pracę wykonaną na człowieku, który z własnej woli i bardzo chętnie przestał być człowiekiem, by stać się przedmiotem. Nie ma to nic wspólnego z propagowaniem niewolnictwa. Czy pan słyszał o niewolnikach na ochotnika?

- Ale dzisiaj, kiedy ten człowiek protestuje i zmienia zdanie, co pan myśli?

- Uważam, że jest w błędzie.

- Nic więcej?

- Że teraz to problem jego nowego właściciela: państwa. W każdym razie, powtarzam: beze mnie ludzkość nie byłaby tym, czym jest.

I nie troszcząc się, czy są jeszcze jakieś pytania, Zeus Peter Lama wstał i opuścił salę. Sąd oniemiał.

246

Sędzia Alfa wezwał do siebie Lewiatana, żeby ten zażądał od artysty, by wrócił i poprosił o zezwolenie na wyjście, ale komisarz przekonał go, że pół dnia by nie starczyło, aby wymóc na artyście spełnienie tego wymogu, który wielkiemu geniuszowi wydałby się dziwaczny; sędzia odpuścił więc, acz niechętnie.

- Następny świadek! - powiedział sędzia Alfa, mszcząc się na młotku.

Durand-Durand, w podskokach, zaśliniony, podniecony, zaczął zeznawać, opowiadając, jak ważna jest jego praca kustosza, wyjaśniając i objaśniając potoczyście, z wielką elokwencją, że jest rzeczą niedopuszczalną, aby eksponat należący do zbiorów Muzeum Narodowego wychodził i prowadził własne życie; powinno się go oddać w ręce eksperta, pod karą szybkiej degradacji. Sędzia Alfa przypatrywał mu się uważnie posępnym wzrokiem, z miną ogromnego naźartego szczupaka spoglądającego na małą płotkę.

W końcu wkroczył wybitny prawnik, członek Rady Państwa, by przedstawić opinię biegłego.

Dzieło Adam bis dwa razy było wystawiane na sprzedaż absolutnie legalnie, pierwsza sprzedaż do zbiorów prywatnych miliardera Stavrosa, druga do Muzeum Narodowego na publicznej licytacji, i nie można tych transakcji anulować. Tym bardziej że ta ostatnia dużo kosztowała wszyst-

* 247 *

Sędzia Alfa wezwał do siebie Lewiatana, żeby ten zażądał od artysty, by wrócił i poprosił o zezwolenie na wyjście, ale komisarz przekonał go, że pół dnia by nie starczyło, aby wymóc na artyście spełnienie tego wymogu, który wielkiemu geniuszowi wydałby się dziwaczny; sędzia odpuścił więc, acz niechętnie.

- Następny świadek! - powiedział sędzia Alfa, mszcząc się na młotku.

Durand-Durand, w podskokach, zaśliniony, podniecony, zaczął zeznawać, opowiadając, jak ważna jest jego praca kustosza, wyjaśniając i objaśniając potoczyście, z wielką elokwencją, że jest rzeczą niedopuszczalną, aby eksponat należący do zbiorów Muzeum Narodowego wychodził i prowadził własne życie; powinno się go oddać w ręce eksperta, pod karą szybkiej degradacji. Sędzia Alfa przypatrywał mu się uważnie posępnym wzrokiem, z miną ogromnego naźartego szczupaka spoglądającego na małą płotkę.

W końcu wkroczył wybitny prawnik, członek Rady Państwa, by przedstawić opinię biegłego.

Dzieło Adam bis dwa razy było wystawiane na sprzedaż absolutnie legalnie, pierwsza sprzedaż do zbiorów prywatnych miliardera Stavrosa, druga do Muzeum Narodowego na publicznej licytacji, i nie można tych transakcji anulować. Tym bardziej że ta ostatnia dużo kosztowała wszyst-

247

kich podatników. Mówił obojętnym tonem, bez przesady, beznamiętnie, nie starając się nas zainteresować, jakby klepał pacierz. Wszyscy przysypiali oprócz sędziego Alfego, który siedział z szeroko otwartymi oczami, bo zapewne nie miał powiek.

Mecenas Calvino poderwał salę, zadając pytanie:

- Kupowanie człowieka od innego człowieka nie jest według prawa praktykowaniem niewolnictwa?

- Adam bis nie został wystawiony na tę sprzedaż jako człowiek, został opisany i oznaczony jako towar. Należał do spuścizny po Stavrosie.
- Bądźmy poważni. Chodzi o istotę ludzką.
- Niektóre istoty ludzkie w ramach pewnych aktów prawnych poddają się eksperymentom, które stawiają je poza zwykłymi normami. Uważam, że dokument podpisany Zeusowi Peterowi Lamie jest tego rodzaju aktem.
- Żaden akt nie znosi człowieczeństwa.
- Dobrze pan wie, mecenasie Calvino, że wyjątek potwierdza regułę. Ponadto skoro społeczeństwo wydatkowało dziesięć milionów, uważam już sam pomysł wszczęcia procesu za dość nieodpowiedzialny. Zresztą moi koledzy i ja nie bardzo rozumiemy, jakim sposobem pozew tej młodej kobiety mógł w ogóle zostać przyjęty. Gdyby jakimś dziwnym trafem ten sąd podjął jakąkol-

* 248 *

wiek decyzję naruszającą status dzieła Adam bis, państwo jest zdecydowane, w trybie natychmiastowym, oskarżyć ten sąd o niekompetencję. Zapamiętajcie to sobie. Sędzia Alfa oddawał się obserwowaniu muchy, która latała wokół niego, tak jakby jedyną jego troską było jej złapanie.

Mecenas Calvino próbował zawalczyć.

- Myślałem, że przyszedł pan tutaj zeznawać, a nie grozić. Nie zastrasza się niezawisłego sądu.

- Zapewne. Ale można mu przypomnieć, która godzina, gdyby zapomniał.

Niepokojące upomnienie spadło jak sieć na zgromadzonych. Karki zeszytywniały. Spojrzenia odwracały się do okna, niby przypadkiem. Wydawało się, że każdy z obecnych jest tu tylko dlatego, że czeka na autobus.

Delikatne uderzenie młotka obwieściło powrót do normalnego toku procesu. Sędzia Alfa podziękował ekspertowi i zażądał wysłuchania obu mów końcowych, aby sąd mógł się udać na naradę.

- Leżymy, nic z tego, kłapa - szepnął mi na ucho mecenas Calvino. - Nikczemność zwycięży. Wiem już, że nie będą mnie słuchać.

Potaął powieki opuszkami palców.

- Przykro mi, Adamie.

* 249 *

wiek decyzję naruszającą status dzieła Adam bis, państwo jest zdecydowane, w trybie natychmiastowym, oskarżyć ten sąd o niekompetencję. Zapamiętajcie to sobie.

Sędzia Alfa oddawał się obserwowaniu muchy, która latała wokół niego, tak jakby jedyną jego troską było jej złapanie.

Mecenas Calvino próbował zawalczyć.

- Myślałem, że przyszedł pan tutaj zeznawać, a nie grozić. Nie zastrasza się niezawisłego sądu.

- Zapewne. Ale można mu przypomnieć, która godzina, gdyby zapomniał.

Niepokojące upomnienie spadło jak sieć na zgromadzonych. Karki zeszytywniały. Spojrzenia odwracały się do okna, niby przypadkiem. Wydawało się, że każdy z obecnych jest tu tylko dlatego, że czeka na autobus.

Delikatne uderzenie młotka obwieściło powrót do normalnego toku procesu. Sędzia Alfa podziękował ekspertowi i zażądał wysłuchania obu mów końcowych, aby sąd mógł się udać na naradę.

- Leżymy, nic z tego, kłapa - szepnął mi na ucho mecenas Calvino. - Nikczemność zwycięży. Wiem już, że nie będą mnie słuchać.

Potał powieki opuszkami palców.

- Przykro mi, Adamie.

* 249 *

Nie mogłem odpowiedzieć. Miałem martwy mózg. Nic się nie zmieni, byłem tego pewien. Spędzę resztę życia w celi tego ciała, w zakładzie karnym, czyli muzeum. Moje dziecko urodzi się i będzie dorastać beze mnie. Dla Fiony i dla niego stanę się wspomnieniem. W każdym razie czułem, że skóra mi pęka na całym ciele, że palące miejsca pogłębiają się, protezy się infekują i silne zakażenie wkrótce rozwiąże moje problemy i wpędzi mnie do grobu.

Nagle drzwi w głębi otworzyły się z trzaskiem i pojawiła się Fiona z włosami jeszcze bardziej rudymi niż kiedykolwiek, trzymając za rękę Zeusa Petera Lama.

- Przerwijcie wszystko! Pan Zeus Peter Lama ma do zakomunikowania ważną wiadomość. To zasadnicze zeznanie.

Podeszła bliżej, raczej ciągnąc niż prowadząc malarza. Ten, wyraźnie pod przymusem, z opuszczoną głową, zdawał się iść tyłem.

- To wtargnięcie jest wbrew przepisom - zaprotestował sędzia Alfa.

- W tak ważnym procesie nie możemy sobie oszczędzić ostatniego słowa twórcy dzieła - obłudnym głosem jęknął mecenas Calvino.

Sędzia Alfa zawahał się, po czym poprosił artystę o zajęcie miejsca dla świadków.

Zeus Peter Lama usiadł, wskazał na mnie i wymówił jednym tchem:

* 250 *

- To fałszykat.

Wszyscy usłyszeli, nikt nie zrozumiał. Żadnej reakcji. Zeus odniósł wrażenie, że wypalił w próżnię.

- To fałszykat - powtórzył, pokazując mnie. - To nie jest moje dzieło Adam bis, lecz dość udana imitacja.

Mecenas Calvino wychynął ze swego miejsca jak ptak z klatki.

- Co pana skłania do takiej myśli?

- To podejrzenie, które powziąłem niedawno. Muszę oczywiście je sprawdzić.

- Czy ma pan jakiś pewny sposób na potwierdzenia autentyczności swojej pracy?

- Mam podwójną sygnaturę. Pewien tajny sposób, dzięki któremu rozpoznaję kopie.

- Czy może pan przystąpić do oględzin? Tu, na miejscu? Od razu?

Zeus Peter Lama wstał niechętnie i podeszedł do mnie. Powstrzymał go komisarz Lewiatan.

- Ależ, panowie, to śmieszne! Istnieje tylko jeden Adam bis. To, co mamy przed sobą, co tu widzimy, nie może być fałszykatem.

- Pozwoli pan, że sprawdzę.

- Ależ drogi wielki artysto, niech pan nie ulega tym napadom neurastenii, które dotyczą geniuszy. Nikt na świecie nie jest zdolny podrobić tego, co pan tworzy. Nie można skopiować takiego arcydzieła.

* 251 *

Zeus się zawahał. Gotów był się wycofać. Już miał odejść. Ale jego spojrzenie natrafiło na spojrzenie Fiony i potulnie wrócił do mnie.

- Tatuuję dwie sygnatury na każdej żywej rzeźbie, obie w miejscach ukrytych, trudno dostępnych: pod prawą pachą i na lewej stopie między dwoma ostatnimi palcami. Jeśli ten obiekt nosi to oznakowanie, jest mój. Jeśli nie...

Myślałem, że zemdleję. Znając z góry odpowiedź, starałem się panować nad sobą.

Serce zaczęło mi nagle bić mocniej.

Zeus mnie zbadał, odkrył pęcherze i ropnie wokół nacięć, rzucił mi zaskoczone spojrzenie, nie wyrzekł ani słowa, przeprowadzał dalej swą rzekomą ekspertyzę, zatykając sobie nos, po czym wrócił przed oblicze sądu.

- Panie Sędzio, panowie Sędziowie, to, co macie przed sobą, jest falsyfikatem.

Lewiatan przytrzymał się stołu i zaczął się kołysać, wrzeszcząc:

- To niemożliwe! Jakim cudem dałoby się podmienić tę rzeźbę? Gdzie jest oryginał?

- Nie wiem - odparł Zeus przygaszonym głosem. - W każdym razie oświadczam, że ta rzecz nie jest moją kompozycją.

- Dziesięć milionów! Dziesięć milionów za falsyfikat! Czy pan sobie zdaje sprawę, co pan mówi?

* 252 *

- Państwo kupiło oryginał. Sprawdziłem go podczas wystawienia w sali aukcyjnej. Teraz odnajduję falsyfikat. Nie wyjaśniam, stwierdzam. Zarządźcie przeprowadzenie śledztwa! Wykonujcie swoją pracę, do diabła!

Zeus Peter Lama w gniewie wrócił do dawnej formy. Znowu był dumny i wspaniały, wymyślając zgromadzonemu.

- Gdzie się podziało moje dzieło? Wytwór mojego geniuszu? Powierzam wam czterdzieści lat życia, a wy je gubicie jak szpilkę? Gdzie my jesteśmy? Do kogo mówimy? Na co idą pieniądze podatnika? Oddajcie mi moje dzieło! Oddajcie mi moje dzieło!

Opuścił salę, trzaskając drzwiami. Publiczność podążyła za nim, skandując jego słowa.

- Oddajcie mu jego dzieło! Oddajcie mu jego dzieło!

Przedstawiciel rządu Lewiatan ulotnił się, Durand--Durand zaczął boksować swoich asystentów, sędzia Alfa schwycił młotek w dwie płetwy, aby ostatecznie rozprawić się z pulpitem, gdy tymczasem Fiona puszczała do mnie filuternie oko ze swego kąta.

- Sprzątnijcie mi to z podłogi. Nie będziemy zagracać muzeum ordynarną podróbką!

Sprzątacze postawili mnie, drżącego jak liść, na kartonie w hangarze z pojemnikami na śmieci.

* 253 *

Czekała tam na mnie Fiona, z torbą pełną ubrań w ręce. Odziałem się, potem długo się całowaliśmy.

- Chodź. Na sąsiedniej ulicy czeka na nas karetka.

- Wiedziałaś, że jestem chory?

- Och, Adamie, jak możesz przypuszczać, że nie zauważyłam tego już pierwszego dnia w muzeum?

Opierając się na niej, bez sił, wsiadłem do samochodu. Fiona wzięła ze sobą mój portret wykonany przez Hannibala, aby pokierować nożem chirurgów, pokazując im, jak wyglądałem, zanim stałem się materiałem rzeźbiarskim, ciałem do modelowania.

Nie mogłem jednak spokojnie rozkoszować się słodyczą odnalezienia Fiony przed otrzymaniem wyjaśnień.

- Jak tyś to zrobiła?

- Zadałam sobie jedno bardzo proste pytanie: kogo włożono do trumny, za którą poszli twoi rodzice? Wiedziałam, że ty sam, uśpiony i pomalowany, posłużyłeś do identyfikacji w kostnicy. Ale później? Czy w sosnowym pudle były tylko worki z piaskiem? Zapytałam ludzi z zakładu pogrzebowego i komisarza policji. Wszyscy potwierdzili, że przed zamknięciem skrzyni był w niej trup. Kto? Kto był twoim ciałem po wyprowadzeniu z kostnicy? I kto był twoim ciałem przedtem? Bo przecież nieopodal klifu naprawdę wyłowiono topiel-

* 254 *

ca. Wtedy przypominałam sobie pewien szczegół, o którym mówiłeś. Sprawdziłam. Znalazłam. Poszłam do Zeusa i on zrozumiał.

- Co? Co odkryłaś?

- Zoltan, szofer Zeusa Petera Lamy, nie wyjechał na urlop do rodziny w dniu twojego samobójstwa. W każdym razie nigdy tam nie dojechał, bo wcale nie wsiadł do samolotu. Sprawdziłam to u jego krewnych i na lotnisku. A więc...
- Zeus zabił Zoltana?
- Powiedzmy, że go popchnął.
- Przyznał się do tego?
- Do niczego się nie przyznał, ale natychmiast zaczął współpracować. To on znalazł rozwiązanie: żeby cię uznać za falsyfikat.
- A co teraz?
- Uganiam się za pięknotkami, które już przemodelował i sprzedawał, chce im zrobić tatuaże, jakimi rzekomo oznacza swoje rzeźby, zgodnie z tym, co zeznał na procesie. Handel u Zeusa Petera Lamy jest na pierwszym miejscu, przed skrupułami.
- A więc jestem wolny?
- Oczywiście, skoro nie jesteś już nic wart.

Od opisywanych tu wydarzeń minęło dwadzieścia lat.

Przedemną leniwie roztacza się morze. Jest jasne, płaczliwe. Odpoczywa pod palącą gwiazdą popołudnia. Gęste i gorące powietrze, jakby lepkie od słońca, powstrzymuje wszystkich od wykonania jakiegokolwiek ruchu. Nawet cienie na ziemi są ledwo widoczne.

Piszę to na poddaszu wąskiego domu, gdzie Fiona i ja po raz pierwszy się kochaliśmy. Nazywamy je moim gabinetem, ponieważ na wprost okna postawiłem kołyszący się pulpit, przy którym siadam, żeby zapisywać na niebiesko papier; jednak bardzo dobrze wiemy, że głównym meblem w pokoju pozostaje to ciasne łóżko, to naprawiane łóżko o rozchybotanych prętach, które ofiarowano mi na jeden wieczór i na którym Fiona i ja, mimo większego komfortu łoża małżeńskiego, często się kładziemy, by w tajemnicy przed wszystkimi się do siebie przytulić. Wyszło

256 #

•DT|TuXzjd 3iq3TS Op 3TS TUip
m Aq 'Auiaizp^j>[5ts O3sazo 'oşap[suaz najojuio>{ oş3zs>j3tm outui 'vi \ i acz33TA\
uapaf ^u tuj
u"E3oqXt[3zoa o
03 'oijzej aus^p 03 afeasozod nfo>[od m § 3Z 'X
-O3>[Azad 'aid|nd Sis
'IU333UiqB§ UITOUI 3TS AzSMJ3ld rEJ od "ef T
sizpS 'nuiop oSsi^jstm nzstppod "bu 03
"aUZDOpiM OAVp3| tS TUI3TZ IEU 3TU313 33A\^J[Tlt{Dna ^SIMIO^oSsTlJ^ f
"ETU"EUO>{
-Aav po q3T>[3sAzsA\ afnuiAzj3SA\od 'tuojs po ai5{ 'azJ33TA\od aafejoS i 33s5L) -
Eiupn^odod
3saf azjoui 5ts bzdbsoj aiMuiaj feuui apazjj
po

z niego dziesięcioro dzieci, dziesięcioro pięknych, zdrowych i rudych dzieci, które zmusiły nas do sklecenia z desek przylegającej do kuchni przybudówki, w której świszczę wiatr. O tej porze Fiona powinna być w samolocie, którym leci z Nowego Jorku. Patrzę bezmyślnie w niebo. Niedługo będzie tu ze mną. Utworzyła fundację poświęconą twórczości Carlosa Hanni-bala. Konsekracja. Odszedł od nas we śnie kilka lat temu równie dyskretnie, jak żył. Od tamtej pory jego notowania podskoczyły, zaczęli się na niego powoływać młodzi malarze, odkryli go kolekcjonerzy, krytycy docenili jego znaczenie i w historii sztuki uchodzi on dzisiaj za najbardziej interesującego artystę swych czasów. „Sława lepiej pasuje zmarłym - mawiał mi często - to wypożyczony strój, żywi wyglądają w nim śmiesznie”. Ta śmieszność

została mu oszczędzona, ponieważ zgasł niemal w biedzie, bogaty tylko szacunkiem niektórych ludzi, otoczony naszą miłością i zaufaniem. Czy mam jakiś udział w odkryciu go? Zarozumiałstwem jest tak myśleć. Niemniej przez wiele lat pisałem o nim artykuły, wyjaśniałem, jakich emocji dostarczają mi jego obrazy, opowiadałem, jak zmienił moje życie. Śmiał się z tego.

- Za bardzo mnie kochasz - mówił.

- Nigdy nie kocha się za bardzo.

* 257 *

- Za bardzo, bo kochasz mnie w dwójkasób. Kochasz moje malarstwo i kochasz mnie.

- To powiedz raczej, że kocham cię w trójna-sób: kocham ciebie, twoje malarstwo, no i kocham też miłość, którą cię darzę.

Jakim cudem dwaj mężczyźni, tak małomówni, wstydliwi, pełni rezerwy jak Hannibal i ja, mogli tak otwarcie prawić o miłości? To tajemnica, którą zabrał ze sobą.

Jedna drewniana krokiew trzeszczy w niezbyt ciepłym wnętrzu strychu.

Fiona będzie przy mnie za kilka godzin. Kiedy bywa nieobecna, moja wrażliwość się wyostreza, uświadamiam sobie, że czas płynie, życie się kurczy, że dzieci jest dużo, że są hałaśliwe, że czyhają na nie tysiące zagrożeń, ogarnia mnie niepokój, nie mogę zasnąć i życie jawi mi się jako ciężar. Wiem jednak, że wszystko wróci do normy, kiedy ona przekroczy niebieski próg domu.

Jedyny wyjątek. Dziś rano. Kapaliśmy się, dzieci i ja, nago, wypływaliśmy w pełne morze aż do skał. Moje latorośle otaczały mnie, kładliśmy nasze ciała w łagodnej, przyjemnej, letniej, szmaragdowej wodzie, która przyjmowała nasze powolne ruchy, i nagle poczułem się, jakbym był mamą rybą z małymi. Byłem na swoim miejscu, w pewnym punkcie uniwersum, służyłem czemuś i moje życie wydawało mi się uzasadnione.

* 258 *

Gdy wróciłem na piasek, powróciła codzienna kołomyja, trzeba było rozdać ręczniki, zaprowadzić porządek, zagwizdać na spóźnialskich, dać kilka klapsów; jednak codzienna kołomyja napełniła się sensem. „Beze mnie ludzkość nie byłaby tym, czym jest” - powtarzał Zeus Peter Lama. Tego ranka po raz pierwszy miałem wrażenie, że ja też mam swoją rolę. Są istoty, które mnie potrzebują, zarówno żywi, jak umarli. Co niezastąpionego mam w sobie? To, moje myśli. Moje troski. Moje przywiązania. Moje miłości.

Z tyłu za mną, bardziej w głąb lądu, Pępinus został zburzony. Niekiedy w głowie mi się kręci, gdy pomyślę, że nie ma już wspaniałego, ostentacyjnego domostwa Zeusa, gdy tymczasem nędzna drewniana budowla wciąż daje schronienie naszemu szczęściu.

Zeus Peter Lama oczywiście nie godził się umierać. Pojedynek z jedyną jego rywalką, Naturą, trwał do końca. Kiedy poczuł, że z wiekiem słabnie, nie chciał się poddać, położył się w zamrażalniku, gdzie przebywała jego ostatnia żona, Donatella, i zażądał, by nauka obudziła jego geniusz, kiedy już będzie do tego zdolna. Nic nigdy nie było u niego naturalne, śmierć nie bardziej niż co innego.

Co stało się z tą zamrażającą skrzynią? Dowiedziałem się, że nowi właściciele willi zachowa-

* 259*

li ją u siebie, ale potem, ponieważ dom był coraz częściej sprzedawany, a w końcu został zburzony, ślad po niej zaginął.

Olbrzymi park podzielono i w miejscu, w którym dawniej wznosił się pełen pychy pałac, zbudowano długi trzypiętrowy masywny budynek, który pełni funkcję szpitala psychiatrycznego. Tam właśnie umieszczono piękności. Czy raczej ekspiękności, ponieważ skalpel Ficheta, wspomagany wyobraźnią Zeusa, zrobił z nich wszystkich istoty ekstrawaganckie, dziwaczne, potworowate. Ich kariera była krótka. Podobnie jak reputacja Zeusa nie przetrwała po jego fizycznym zniknięciu. Kiedy nie było już tego histryka Zeusa

Pete-ra Lamy, żeby ściągać uwagę mediów, zrewidowano pogląd na jego twórczość i szybko spostrzeżono, że sprowadza się ona bardziej do hałasu niż do talentu. Kilku kolekcjonerów i marszandów, zaalarmowanych topnieniem kapitałów, usiłowało sztucznie utrzymać rynek, ale czas zepchnął te kreacje w niepamięć w nadspodziewanym tempie. Niekiedy jedna z ekspiękości ucieka z wrzaskiem z parku, zmyliwszy czujność straży, i ku przerażeniu pływaków, ukazuje się im na piasku, tocząc pianę - szalona, dzika maskara w koszuli nocnej, ze zniekształconymi członkami, z pustymi oczyma i niemymi ustami, maskara, której żadne muzeum już nie chce.

* 260 *

Kto dzisiaj wie, co stworzył Zeus Peter Lama? Kto zna jeszcze jego nazwisko? Pisząc tę opowieść, często miewałem wątpliwości, czy jakiś wydawca w ogóle zechce zajrzeć do moich wspomnień. Jedynie fakt, że jestem zięciem Hanniba-la, mógłby wzbudzić zainteresowanie moim opowiadaniem. Co mi tam! Piszę, żeby pisać, powierzam swoje tajemnice szufladzie, nawet gdyby te strony miało kiedyś przypadkiem odkryć jedno z moich dzieci.

Słońce długimi promieniami przebija na wylot listewki okiennic. Kiedy światło dotrze do stóp łóżka, powietrze będzie już lżejsze, upał pod wieczór ustąpi i będę mógł wyjść. Mam nadzieję, że w tej chwili rozlegnie się głos Fiony: „Adam?”.

Fiona cały czas mówi do mnie Adam, bo imię Tazio usłyszała za późno.

„Poznałam cię takiego, pokochałam cię takiego, nie chcę, żebyś był inny. Najwyżej kilka zmarszczek więcej i kilka blizn...”

Chociaż mój wygląd nie jest już monstrualny, nie jestem podobny do zwykłego mężczyzny. Akceptuję to. Moje ciało opowiada historię moich błędów. Przeróbki Ficheta i Zeusa, ich głębokie wiercenia, wklucia, ich pręciki, nacięcia, zgrubienia, wypukłości, protezy, blizny, te wszystkie rany dały mi drugie narodziny. Trzecie moje narodziny odbyły się na plaży przy sztalugach Han-

* 261 *

nibala, kiedy to odkryłem, że świat jest piękny, pełny, bogaty, a ja godziłem się być mierny, pusty, biedny. Hannibal był moim ojcem, nie tylko teściem, bo w jednej chwili potrafił tchnąć we mnie chęć żyda., ofiarowując mi sens zadziwienia i zachwyty.

- Adam?

Czy śnię, czy ona już mnie woła?

Pędzę po schodach i całuję Fionę, wyprostowaną, gibką, z walizkami u stóp. Kładzie mi palec na ustach, przypominając, żeby nie budzić dzieci, i ciągnie mnie za rękę na dwór.

Chodzimy po plaży.

Z uścisku jej palców domyślam się, że inauguracja fundacji odbyła się triumfalnie. Wszystko jest w porządku. Nie trzeba mówić więcej. Od czasu jego śmierci staliśmy się rodzicami Hannibala, dobrze się nim zajmujemy, dbamy o niego.

Morze jest w fazie odpływu, na plaży przybyło piasku. Przejrzysta poświata zapowiada wieczór.

Idziemy ku niewidzialnej i tajemniczej linii, gdzie zlewają się chmury i woda.

Jesteśmy cudownie sami.

Jako młody człowiek chciałem, żeby piękno było we mnie, byłem nieszczęśliwy. Teraz wiem, że jest ono wszędzie wokół, akceptuję je.

Dochodzimy do granic, tam gdzie morze, wycofując się, pozostawiło tylko nieruchome kału-

* 262 *

że. Nie ruszamy się. Słońce na czole, powietrze piaszczystego wybrzeża w płucach, pieszczota wiatru na nogach, jesteśmy przepojeni światem, zgodnie rozpierani radością. Czas zwleka. Mewy krzyczą, wynurzyły się zza horyzontu z biciem skrzydeł.

Niedługo zaprowadzimy dzieci do moich rodziców. Nigdy im nie powiedziałem, kim jestem, ale któregoś dnia zaproponowałem, bo często bawili się w parku z najmłodszymi dziećmi, żeby zostali dziadkami adopcyjnymi. Ojciec zgodził się z radością i w szaroturkusowych oczach mojej matki, w których dawniej błąkała się tylko obojętność, widać czasem przebłyски rozbawienia. Liczy się tylko teraźniejszość.

Budzi nas świeży szum przy kostkach nóg. Idzie przypływ. Niebo się odbarwia.

Wracamy z Fioną do domu, powoli, odwracając się, by sprawdzić nasze odciski na piasku i popatrzeć, jak morze, odwieczne, niezmordowane, zaciera ślady naszych stóp.

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak,

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2007.

Druk: Drukarnia Colonel, ul. Dąbrowskiego 16, Kraków.